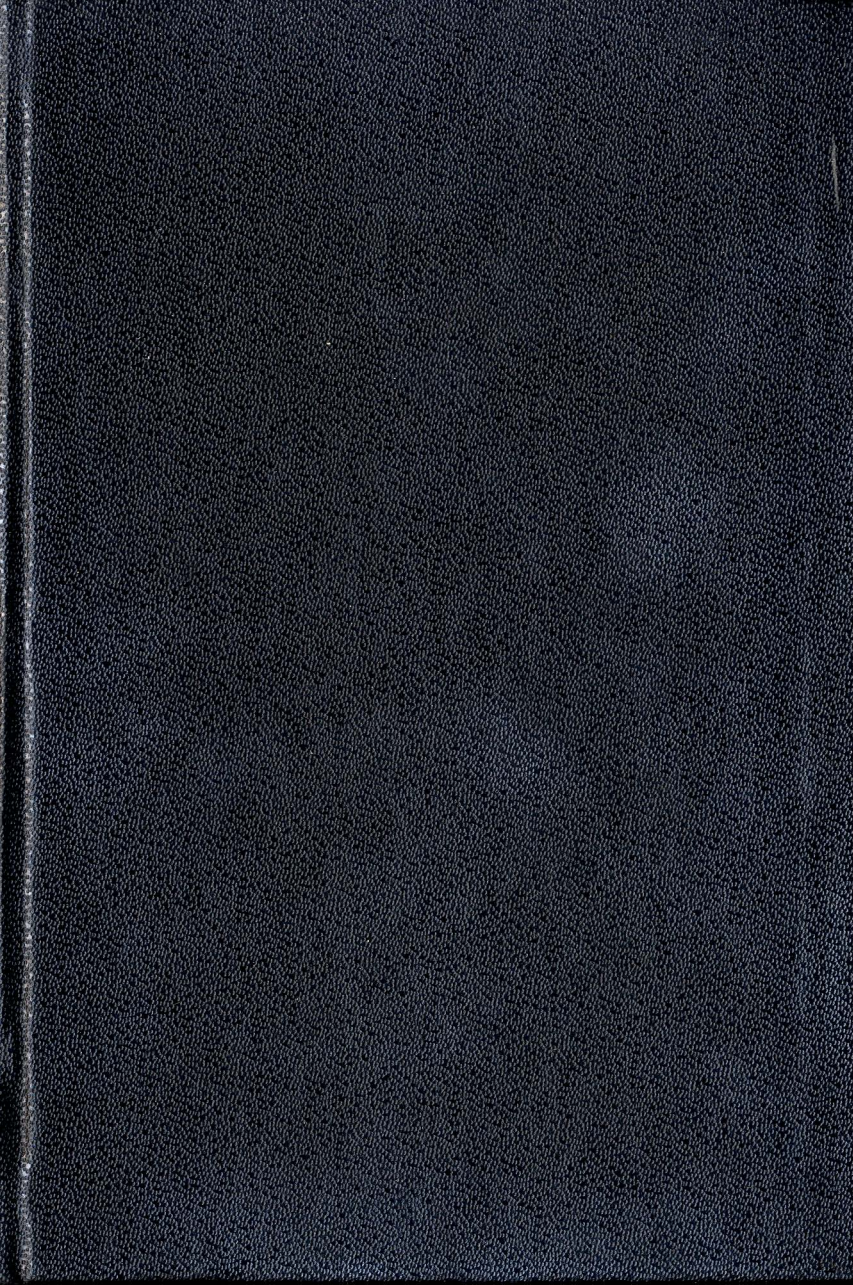








KOMPUTER

884-3 + 884-2

824.162.1-311.7

Дозволено цензурою

Варшава 26 Марта 1887 года.

17

Wp. *U. Wreszkowicz.*

41

Maryan Sawalewicz.

U. Wreszkowicz

SZKICE I OBRAZK

60203

O Niéj....

TOM II.

KRAKÓW.

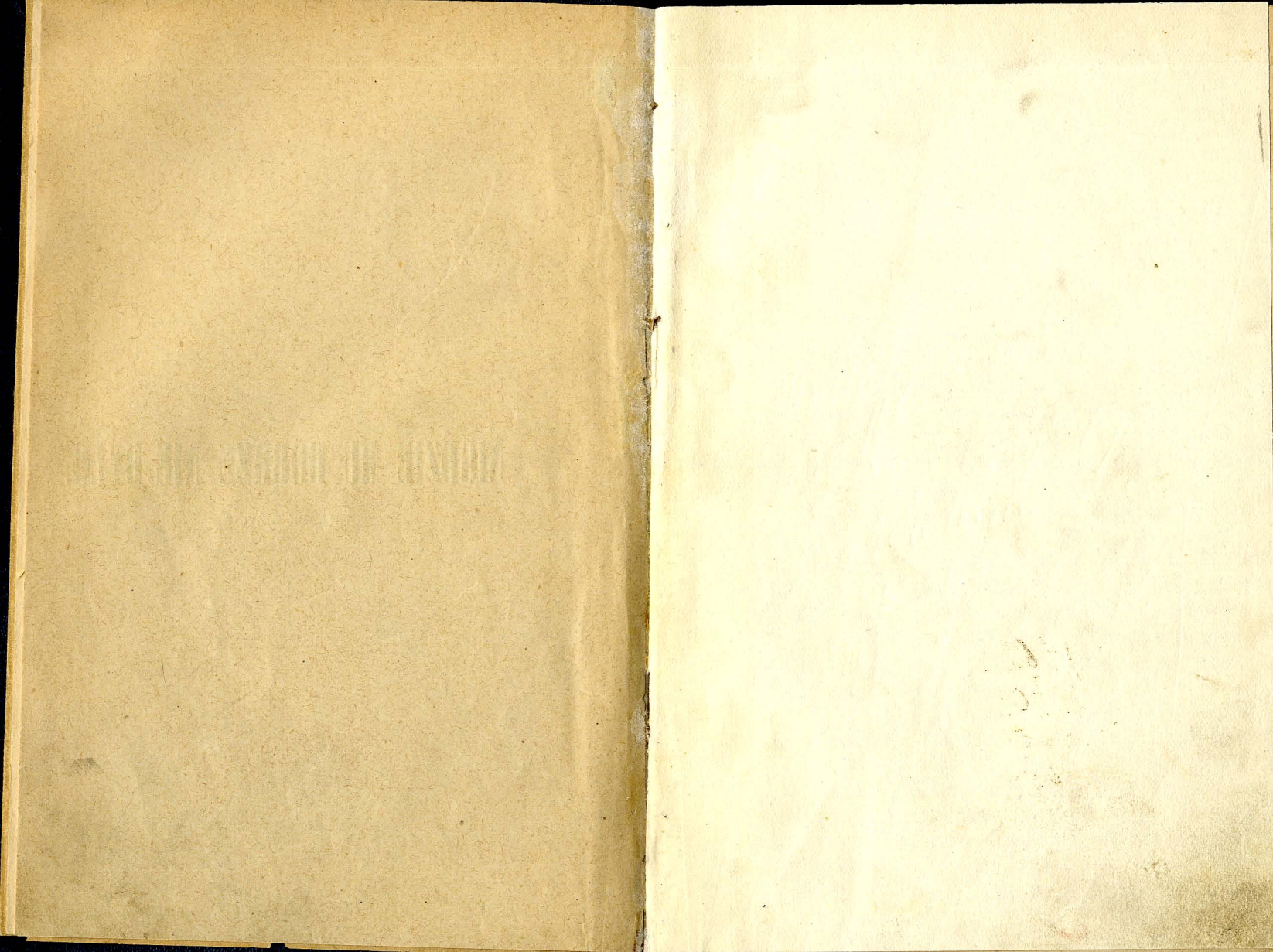
NAKŁADEM I. K. ŻUPAŃSKIEGO i K. J. HEUMANNA.

1887.

NIGDZIE MU DOBRZE NIE BYŁO.

OBRAZEK Z ŻYCIA.

T. II.



I.

Nie odwracając się wcale, zajęty pilnem pisanem przy biurku, zawołałem z pewnym odcieniem niechęci w głosie: „proszę wejść“ temu komuś, co tam za drzwiami właśnie nogi wycierał i pukał w najniestosowniejszą porę.

Nie zaprzeczam, że jak często mi się zdarzało, tego niespodzianego gościa odselałem w myślach do stu piorunów, bo mi przeszkadzał w pracy, przerywał wątek myśli, a myśl to nie nitka, którą można wywlec z igły i znowu nawlec według potrzeby.

Przystroiwszy jednak twarz w najśłodszy uśmiech uprzejmego gospodarza, podniosłem się ze stereotypowem zapytaniem na ustach:

— Czém mogę służyć? — i spojrzałem na przybyłego wzrokiem wyrzutu pełnym, który mu mówił: „Potrzebowałeś przyłązić właśnie w tej chwili!..“

Przedemną stanął mężczyzna średniego wzrostu, w algierce bobrowej, zapiętej pod szyję, z futrzaną czapką w ręku i patrzył na mnie z jakąś rozpromienioną uśmiechem twarzą, jakby wyczekiwał, że mu się rzucę na szyję i porwę go w objęcia odrazu z ra-

dosnym wykrzyknikiem: „To ty?.. jak się masz, — Franku, Julku czy Michale!“ — a tu tymczasem pamięć moja wysilała się napróżno, by sobie przypominać tę fizyognomię, którą, jak mi się zdawało, pierwszy raz w życiu widziałem.

Mój nieznamy wytrzymywał mnie umyślnie czas jakiś w tej zagadkowej sytuacji, wreszcie, podając rękę, zapytał:

— No, cóż?.. nie poznajesz kollegi?...

— W istocie, coś... niby, ale... — zacząłem bąkać, jak to zwyczajnie w takich razach, udając, że sobie przypominam.

— Janek, ze Lwowa.

— Ah, Janek!... rzeczywiście, Janek... jak się masz?—a siadając—zacząłem innym tonem, świdrując tego Janka oczyma, ale Bóg świadkiem, że tyle wiedziałem o nim teraz, co i przed tém.

Uściskaliśmy się, jak przecie na kollegów przystało, pomogłem mu zdjąć futro, rozwiązać jedwabny fular na szyi, przysunęłem mu fotel bliżej okna, a podczas tego myślałem sobie:

— Co to za Janek u licha?.. jak się ten Janek może nazywać?

Janków na świecie i na szkolnej ławie znałem tylu, że nie zliczyłbym ich wszystkich jednym tchem, a tego ani weź przypomnieć sobie nie mogłem; trzeba było pozostawić rozwiązanie tej zagadki na później, a tymczasem w przyjętej roli zachowywać sprytnie równowagę i domyślnością sztukować.

— Cóż ty tu robisz? — zapytałem, ot, aby zacząć rozmowę.

Mój Janek, przekonany, że wszystkie niepewno-

ści co do jego osoby usunięte, jak gdyby co najmniej wczoraj się ze mną rozstał, rozsiadł się wygodnie w fotelu, nogę na nogę założył i rzekł krótko:

— A-no, wracam z Borodnicy, od Józi.

— A, od Józi, tak?..—powtórzyłem machylnie, wbijając sobie drugiego ćwieka w głowę, jak gdybym wiedział o Józi i Borodnicy coś więcej, aniżeli o przyjacielu Janku.

— Tę Banialukę, wiesz — mówił dalej swobodnym tonem—porzuciłem zupełnie.

— Jaką banialukę? — odważyłem się zapytać nieśmiało.

— No, pisałem ci przecie, że z Serajewa przemieśli nas do Banialuki. Nie otrzymałeś mojego listu?

Jako żywo, zapomniałem na śmierć, że istnieją jakie Serajewo na świecie, a banialuki mało mnie zawsze obchodziły, listu zaś z tamtych stron nigdy w życiu nie odbierałem.

— Przecież donosiłem ci zaraz po wyjeździe—mówił mój Janek dalej—będzie temu, poczekaj... ze sześć miesięcy, pod koniec lata jakoś.

— Nic nie otrzymałem.

— Patrzaj-że!.. a byłem pewny, że list doszedł; tylko, że to u was literatów w głowie się zawsze pali, pomyślałem, żeś zapomniał odpisać staremu przyjacielowi, który z tobą na jednej ławce przez tyle lat przesiedział. Wiesz, mama umarła; w jesieni będzie cztery lata.

— Oh!...

— A jakże, zaziębila się na weselu Karolci... a Karolcię pamiętasz?

Gdzie ja tam kogo pamiętałem!

— Tak, tak, życie się toczy, jak fala, aż kiedyś bęc o jaką skałę i rozbije się... Cóż tu u ciebie słyszać? Doskonale wyglądasz, nic się nie zmieniłeś, utyłeś tylko; to zupełnie inaczej odemnie. Ja schudłem, zmizerniałem, brodę zapuściłem jak prorok, tyś się zaczyynam. Ta Bośnia źle mi posłużyła, ale coś zrobić!...

Westchnął, zmarszczył krzaczyste brwi, oczy zmrużył, jakby mu jakaś przykra myśl przez głowę przemknęła, pogładził wspaniałą iście brodę, którejby mu św. Onufry mógł być pozazdrościć i mówił dalej:

— Przyjechałem tu teraz rozglądać się trochę u was—może mi się co trafi. Na razie nie potrzebuję miejsca, ale wziąłbym jakiekolwiek zajęcie, żeby mi się nie nudziło. Pomożesz mi po stariej znajomości? Masz podobno duże stosunki, to ci nie przyjdzie z trudnością, jeżeli tylko zechcesz.

— Jak najchętniej, a w czymże ci mogę usłużyć?

— Et, to tam o tém potem, będzie czas na to jeszcze — przerwał mi z lekceważeniem, obalając brzydkie podejrzenie, że ta cała wizyta i odwoływanie się do stariej przyjaźni, miały tylko na celu jakiś osobisty interes.

— Ja ci powiem — dodał tonem zaufania — przedewszystkiém muszę zrobić porządek z mojem zdrowiem; trzeba się leczyć, oszczędzać, szanować. Ten krwotok w Serajewie dużo mi sił zmarnował.

— Więc miałeś krwotok?

— Pisałem ci przecie, ale prawda—nie odebrałeś listu. Miałem bracie, miałem; to mi podcięło nogi

to i nie to, dość, że muszę się teraz szanować. U was tu klimat nieszczerólny.

Zaczęliśmy rozmowę na temat mroźnej zimy suchych mieszkań, braku wygod w kawalerskich lokalach, o restauracjach, w którychby można jadać bezpiecznie i nie truć się za swoje pieniądze, o zabawach towarzyskich, teatrze i innych drobiazgach.

— Ja tam bywać nigdzie nie myślę—rzekł mi w końcu mój Janek—ot, do ciebie czasem na gawędę wpadnę, jeżeli cię nie znudzę; przypomnimy sobie dawne, lepsze czasy; ty może kiedyś będziesz na mnie łaskaw, zagram ci na cytrze, pokażę ciekawe fotografie ze Wschodu, może będę mógł znowu zaśpiewać, to ci zaśpiewam. Kiedyś mój baryton chwalił, ale mi lekarze zabronili mówić głośno, a coś dopiero trele wywodzić... No, teraz bądź zdrów, zabrałem ci trochę czasu, przerwałem zapewne pilną robotę, nie gniewaj się; po piętnastu latach możesz mi przecież chwilę poświęcić.

Zaczęliśmy się żegnać.

Pozycya moja była coraz kłopotliwszą; z rozmowy naszej wynioskowałem, żeśmy kiedyś względem siebie byli zupełnie czém inném, niż dzisiaj, a tu ta niegddziwa pamięć takiego mi figla, jakby umysł nie, płatała.

Jakoś mi nie wypadało wyznać wprost w oczy człowiekowi, który się tak do serca mojego i przyjaźni przyznawał, że go nie poznaję wcale, i powiedzieć otwarcie:

— Mój drogi, wypadłeś mi tak z pamięci i z głowy, że cię za całkiem obcego uważam. Ktoś ty taki?.. Przypominałem sobie wszystkich Janków, jakich

oczy widziałem, mierzyłem mego gościa od stóp do głów, patrzałem w niego, jak w tęczę, i nie!... nijak się żyję, nie znam i nie przypominę.

Dokuczało mi to wielce i niecierpliwiło coraz bardziej.

Mój przyjaciel fular znowu starannie na szyję awiazał, algierkę zapiał na wszystkie pętlice, rękawice łosiowe wdział, wyściskał mnie, wycałował, zapewniając, jak „mu było przyjemnie po tylu latach zobaczyć“ i brał już za kłamkę, kiedy, cały wstyd na bok odsunawszy, pychę zrzuciwszy z serca, prosto z mostu palnąłem mu szczerze i otwarcie:

— Mój Janku, nie weź-że mi tego za złe, ale się biedzę i biedzę od godziny napróżno, nie mogąc sobie przypomnieć: jakże ty się właściwie nazywałeś?

Popatrzał na mnie dużemi oczyma, jak na wariata, twarz mu się wydłużyła, chwilę pomyślał i odrzekł:

— Ładnieś pamiętał towarzysza lat dziecinnych!.. Jakto jak się nazywam?.. Przecież na jednem podwórzu bawiliśmy się, będąc dziećmi. Jakże mam się nazywać, jeśli nie Kilecki?..

— Janek Kilecki! — zawołałem teraz, rzucając mu się na szyję, a wszystka krew z serca uderzyła mi do głowy — Janku, a bodajże cię, więc to ty?... a ja z tobą mówię jak z pierwszym lepszym. Takeś się odmienił, biedaku!

— Dobrześ mnie nazwał: biedaku! — powtórzył z jakimś odcieniem smutku w głosie, kiwając głową i ściskając mnie goręcej za rękę.

Jakby pod zaklęciem jakimś, nazwisko Kileckiego rozpełtało mi nagle całą pamięć. Jakże go mo-

głem zapomnieć, tego milego Janka, najweselszego z kolegów, największego psotnika, najmilszego figlarza, u którego matki najsmaczniejsze zjadałem konfitury z malin, z którego siostrami, Józią i Karolką pierwsze wirowe tańce ryzykowałem; jakże śmiałem nie odgadnąć w tych zmienionych rysach bladziej, wychudłej twarzy, obrosłej gęstą, długą brodą, owych rumianych niegdyś i okrągłych policzków ślicznego chłopca, co rozkwitał, jak pączek całą krasą młodości wiosny!..

Przywitaliśmy się po raz drugi teraz, inaczej, czuliej, swobodniej; usiedliśmy na dawnych miejscach i rozpoczęli na nowo gawędę, pełną tych pytań i odpowiedzi rychłych, ożywionych, przerywanych to śmiechem, to wykrzyknikiem, to uściskiem.

Północ już była blisko, kiedy przy herbacie dwóch serdecznych przyjaciół kończyło wertować czarodziejską księgę wspomnień i przeszłości.

Janek miał wypieki na twarzy, w oczach świecił mu jakiś blask niezwykły; rozgrzewały go obrazy dawnych lat, zczarowywane słowami: „a pamiętasz?..“ które jeden drugiemu z ust do serca wrzucał, jakby iskry w minę prochu, a po których wybuchał cały potok gorących słów.

Biedny Janek zakaszał się w końcu i kaszel ten, jak ostrzeżenie spóźnione, przerwał nam dalszą gawędę.

— Ot, widzisz — rzekł do mnie — nawet mi rozmawiać wiele nie wolno i jakże mam być z życia zadowolony!.. Żeby mi się tylko pozbył tego kataru oskrzeli, to o resztę nie będę już dbał wiele; ale zo-

baczysz, niech-no tylko wiosna przyjdzie. Będę jeszcze zdrów, jak niedźwiedź, choć co mi po tém!..

II.

Piętnaście lat, to kawał czasu...

Kiedyśmy się przed laty piętnastu rozstawali, żaden z nas, ani przypuszczał, jaką drogą pójdzie, którędy przejść będzie musiał, co minąć i do czego dojść mu losy pozwolą.

Ze wszystkich kolegów Janek Kilecki najwięcej miał warunków do szczęścia, najwięcej mu się los uśmiechał, przyszłość bez chmur wypogadzała. Jedynak, zamożnej wdowy syn, pieoszony, chowany w wygodach, kochany był przez wszystkich; dobre też było z niego chłopczyko, dusza gorąca, umysł wrażliwy, ambicya wysoka; przepowiadano mu powszechnie, że dojdzie daleko i zrobi karyerę.

Po ukończeniu szkół zniknął mi zupełnie z oczu; tych młodocianych związków, jak żelaznych ogniów, los nie rozrywa, ale je często zatapia i jeśli przypadek wyłowi taką przyjacielską parę, to się czuje dopióro, jak ta młodość skuwa silnie dusze i sprzęga nierozzerwalną jakąś siłą.

Janek opowiedział mi pokrótce swoje życie, ale choć otwarcie i szczerze spowiadał się z owych piętnastu lat rozłąki, czułem coś niedopowiedzianego, coś, co tam w głębi duszy mu pozostawało, czego widocznie nie chciał, czy nie mógł wziąć na koniec języka, nawet w poufnej rozmowie z przyjacielem.

Podróżował po ukończeniu akademii technicz-

ną w Zurichu, zwiedził Francją, Włochy, Niemcy, powrócił do Galicyi, siostrę wydał za mąż, jedną i drugą, matkę pochował, potem jako inżynier wyjechał nagle do Bośni, na pomiary, budować drogi, stawiać mosty, i od ludzi, od świata zdaleka żyć i pracować.

— Trzeba mi było takięj samotności—mówił—chciałem spróbować, jak mi po strasburskich pasztach smakować będzie ryż albo mamałyga, a po Paryżu, jak się wyda dzikie pustkowia bośniackie... Coś mi się dziwnego stało, nie mogłem usiedzieć nigdzie na miejscu; jak żyda wiecznego tułacza gnało coś po świecie i spocząć nie pozwoliło.

Uśmiechnął się jakoś gorzko i dodał:

— Nigdzie mi dobrze nie było—i nie będzie.

— Dlaczegoż tak?—zapytałem.

— Taka już natura widocznie.

— Ej, Janku, ja miałbym na ciebie sposób.

— Jakiż to?

— Ożeniłbym cię.

— A tobyś mi piękną przysługę wyświadczył!.. ja nie cierpię kobiet.

— Od kiedyż?

— Od dawna; mogą dla mnie nie istnieć na świecie, nawet wołałbym, żeby ich nie było.

— Jakto; i nie zakochasz się nigdy, nie kochałeś się dotychczas?

— Kochać?... co to znaczy kochać?... wy jeszcze te stare głupstwa powtarzacie, jak papugi. Daj pokój, to nie dla mnie.

Wzruszył ramionami i uśmiechnął się pogardliwie

— Zresztą—dodał—nie mówmy o tém, bo czasu szkoda na faramuszkę. Ze mną nie dojdiesz do ładu na tym punkcie. Nie kocham, nie kochałem nigdy i nie pokocham żadnej kobiety... Gdybym potrzebował tylko, jak sułtan, rzucić na którą chustką, aby ją zdobyć, wyjąłbym mój fular z kieszeni, ale—aby sobie nos utrzymać, albo gardło obwiązać.

— Przecież masz siostry, które kochasz.

— Eh, taka miłość!... siostry nie uważam za kobiety; zresztą widuję je raz na lat kilka i to przez tydzień najdłużej.

— Więc masz ochotę zostać starym kawalerem?—zapytałem go ze śmiechem.

— Ja już nim jestem—odrzekł—i to od dawna.

— Nie wierzę; tutaj ci nie pozwolą żyć w celibacie, ożenią cię, zanim się obejrzysz.

— Nie bój się, jestem od tego zabezpieczony. Nie bywam w mieszanych towarzystwach, a skoro zwącham tylko niebezpieczeństwo, pakuję manatki i unykam.

Mówił to takim tonem stanowczym, że nie śmiałem wątpić o prawdziwości jego słów, ale nie mniej zaciekawiał mnie ten jego wstręt do płci pięknej, którego w młodzieńczych latach nie byłbym nawet przypuszczał.

Ha, gusta się zmieniają...

Zaliczyłem zresztą na karb jego słabego zdrowia tę obojętność dla kobiet, tę jakby pogardę dla całego ich rodu, która w oczach niewiast byłaby go niezawodnie uczyniła interesującym dziwakiem.

— Wyleczy się—myślałem—i zacznie z innego tonu śpiewać.

Janek tymczasem najął sobie mieszkanie na jednej z ustronnych ulic, umeblował ślicznie, dywanami wyłożył, wykadził, ogrzał, kwiatami i krzewami umiał, potem się w niem zamknął, jak ślimak w swój skorupce, i przez zimę prawie za próg nie wychodził.

Przyjął do posługi starego służącego i przez niego od czasu do czasu przysłał do mnie bilet z tą krótką inwitacją: „Wpadnij-no do mnie, jeśli masz wieczór wolny.“

Zastawałem go najczęściej w ciepłym szlafroku i pantoflach, w tureckim fezie na głowie, siedzącego w ogromnym wyściełanym fotelu, przy piecu. Na machoniowym stolczku stała zwykle cała bateria flaszek, flaszczyk, cała piramida pudełek, słoików, aparat do rozpylania rozmaitych soli.

— No, jak się masz?—pytałem stereotypowo po przywitaniu.

— Jak groch przy drodze; leczę się, jak widzisz. Połknąłem całą aptekę.

— I lepij ci?

— Albo ja wiem?.. spytaj mego doktora.

— Czemu nie wyjdiesz na świat, na miasto, zobaczyć ludzi, zabrać znajomości...

— A mnie to na co?.. nie ciekawym nikogo. Poczekać do wiosny. Książek mi nie brak, „Kurierka“ mam: czego mi więcej potrzeba?.. Nigdy mi tak dobrze nie było; ja się sam dziwię temu.

Przegawędziliśmy zwykle taki wieczór o rozmaitych rzeczach i rozstawiali się znowu na tak długo, aż nowy bilet Janka naznaczył nową schadzke,

bo sam mi dał do zrozumienia, żeby go odwiedzać tylko na jego własne żądanie.

Dowiedziałem się od jego starego Pawła, że prowadził życie niejednostajne, często dziwaczył, po całych dniach z łóżka nie wstawał, choć mu nic nie dolegało, niekiedy znów w nocy się zrywał, kazał wszystkie lampy zapalać i chodził po pokojach, innym razem siadywał po ciemku całymi wieczorami i w fotelu noc przepędzał, nie kładąc się wcale.

Czytał, pilnował godziny do zażywania proszków i lekarstw, rysował czasem jakieś projekta architektoniczne, albo grywał na cytrze do północy i później.

Kiedy pierwsze promienie wiosny rozpogodziły niebo i ziemię, poszedłem odwiedzić go nieproszony, po dłuższym przeciągu czasu.

Zastałem samotnika zmienionego do niepoznania; pozołkł, oczy mu jeszcze głębiej w doły zapadły, rozdrażniony był, skrzywiony; przywitał mnie kwaśno i ponuro.

— Cóż ci takiego?... gorzej się czujesz?—zapytałem go. Machnął ręką, usta wydał, i nie odpowiedział ani słowa, zaczął chodzić w milczeniu po pokoju.

— Takie ładne powietrze: możebyś się wybrał na przechadzkę?—zaproponowałem mu po chwili.

— Ja się wkrótce wybiorę ztąd, ale ze wszystkim—odparł opryskliwie.—Pożegnamy się, mój drogi. Doktora wyrzuciłem wczoraj za drzwi, całą aptekę za okno, Pawła posłałem po pasport i za dwa, trzy dni wyjeżdżam.

— A to co znowu?... cóż za nagła zmiana?

— Jakżeż ma być inaczej? Siedzę, jak grzyb pod kamieniem, grosz za groszem zjadam, nic nie robię, wygod nie mam żadnych... mógłbym tu zdechnąć, jak pies, nikt-by się o mnie nawet nie spytał.

— Dajżeż pokój, mój Janku — zacząłem z odzieniem urazy — nie kazałeś mi sam przychodzić, a teraz...

— Teraz co innego; przecież tobie wyrzutu nie robię, mówię w ogólności. Co ja tu wysiedzę?.. próbuję tylko i czas marnuję. Ja nie umiem tak bezczynnie życie pędzić. Zresztą, spokoju tu nie mam; piec mi zaczyna dymić...

— No, wiosna się zbliża—zauważyłem.

— Kiedy jeszcze ta wiosna będzie!.. łyżki strawy nie mam, ten stary bałwan zepsuł mi się, zaniedbuje mnie, nie pilnuje służby. Tu za ścianą dyabli sprowadzili mi jakiegoś sąsiada, który bębni po całych dniach i nocach na fortepianie, — oka zmrzyć nie mogę. Co ja tu będę robił dłużej?..

— A dokądże myślisz wyjechać?

— Na posadę.

— Daleko?

— Zobaczysz.

Widziałem, że do ładu z nim nie dojdę dzisiaj; zły był, zdenerwowany, opryskliwy: więc wziąłem kapelusz i wyniosłem się.

— Bądź zdrow—mruknął do mnie na pożegnanie, jakby nie ten sam, który kiedyś tak się witał ze mną po latach piętnastu, jak brat z bratem.

Na drugi tydzień wyjechał rzeczywiście, ale Pawła zabrał z sobą.

— „Co ja tu tego starego trutnia mam zosta-

wiać—pisał do mnie w liście, który odebrałem na drugi dzień po jego wyjeździe—u nikogo miejsca nie zagrzeje; będzie się tulał po bruku?.. to już go wolę wziąć sobie na kark, przynajmniej przyzwyczaił się do mnie i wie, jak mi co zrobić. Napiszę do ciebie po mojej instalacji na miejscu. Nie mogłem zamarzyć o lepszej posadzie; żeby mi tylko kto nie pozazdrościł tego szczęścia! Odetchnę świeżem powietrzem.“

III.

Minęło długich kilka miesięcy, ale zapowiedzianego listu nie było.

Janek wpadł, jak kamień w wodę,—znaku życia nie dawał. Nie wiedziałem, gdzie się obraca, co porabia, jak się miewa.

— Ot, dziwak — myślałem sobie—może wrócił do Galicyi, może się znowu gdzie zakopał i zaczął na nowo kurację.

Trapiła mnie tylko myśl, że mu się pogorszyć mogło, bo chrząkał w ostatnich czasach za często i na chrypkę się uskarżał.

Aż tu pewnego dnia odbierałem z poczty list rekomendowany, a w liście szerokim i długim lamentacye mojego Janka, że nieszczęśliwy, że go licho skusiło wyjeżdżać z Warszawy w jakieś bory i lasy, podejmować się pomiarów, a teraz miejsca sobie znaleźć nie może, wszystko mu dokucza, wszystko mu obrzydło i gdyby nie to mleko świeże od krowy i powietrze leśną wonią przesiąknięte, to byłby już dawno z tej jakiegś Konopnicy uciekł, gdzie pieprz rośnie.

Nabrałem o tém zaświeciu, zabitem deskami, okropnego wyobrażenia z opisu Janka, że mi zaś wolnego czasu trochę zbywało, a list jego kończył się zaklinaniem na wszystkie świętości i wspomnienia stariej przyjaźni, abym się ulitował nad nim i przyjechał go koniecznie odwiedzić—pojechałem.

Jak szyszka wśród zielonego mchu, siedział sobie drewniany dworek wśród uroczego lasu na stoku góry, świeżutki, milutki, nęcący swoim zewnętrznym wyglądem, a taki jakiś zaciszny, że na oko możnaby było całe życie w nim spędzić z uśmiechem na twarzy.

W tym dworku mieszkał „pan inżynier,“ jak mi „w pałacu“ Konopnickim wskazano, gdy extra-pocztą zjechał przed ganek, na którym śliczne jakieś dziewczątko pieściło się z dwoma chartami i szczeniakiem wesoło.

Pałac sam mi się wydał zamożną, obywatelską rezydencyą; coś w rodzaju herbu z armaturą dostrzegłem nawet nad głównem wejściem.

Zachodzące sierpniowe słońce czerwonymi blaskami rozpromieniało szyby w oknach, z wnętrza pałacu dolatywały dźwięki fortepianu.

Jakoś nie czuło się tu tego pustkowia i wygnania, o którym się Janek w takich jeremiadach rozwodził; zupełnie na co innego byłem po jego liście przygotowany.

W dworku, stanowiącym jakby oficynę pałacu, znalazłem tylko starego Pawła, dmuchającego zawzięcie w samowar.

Pocziwiec omal mi się na szyję nie rzucił, poznawszy po przywitaniu.

— To pan?... a jak to dobrze, jak to dobrze, że

się pan tu wybrał do nas!—powtarzał rozradowany, drepzcząc koło mnie drobnymi krokami—my tu pana już od tygodnia wyglądamy; ja tu już codziennie łóżko ścielę dla pana na wieczór i co rano kawkę gotuję na jedną osobę więcej. Niechże pan pozwoli do pokoju, ot tędy, bo i pokój osobny przygotowany, a jakże!..

Prawdę mówię: znalazłem dla siebie osobny gabinet urządzone z wszelkimi wygodami, nawet z pełnym zbytkiem; przez otwarte okno załatywał żywiczny zapach od strony lasu i słychać było świątowanie całej gromady wróbli, co obsiadła pobliskie krzaki i drzewa.

— I cóż wy tu porabiacie? — zapytał Pawła znoszącego moje walizki.

— A-no rozmaicie—odparł z uśmiechem.—Pan całe dnie w lesie, tyki wstawia, z geometrą coś tam rysuje, a jak niepogoda to siedzi w domu i pisze, albo na cytrze grywa. Dobrzeby było, jak w raj u innego, tylko dla pana inżyniera—to otl.. nigdzie dobrze nie będzie. I zdrowie mu się trochę poprawiło—z początku pokasziwał, a teraz i kaszel stracił i gorączki, jak dawniej nie miewa. A ludziska tu wszystko ze złotym sercem!.. Moglibyśmy siedzieć, jak u Pana Boga za piecem, ale gdzie tu z panem inżynierem poradzić!.. Żyje, jak pustelnik, do dworu sam nie zajrzy, muszą trzy, cztery razy w niedzielę przysłać, zanim pójdzie, a pani i panienki boi się, jak ognia piekielnego. Dziwaczy i dziwaczy coraz gorzej, ot bieda!..

Zaledwie słów tych dokończył z ciężkim westchnieniem, w otwartym oknie ukazała się głowa

„pana inżyniera“, który jak *deus ex machina* zjawiał się na moje powitanie.

— No, przecież, przecież się wybrałeś marudziarzu!—zawołał z jakimś odcieniem radości i wyrzutu w głosie, wyciągając ku mnie ramiona za oknem.—Chodź-że, niech cię wytargam za uszy, żeś mi dał czekać na siebie tak długo!

Uścisnęliśmy się serdecznie.

— Poczekaj, wejdę do pokoju—dodał, stawiając nogę na kłodzie pod oknem i jednym skokiem przeskakując parapet.

— Złodziejowi drogę pokazujesz — rzekłem z uśmiechem.

— To przecież moje drzwi—odpowiedział—zwyczajnie niemi wychodzę do lasu i wracam.

— A dlaczegoż tak, czy droga ci tędy wygodniejsza?

— Nie to, ale...

— Ale co?

— Ale nie potrzebuję się ludziom pokazywać na oczy; musiałbym przechodzić koło pałacu...

— A w pałacu ludożercy, czy smoki? — zagadnąłem, widząc że się rozjaśniona chwilowym błyskiem twarzy Janka znowu chmurzyć zaczęła.

— Wolałbym, niż te baby ciekawe, co mnie podglądają, jak dziwoląga—odrzekł z niechęcią jakąś i grymasem na ustach.

— Bo ładnego chłopca widzą—zauważyłem wesoło.

Spojrzał na mnie z uśmiechem szyderczym, po kiwał głową smutnie, i ręce założywszy w kieszeń, chodź zaczął dużymi krokami po pokoju.

Kilka miesięcy pobytu na wsi zmieniło go; broda jeszcze dłuższa mu urosła, cera nabrała ciemniejszego koloru, oczy tylko zapadły głębiej i z pod gęstych brwi świeciły jakimś gorączkowym blaskiem, który gasiły z umysłu przymrużone powieki.

Zdawał się zdrowszym, ale smutniejszym jeszcze. Życie w tej leśnej głuszy, na pustkowiu, rozstroilo go widocznie.

Zapadał mimowoli w zadumę; teraz, podczas najbardziej z pozoru ożywionej rozmowy ze mną o stolicy, o nowinach ze świata, wydał mi się jakimś roztertagnionym, przymuszał się do swobody i wesołości.

— Tutaj pies urwałby się z łańcucha—mówił—cicho, nudno, pusto, człowiek żyć musi tylko z sobą samym i ze swojami myślami, a to nie zawsze znośne towarzystwo. Ani z kim szczerze pogadać, ani do kogo słowa przemówić!

— Czemuż nie bywasz w pałacu?

— Czemu?... bo to ludzie nie dla mnie... Zresztą powiem ci potem wszystko; zobaczysz, że mam słuszność.

Po herbacie, kwaśném mleku i kurczętach pieczonych na kolacyą, która mi wcale nie potwierdziła tak złej opinii Janka o owém zaświeciu i jego brakach, wyszliśmy do lasu, przejść się trochę i pogawędzić z sobą swobodniej.

Cisza wieczoru letniego zalegała ziemię, las drzemał i tylko z jego głębi, jak z piersi śpiącego olbrzyma, odezwał się czasem jakiś stłumiony głos, niby majaczenie przez sen; niekiedy daleko, daleko we wsi pies zaszczekał, albo turkot wozu jadącego

gościńcem dał się słyszeć, albo od rony pałacu przerwały ciszę niewyraźne dźwięki rterpianu.

Szliśmy tak przed siebie dość długo, zajęci rozmową, która stawiała się dla mnie coraz bardziej interesującą.

Janek w swym szyderyczym zawsze, pesymistycznym sposobie zapatrywania opowiadał mi o miejscowych stosunkach, o zajęciach, które mu całe dnie wypełniały, o pałacu, w którym mieszkał „pocziwy szlagon,” pan Żaliwski Hieronim, zapłatany w processa spadkowe, o jego żonie drugiej i córce z pierwszego małżeństwa, pannie Tyni, jak ją powszechnie nazywano.

Dowiedziałem się z tych pomieszanych urywków, że Żaliwscy byli to ludzie zamożni, mieli majątek znaczny, który trzeba było tylko uregulować, stosunków wszelako z sąsiedztwem wielkich nie utrzymywali, żyli spokojnie, sprowadziwszy się od niedawna na wieś.

Janek mój przypadł im widocznie do gustu, pomimo swojej dziwacznej natury i zdzierzenia; nie chcieli go traktować, jak pana inżyniera, płatnego za pomiary lasu i gruntów, które były w proces uwikłane, ale poznawszy w nim intelligentnego oryginała, próbowali wytrwale przyciągnąć do siebie, choćby tylko dla celów towarzyskich.

Pomimo ciemnego kolorytu, w jakim mi mój przyjaciel malował obrazek konopnickiego dworu i sylwetki jego mieszkańców, ci Żaliwscy wychodzili nader sympatycznie i ujmująco w jego opowiadaniu.

— A cóż ta panna Tynia?—zapytałem niby od niechcenia—ładna?

— Zapemne; nie znam się na tem. Blondynka z niebieskimi oczyma i zadartym noskiem.

— Dobryś!.. niby na nią nie zważasz, a wiesz, jakie ma oczy, i zadarty noseł dostrzegłeś?

— Cóż chcesz! Wchodzi mi w drogę bezustannie, to przy domu, to w lesie, niby z przypadku, to w kościele. Musiałem się jęć w końcu przyjrzyć. Raz ją nawet przydybałem pod moim oknem jakiegoś wieczoru; słuchała moich waryacyj na cytrze... od tego czasu zamykam okno, gdy mi się na granie zbierze.

— Ileż ma lat?

— Ze siedemnaście; dobre jakieś dziecko, ale musiało się romansami na pensyi wykarmić, bo... Wyobraź sobie, pochwaliłem raz bławaty w jęć obecności; na drugi dzień znalazłem na moim stoliku pomiędzy papierami coś niebieskiego. Patrzę—bławatek. Nie zwróciło to odrazu mojej uwagi, ale na drugi dzień w tém samym miejscu znajduję znowu bławat, na trzeci to samo, a potem przez całe żniwa jakaś niewidzialna ręka obdarzała mnie codziennie bławatami; zawsze tajemniczo ten jeden kwiatek zjawiał się w mojej nieobecności na stoliku. Nareszcie spostrzegłem się, że stolik stał pod otwartym oknem i że widocznie panna, przechodząc, wrzucała mi te kwiatki do pokoju... Kazałem stolik przestawić w inne miejsce, żniwa się na szczęście skończyły, bławatków w polu zabrakło, więc mam spokój od pewnego czasu. Rozumie się, że odtąd moje wizyty w pałacu ograniczyłem do *minimum*. Tegoby mi jeszcze potrzeba, żeby sobie dziewczysko do głowy co przypuściło!..

Wzruszył ramionami ze zgrozą.

— Ależ niewdzięcznik! — zawołałem z oburzeniem—to cię taka sielanka miłosna nie wzrusza!

— Daj ty mi pokój z sielanką miłosną! — przerwał mi opryskliwie. — Ja tu przyjechałem lasy mierzyc, ale nie z pannami romansować. Powiedziałem ci raz, że nie chcę słyszeć o miłości—i basta, i jeżeliś prawdziwy mój przyjaciel, nie wspominaj mi o tém nigdy, nigdy więcej!

W tej chwili wyszliśmy z gąszczy na polankę i jakby jaka królewna leśnych boginek oczy moje zaczarowała, ujrzałem nagle urocze zjawisko... Ukryte wśród boru, światłem księżyca osrebrzone, tajemnicze, jak gniazdo rusałek, odsłoniło się przedemną jezioro, wśród lasu.

Nie podobna było wymarzyć piękniejszej dekoracji dla „Snu nocy letniej“, wśród której skrzydłaty orszak Elfów z Pukiem na czele mógłby swywozić figlarnie i czepiać się, jak sznurów, srebrnych promieni księżyca, kołysać na gałązkach drzew, lub pluskać w falach i wiosłować na liściach lilii wodnych, które tu jak ciemne, rdzawe plamy, stalowe zwierciadło jeziora pokryły.

Janek stanął u wejścia na polankę i wskazując mi ręką ten obrazek, w ciemne ramy wysmukłych drzew ujęty, zapytał:

— No, i cóż ty na to?.. to moje ulubione miejsce wypoczynku po pracy. Trochę tu wilgotno, jak dla moich zakatarzonych oskrzeli, ale mi tu lepiej, niż gdziekolwiek. Tu mogę przynajmniej!..

Spostrzegł się, że zanadto mógłby powiedzieć, zaciął usta i urwał resztę.

Milczeliśmy tak długą chwilę obaj, zapatrzeni przed siebie w niemym zachwycie.

W jezioru odbijało się niebo ze wszystkimi gwiazdami; księżyc, białawe puchowe chmurki przepływały głębłą wody.

Wszystko tu kołysało do marzeń i zadumy.

Przerwana rozmowa nie nawiązywała się nagle; cisza nocy, to milczenie całej natury zamykało i nam usta, hipnotyzowało niejako, żaden z nas nie ruszył się z miejsca, nie śmiał przemówić pierwszy.

Janek, z zmarszczoną brwią, z ponurym jakimś wyrazem, pod którym twarz jego starzała się i zmieniała do niepoznania, patrzył w to utopione niebo nadnie jeziora.

Co mu tam po tej głowie się snuło?.. o czém myślał tak głęboko, dla czego myślał tak smutno?—nie śmiałem go spytać, zwłaszcza w takiej chwili; byłby zresztą nie odpowiedział, swoim zwyczajem, skryty i zamknięty w sobie.

Gdyby jakaś mniej poetyczna żaba nie była wskoczyła do wody i pluskiem swym nie przerwała tego zaklęcia, pod którym milczeliśmy obaj, byłby nas chyba świt obudził dopiero z zadumy.

Janek się wzdrygnął, stłumił westchnienie, i oprzytomiał.

— No, chodź dalej—rzekł—jeszcze jedną osobliwość ci pokażę.

Uszedł kilka kroków wzdłuż brzegu i zatrzymawszy się na niewysokim pagórku, pełnym, rzeźnym głosem zaśpiewał:

Marto, Marto! tyś tak czuła...

Głos jego drżał z początku, ale wolą opanowa-

ny, zadzwieczał kilku silniejszymi tonami. Zdawało się, że las się ocknął ze snu i że noc zdawała zaczęła odpowiadać śpiewakowi taką samą smutną arya, taką samą śpiewaną skargą.

Z Jankiem śpiewało echo w duecie.

Naraz wysoką nutę przerwał gwałtowny kaszel i rozwiął całą uludę pięknego wrażenia. Smutna rzeczywistość wmieszała się dyssonansem przykrym do tej sceny.

Podbiegłem ku biednemu Jankowi z wyrzutem:

— Widzisz, widzisz—po co ci było śpiewać! zapomniałeś o swoim zdrowiu, narażasz się tak lekomyślnie.

Janek kaszlał, przyciskając ręce do piersi i wśród kaszlu usiłował siebie i mnie uspakajać:

— To nic... to nic—to tylko tak..., przejdzie za chwilę...

Podał mi rękę, zimną była i spotniałą.

— Dawno nie śpiewałem — rzekł, uspokoiwszy się nieco i pociągnął mnie z powrotem do domu.

— Nabawiłem cię niepotrzebnie strachu — mówił, usiłując nabrać wesołego tonu—nie sobie nie rób z tego. Jutro już będzie wszystko dobrze, a jeśli nie będzie—dodał z wymuszonym uśmiechem—to i lepiej. Powiem ci prawdę: życie moje już złamaną szpilki nie warte.

— Janku, co też ty mówisz?

— To, co jest.

— Ale dla czego tak jest?

— Ot, bo inaczej już być nie może. Skrzypiące koło ze mnie, mój przyjacielu—ale nie bój się, jesz-

cze długo pociągnę. Takie cherlaki, jak ja, przeżywają wielu zdrowych...

W nocy usnąć nie mogłem: przez szparę w drzwiach pokoju Janka widziałem światło.

I on czuwał widocznie, chociaż jednocześnie ze mną do łóżka się położył.

— Co za licho pokutuje w tym dziwaku?—pytałem siebie i nie znalazłszy odpowiedzi, usnąłem wreszcie, a przez sen zdawało mi się, że słyszę jeszcze rzewny śpiew Janka, przerywany spazmatycznym kaszlem.

IV.

Po trzech tygodniach mojej gościny w Konońcu, byłem jak w domu u siebie.

Pokazało się, żeśmy z Żaliwskimi mieli wspólnych znajomych, że pani Żaliwska, druga żona pana Hieronima, a macocha panny Tyni, pochodziła ze stron, w których często przebywałem, że bodaj gdzieś, kiedyś musieliśmy się spotykać, i jeśli góry się z sobą nie schodzą, to chyba dla tego tylko, iż im natura nóg odmówiła, ale ludzie zawsze mają sposobność zetknięcia się w życiu.

Byłem tedy na nalegania pań codziennym gościem w pałacu, zwłaszcza podczas nieobecności Janka w domu i zajęć jego mierniczych.

Janek zły był, zirytowany moimi wizytami, chociaż otwarcie się do tego nie przyznawał; wbrew jego woli stawiałem się łącznikiem między nim a pałacem, którego unikał.

— Mój drogi — mówiłem do niego — czego ty tak dziwaczysz?... zachorowałeś na mizantropa, uciekasz od ludzi, wyrzekasz się świata. W twoim wieku to trochę zawcześnie.

Zmarszczył brwi, brodę palcami przeczesał i spytał:

— A któż ci powiedział, że ja jestem mizantropem?... Nie ciągnie mnie do ludzi, to prawda, ale ich nie nienawidzę, towarzystwa ich tylko nie lubię, wolę moją samotność, kiedy nie potrzebuję się nastrajać do cudzych myśli, cudzego usposobienia i humoru. Wiem, że się im na nic dziś już nie przydam, więc nie chcę obciążać ich sobą.

— A kobiety?

— Kobiety dla mnie nie istnieją, powtarzam ci: ty tego nie zrozumiesz, a ja ci tłumaczyć nie będę. Wam się zdaje, że w życiu mężczyzny, kobiety są jedynym i najważniejszym celem!..

— Jedynym nie, ale jednym z najważniejszych i koniecznych — to fakt. Zastanów się tylko, jaką okropną próżnię miałoby życie nasze, gdyby jej kobieta nie wypełniała, jako matka, siostra, kochanka, żona, przyjaciółka, a choćby tylko towarzyszka w najzwyczajniejszych warunkach.

— Próżnię... próżnię — powtórzył i sposepniał jeszcze bardziej, ale ocknąwszy się po chwili, westchnął i szybko zmienił ton:—Może być.

Potem wyskoczył oknem i zniknął w gęstwinie lasu.

W pałacu, jak zauważyłem, zajmowano się Jankiem więcej, niż sam przypuszczał. Żaliwski brał mnie często pod ramię, gdyśmy z papierosem w ustach

chodzili po alejach rozległego parku i niby od niechcienia pytał:

— Cóż tam nasz samotnik?.. nie wybiera się na pustynię w tym tygodniu?.. możeby przed wyjazdem przyszedł z panem jutro na śniadanie?.. Każę go przy stole obstawić kwiatami, jak szacha perskiego, aby go nie widziano, gdy będzie jadł.

W tym żartobliwym tonie dźwięczała wszelako nuta głębszej życzliwości.

Musiałem mu opowiadać wszystko, co wiedziałem o stosunkach rodzinnych i majątkowych Janka.

— Jaka to szkoda, że człowiek taki zdolny i intelligentny marnuje się tak i tetryczeje! — mówił do mnie Żaliwski. — U nas tutaj mogłoby mu być, jak w raju. Żebyś pan wiedział, jak go moje kobiety polubiły, choć taki dzikus!..

Że go kobiety lubiły, a zwłaszcza panna Tynia, poznałem to od razu. Żaliwska sama z tém się nie ukrywała wcale, że ją „coś ciągnęło“ do pana Jana; czytała w jego oczach jakąś głęboką melancholią, a gry jego słuchać nie mogła, bo się jęj na płacz zaraz zbierało.

— Tylko ludzie z sercem tak grać potrafią — mówiła.

Panna Tynia zaś o niczém inném ze mną nie rozmawiała, tylko o Janku, i choćbyśmy prowadzili dysputę o Chinach, ona potrafiła kobiecym sprytem zwrócić ją na drogę do pana Kileckiego, zapytaniem np. czy nie należałoby posłać herbaty panu inżynierowi, bo dla niej Chiny widocznie o tyle w tej chwili miały znaczenia, o ile mój niezasłużony a szczęśliwy przyjaciel pijał herbatę.

Że zaś według zdania Francuzów: *les amis de noe amis sont nos amis*, mogłem powiedzieć, iż bardzo szybko pozyskałem przyjaźń panienki.

Młodość bywa tak szczerą i naiwną, tak mało umie się ukrywać, a tak pocziwie zwierzać i tak niezręcznie zdradzać się zwykła!..

Po kilku wstępnych rozmowach byłem pewny, że panna Tynia jest Jankiem po same uszki zajęta, a historia z bławatkami nie była jedynym tego objawem.

Kiedyś przypadkiem *à propos* rozmowy o niedowiarstwie dzisiejszém, wymknęły jęj się z różowych usteczek słowa:

— O! proszę pana, któżby nie wierzył! Ja miałam przecież sama najlepszy dowód, bo kiedy ksiądz proboszcz odprawił wotywę na intencją wyzdrowienia pana Kileckiego, to mu przecież kaszel zaraz ustał!

— A zkadże ksiądz proboszcz aż mszę odprawił na jego intencją? — zapytałem zdziwiony.

Panienka sponsowała, jak wiśnia, rączkę mimowolnym ruchem do ust poniosła, powiekami mrugać zaczęła, jak zakłopotane dzieci i chrząkając bardzo nieudatnie, odpowiedziała:

— Ksiądz?.. ksiądz proboszcz zawsze się za wszystkich sam modli.

— Tak... a za tych, co kaszlą, wyjątkowo, nieprawdaż?...

Bawił mnie i rozczulał zarazem ten ambaras naiwnego dziewczęcia, które mi w oczy spojrzeć nie śmiało, zdradziwszy mimowoli swą tajemnicę. Któżby inny, jeśli nie ono w swęj anielskiej prostocie zdoby-

ło się na pomysł odprawienia wotywy za zdrowie chorego samotnika.

— Niechże pani przyjmie podziękowanie dla księdza proboszcza — rzekłem z uśmiechem, całując drobną i delikatną rączkę — że ma tyle troskliwości o mojego przyjaciela.

— Zkądże ja?.. cóż znowu?—próbowała się zapierać, ale jój to zupełnie nie szło, więc z rezygnacją porzuciła udawanie i z nowemi rumieńcami na licach, odezwała się w końcu:

— Jeśli mnie pan nie zdradzi, to już się przyznam, żeśmy to z mamą obie dały na mszę, bo nam żal było pana Kileckiego, że taki błady i zmierzony był, kiedy do nas przyjechał. No, i potem mu się zaraz poprawiło, jak pan widzi.

— A pani się modli kiedy za niego?

— Hm... po co się pan pyta?..

— Ot tak, aby wiedzieć.

— Ja się za wszystkich modłę codziennie—odrzekła zawstydzonym szeptem.

— To zupełnie, jak ksiądz proboszcz—dorzuciłem z udaną powagą pod uśmiechem na ustach.

— Eh, pan zawsze mnie na słówka wyciąga!—przerwała z dąsem uroczym i uciekła, jak spłoszona sarenka; potem przez cały wieczór na mnie patrzeć nie chciała.

— Szczęśliwy ten Janek — pomyślałem—ilużby na jego miejscu przez całe życie pokaszliwać chciało, byle się za nich takie niewinne a śliczne aniołki modliły!

Nie próbowałem nawet dzielić się z Jankiem mojemi spostrzeżeniami w pałacu; po co?.. byłby tyl-

ko mruczał swoim zwyczajem, ramionami wstrząsał, po pokoju, jak wilk po klatce biegał, z domu uciekał, aby się po lesie wałęsać do późnej nocy.

Ale przyszło i do tego, że się z nim stanowczo rozmówić musiał, odsunawszy na bok wszystkie względy.

Zakochani budzą sympatyą dla siebie; człowiek mimowoli zbliża się do tego serca, co w miłości jak kwiat rozkwita. Może dla tego, że przypomina nam ono naszą własną wiosnę uczuć, mamy dla niego jakieś współczucie, radziłobyśmy sprzymierzyć się z nim, pomódz mu do szczęścia.

Polubiłem też pannę Tynię podwójnie, odkąd podglądałem tajemnicę jój dziewiczego serduszka, nie zastanawiając się nawet, jakim sposobem ta miłość tlić się w nim ukrytymi iskierkami zaczęła.

Alboż to się da zbadać kiedy?...

Pewny byłem tylko, iż Janek niczém a niczém nie starał się zasłużyć na to uczucie, które bez jego wiedzy, a wbrew jego woli rozbudzało się z dniem każdym coraz więcej w piersiach panienci. Im bardziej instynktownie unikał jój towarzystwa, im bardziej okrażał pałac, im rzadziej jój na oczy nachodził: tém silniej zajmowała się wyobraźnia dziewczyny, tém głębiej ta cicha, skromna, nieśmiała miłość wrastała w dziewczęce serce.

Jak ptaszek na jesieni milkła, smutniała; jakaś zaduma schylała jój śliczną główkę na piersi, gdy udawała, że czyta książkę w altanie, albo z zajęciem wyszywa na kanwie ulubione bławatki i róże. Myślała o nim i zapewne napróżno siła się rozwiązać

zagadkę, dla czego z jego strony tak mało spotyka życzliwości, względów, uwagi?

Zakochane serca, a młode, nie mogą zrozumieć, aby miłość nie budziła wzajemności, że aby być kochanym, nie dość kochać samemu; w jednej tylko sferze uczuć niema tych praw równowagi, które panują w całym wszechświecie.

Czemuż tak nie jest!.. mniej łez, mniej goryczy, mniej cierpień spłynęłoby z potokiem życia.

Bo czy jest większa męczarnia dla ludzkiego serca nad tę: kochać, a nie być już, albo jeszcze kochanym?...

Żal mi było dziewczyny, otwarcie z nią porozmawiać nie śmiałem; pierwsze uczucia, u kobiet zwłaszcza, mają jakąś wstydlivość, pragną tajemniczości, nie chcą się przyznać wprost, że istnieją, drażliwe są jak mimoza na lada dotknięcie.

Każda miłość jest tajemnicą serca, a cóż dopiero pierwsza!.. A jednak dziwna sprzeczność łączy się z nią najczęściej; chciałoby się o nią tylko rozmawiać z całym światem, a zarazem przed całym światem ją ukrywać. I ztąd zapewne te rozmowy z niemyimi sprzymierzeńcami, którzy bez wymiany słów, słuchają spowiedzi gadatliwego serca, te rozmowy rozmarzonej duszy kochanków z milczącymi gwiazdami na niebie, z kwiatami na ziemi, z cichą nocą wśród samotnych dumań...

Jakiś niedzieli wieczorem siedzieliśmy we troje: ja i oboje Żaliwscy pod werendą pałacu od strony ogrodu; duża japońska lampa o kolorowych przeźroczach, zwieszała się nad stolikiem z zastawą do herbaty i rozlewała łagodne światło wśród cieni wieczoru.

Po skwarnym dniu zapadła noc cicha, milcząca, w której objęciach zdawała się usypiać cała znużona natura. Ani listek zaszeleścił, ani jedno tchnienie wietrzyka nie przemknęło w powietrzu; gęste cienie, jak czarną gazą otulały ziemię, kłaby śpiących kwiatów przed werendą i grupy drzew rysujące się w fantastycznych sylwetkach na tle nieba, z którego noc jeszcze nie mogła do reszty zetrzeć złotawo-błękitnej poświaty zachodu.

Rozmowa się przerwała; pani Hieronimowa bujała się zlekka w fotelu na biegunach z głową w tył przechyloną, z oczyma utopionemi w srebrnawych chmurkach na niebie. Pan Hieronim w zamyśleniu puszczał kółka dymu z zapalonego cygara, ja stałem oparty o drzwi salonu i słuchałem tej wspaniałej wymowy milczenia, którą ma noc letnia na wsi.

Naraz cichutko, nieśmiało, w pianissimach przytłumionych, odezwał się z wnętrza domu fortepian; jakaś smutna, rzewna, rozplakana dumka wypłynęła z pod klawiszów instrumentu.

Pani Hieronimowa ocknęła się z marzeń swoich i rzuciła znaczące spojrzenie na męża, który w tej samej chwili podniósł za nią oczy, jakby chciał niemi powiedzieć do żony:

— Uważaj!

Piosnka dźwięczała spokojna, rozręskniona, jak marzenie, wśród szmeru cichych, arfowych akkordów i około jednego tematu krążyła uparcie, niby kręgi fal na stawie, które spadły listek z więdającego drzewa u brzegu wytwarza.

Pani Hieronimowa podniosła się bez szelestu z siedzenia i wyszła z werendy, z palcem na ustach,

nakazując nam milczenie; podeszła pod otwarte okno, przez które dolatywały dźwięki fortepianu i dała znak mężowi, aby się zbliżył.

Przy fortepianie siedziała panna Tynia i grała zatopiona w jakiejś smutnej zadumie, zlekka kołysząc głową, jak ci, co się skarżą lub żalą.

Uważałem, że Żaliwski westchnął i szepnął coś na ucho żonie, która powstrzymała go znowu gestem i na palcach cichutko weszła do salonu, aby ukradkiem, niepostrzeżona zbliżyć się jak cień do dziewczyny. Potem zlekka nachyliła się nad nią i ująwszy główkę dziewczęcia swemi rękoma, pocałowała ją czule.

Piosnka urwała się nagle, paluszki odskoczyły od klawiszów i w jednej chwili, przydybana tak zniecka panienka zasłoniła sobie oczy, namiętnie całując ręce macochy i ukrywając twarz na jej łonie.

Obie kobiety trzymały się w uścisku przez długą chwilę, potem młodsza z łkaniem wyrwała się z objęć starszej i wybiegła z pokoju.

Żaliwski strzepnął popiół z cygara gwałtownym ruchem i zwracając się do mnie, jako do świadka całej sceny, rzekł:

— Z temi dziewczętami to bieda!..

Zdawał się namyślać przez chwilę, potem dla zatarcia wrażenia dodał swobodniejszym tonem:

— Nie każ pan córki uczyć muzyki, jeśli będziesz miał córkę, bo to denerwuje tylko kobiety. Kosztuje wiele, a pożytku z tego mało.

— Co to za taka smutna piosenka? — spytałem panią Hieronimowę, wracającą do nas z salonu.

— Która?...

— A ta, którą panna Tynia grała przed chwilą?

— Jakto, nie znasz jej pan? — wtrącił Żaliwski — przecież to moja córeczka nauczyła się jej od pańskiego przyjaciela. Dawniej wygrywał ją całemi wieczorami na swój drumli... dziewczyna ma dobry słuch.

— I czule serce — dorzuciła prawie niedosłyszalnym szeptem pani Żaliwska, wdychając, jakby chciała tém powiedzieć: „ot! nieszczęście!..“

Scena ta, na pozór mało znacząca, zwarzyła nam dalszą rozmowę.

Nie kleiło się jakoś; wszyscyśmy dobrze rozumieli, co taka piosnka, grywana przez siedmnastoletnią dziewczynę, co taka zaduma, taki wybuch łez i uczucia — znaczy, ale trudno nam było mówić o tém. Zarówno mnie, jak i rodzicom Tyni nie było tajemem, że się w panience serduszko zbudziło...

Kiedy wróciłem do domu, miałem już powzięte postanowienie rozmówić się poważnie z Jankiem.

Przed nim nie było czego ukrywać.

Zastałem mojego dziwaka leżącego na sofie w ciemnym pokoju i udającego, że drzemie.

— Przez ciebie wyspać się nawet nie mogę — rzekł mi na powitanie opryskliwie — myślałem, żeś się już przeprowadził całkiem do pałacu i że tam przenocujesz.

— Słuchaj-no — przerwałem mu, siadając obok niego na sofie i kładąc mu rękę na ramieniu. — Można z tobą pomówić raz rozsądnie?

— Można.

— Więc zbierz wszystkie zmysły i uważaj.

— Ho, ho!.. coś z wysokiego tonu zaczynasz.
No, mów.

— Powiem ci coś, co każdego innego mogłoby uszczęśliwić—zacząłem—ale z tobą, to nie łatwo do ładu trafić.

— Ha, trudno!.. o cóż idzie? palnij prosto z mostu, bo wiesz, że nie lubię długich wstępów.

— Tém lepiej; otóż mam zaszczyt oznajmić pannu, że rozkochałeś, bratku, pannę Żaliwską nie na żarty.

— Ja!?!—wrzasnął na całe gardło i zerwał się, jak na sprężynie.

— Tylko spokojnie, bez hałasu. Nie masz się czego rzucać i krzyczeć. Sprawa jest poważna, i trzeba ją poważnie traktować.

— Zwaryowałeś!..

— Nie zwaryowałem wcale; to, co ci mówię, jest prawdą. Dziewczyna jest w tobie zakochana, stało się—jestto pewnie jój pierwsza miłość w życiu, tego lekceważyć uczciwemu mężczyźnie nie wolno. Nie będę ci szeroko i długo téj rzeczy tłumaczył, ale możesz mi wierzyć, że mówię poważnie i że mam na to pewne dane. Szczęście ci się samo naprasza; panna tobą zajęta, rodzice przyjmą cię z otwartymi rękoma; dziewczyna dobra, ładna, bogata, wykształcona:—czegoż chcesz więcej!.. Podziękuj Bogu, że ci takie szczęście darowuje.

Zerwał się z sofy, pochwycił mnie za rękę i spytał:

— Słuchaj, ty mnie nie zwodzisz, ani nie próbujesz?

— Czyś oszalał!.. za kogóż mnie masz?..

— Ty mówisz prawdę, nie mylisz się?..

— O to bądź spokojnym.

Załamął ręce, głowę zwiesił na piersi i myślał.

— To nieszczęście!—rzekł po chwili.

— Nieszczęście?.. dlaczego?

— Bo ja jój nie kocham.

— To pokochasz.

— Nie, mój drogi; ja żadnej kochać nie będę, nie mogę, nie potrafię. Niech mi dadzą pokój — pokój mi tylko potrzeba w życiu, niczego więcej. Co za szaleństwo kochać się we mnie, w dziwaku, w człowieku chorym, rozdrażnionym, rozbitym fizycznie i moralnie!..

— Mój kochany — przerwałem mu — sercu nie można na rozum przekładać. Wytlumacz-że sobie, że dziwaczysz, że zbrodnię niemal popełniasz, odrzucając taką miłość. Co tobie jest, człowieku?.. Sam sobie życie zatruwasz, własne szczęście niszczysz.

— Sam!.. ha!..

Skoczył, jakby go żmija w samo serce ukąsiła, wzburzony był, oddychał szybko, gorączkowo, powtarzał tylko: „nie!.. nie!..“ jakby własnym myśłom gwałtownie odpowiadał.

Zacząłem mu przedstawiać, jak źle robi, że tak uparcie zapiera się najszlachetniejszej strony natury ludzkiej, mówiłem o pannie Tyni, o miłości, o szczęściu, o małżeństwie, o celu w życiu każdego mężczyzny, próbowałem go wzruszyć, rozgrzać, rozbudzić.

Słuchał z zaciśniętymi ustami, z okiem w ziemię spuszczoném, jakby zakamieniały; raz tylko ręką oczy przysłonił i jęknął cicho:

— Boże, Boże! po co ci słabych ludzi tak doświadczać!

Potém nagle powstał i przerywając mi w największym ferworze, rzekł głosem zimnym, jak stał:

— Dość tego... późno już, idź spać. Już ja tę sprawę sam załatwię.

Podał mi rękę i niemal siłą wypchnął mnie z pokoju, drzwi na klucz zamknął i w ten sposób zakończył naszą rozmowę.

Na drugi dzień rano, dobrze już słońko świeciło, kiedy się obudziłem. Paweł z pochmurną jakąś i zakłopotaną miną przyszedł do mego łóżka.

— Pan już wstał?—zapytałem starego sługę.

— Pan już od dwóch godzin, jak wyjechał.

— Do lasu?

— Ale gdzie tam, do stacyi, na kolej.

— Co?—skoczyłem na równe nogi z posłania.

— Ot! coś go znowu ugryzło—odparł, machając ręką—jest tu list do pana.

— Dawaj-że!

W liście stały tylko te słowa nakreślone na świstku papieru:

„Przepróż. Żaliwskich—wyjeżdżam, bo tak być musi. Rachunki i plany są w biurku. Rzeczy każ Pawłowi spakować i zabierz ze sobą. Nie wrócę już tu więcej. Znajdź, jaki chcesz, powód mego nagłego wyjazdu. Bądź zdrow!”

— Waryat, waryat, waryat!—krzyknąłem z oburzeniem.

V.

Nie jest to przyjemne zadanie, naprawiać cudze szaleństwa, zwłaszcza w takich warunkach.

Przyznaję, że miałem przedewszystkiém ochotę spakować moje manatki i wynieść się chyłkiem, bez pożegnania i tłumaczenia z Konopnicy, a staremu Pawłowi zostawić missyą, jaką mnie kochany Janek narzucił.

Niech sobie, kto chce, łamie głowę nad dziwactwem dwóch zagadkowych waryatów, którzy znikają, jak kamfora w najniestosowniejszej po temu chwili.

W pałacu dowiedziano się bezemnie o nagłym wyjeździe Janka i właśnie kiedy zły, jak dyabeł, siedziałem w kawalerskim negliżu przy oknie, którem wyskakiwał zwykle mój dziki przyjaciel, zjawił się nagle sam Żaliwski.

— Co to, pan inżynier wyjechał?—zapytał ode drzwi.

Nie można było bardziej zniecka napaść na kogo; nie miałem jeszcze wyobrażenia, co powiedzieć, jak skłamać, w jaki sposób prawdy nie mówiąc, do której nie byłem upoważniony, obronić szaleńca.

— A tak, wyjechał—odrzekłem—wyjechał rano o samym świcie.

— Cóż tak pilnego?

— Miał ważny powód.

— Kiedyż wróci?

— Kiedy wróci?... nie wiadomo, może nie prędko.... właśnie mi tu polecił... zaraz... gdzież te klu-

czyki?.. w biurku mają być plany, rachunki... na wypadek gdyby już sam nie mógł służyć.

Język mi się plątał.

— Jak-to, przypuszczasz pan, że opuścił nas zupełnie?

Chwila stosowna nadeszła; nie było co dłużej zwlekać i przeciągać kłopotliwej sytuacji.

— Tak jest — rzekłem — wyjechał i kazał mi przeprosić pana, że w taki sposób opuszcza swoje obowiązki. Ważne powody osobiste... moralnej natury, zmusiły go do tego kroku i proszę pana bardzo, nie nalegać, abym je musiał wyjawiać.

Żaliwski spojrzał mi w oczy badawczo, z wielkiem zdziwieniem.

— Czyżby panu Janowi źle tu było?

— Ach, jemu nigdzie dobrze nie będzie — odparłem — w ostatnich czasach był bardziej jeszcze rozdrażniony. Dziwak, jak go państwo mogliście poznać; człowiek chory, zdenerwowany, nie odpowiedzialny za siebie...

— Tak... to jednak coś więcej, niż dziwactwo.

Zamyślił się, szukając widocznie powodów tego nagłego zniknięcia Janka; ja tymczasem przeszukiwałem szufladkę jego biurka i wydobywałem papiery, uporządkowane systematycznie.

Pomiary były prawie ukończone, więc pod względem spełnienia swych zobowiązań nie mógł go spotkać żaden zarzut; tém dziwniejszym i bardziej zagadkowym stawał się jego wyjazd.

Żaliwski przerzucił plany bez wielkiego zajęcia, spojrzał na podsummowane rachunki i wykazy, prze-

szedł się po pokoju, wreszcie zbliżył się do mnie i podając mi rękę, rzekł:

— Pan musisz wiedzieć, co było powodem wyjazdu pańskiego przyjaciela — nie ukrywaj, jeśli to możliwe. Zależy mi na tém — muszę przecież powiedzieć coś moim kobietom.

— Ach, to właśnie... — wyrwało mi się niepożebnie z ust, i chociaż w téj samej chwili chrząkaniem i kaszlem chciałem pokryć głupstwo, jakie palnąłem nieostroźnie, już było zapóźno.

Żaliwski zrobił duże oczy, potem nagle, jakby mu w głowie rozświtało, zmarszczył czoło, przygryzł wargi i szepnął tylko:

— Ach, tak? — i widocznie zrozumiał, że cała sprawa stała się bardziej interesującą, ale i bardziej drażliwą do dalszej dyskusji między nami.

Spostrzegł, że chodziło prawdopodobnie o Tynię, ale musiał zauważyć i to, iż nie miałem wcale ochoty rozwodzić się w téj materji.

— Hm, hm! — pomrukiwał, kręcąc w palcach papierosa, wreszcie odezwał się:

— Ależ pan przecie zostaniesz jeszcze naszym gościem czas jakiś?

— Byłoby mi bardzo przyjemnie — odrzekłem wymijająco — ale i tak przedłużyłem mój pobyt i właśnie dziś lub jutro miałem zamiar wyjechać.

— I pan także! — zawołał z udanym uśmiechem — a toż dżuma w Konopnicy, czy co?.. Nie, pana przynajmniej nie puścimy. Zostaniesz na zakładnika, bo ja sędzę, że naszego deztertera ściągniemy jeszcze.

— Wątpię — wtrąciłem.

— Wątpisz pan, nawet gdy go pięknie poproszę ja, i moja żona... i moja Tynia?

Na tę ostatnią położył widocznie umyślny nacisk i patrzył we mnie badawczo.

Trzeba było w tej chwili powiedzieć mu wprost i otwarcie, że to właśnie przez nią i dla niej Janek uciekł, jak zbieg; ale zarazem wytłumaczyć: co go wypędziło, co go spłoszyło od oczu i serca młodej dziewczyny; trzeba było wyznać tę najtrudniejszą do wyznania prawdę, iż jęj nie kochał, jęj miłości nie podzielał, jęj uczucie odrzucał.

A dla czego?.. Bóg jeden wiedział, bo mnie nawet domyślić się było trudno.

Zresztą, choćby i znalazły się wszelkie najbardziej przekonujące powody, żaden z nich nie byłby dostatecznym argumentem dla dziewczęcego serca, a każdy tylko nową drzazgą, nowym cierniem wbiliłby się w biedną, dziewczą, zakochaną duszyczkę panny Tyni.

Jakże mi żal było tej biedaczki!..

Dla tego samego chciałem jaknajbardziej przyspieszyć mój wyjazd z Konopnicy. No, i postawiłem jakoś na swoim.

Z Żaliwskimi do końca chodziłem, jak na szczudłach, wymijając wszystkie pytania, krępowane na szczęście z ich strony wytłumaczoną zupełnie drażliwością względem człowieka, bądźcobądź obcego.

O Janku wyrobiliśmy sobie opinią: że dziwak, że chory, że mu coś do głowy strzeliło, że powinien się sam usprawiedliwić i, że to zapewne prędzej lub później uczyni.

Panna Tynia była bladą, jak lilia przy księży-

cu, oczki jęj tylko powiększyły się, usteczka drżały i widać było, jak całą siłą wstrzymywała płacz, który tam w głębi dziewczęcej piersi wrzał i kotłował ujarzmiony.

Nie śmiała wybuchnąć przy rodzicach i przy mnie, nie śmiała pytać o nic; bała się odezwać, bo głos jęj odmawiał posługi—dopiero kiedyśmy na chwilę znaleźli się sami w salonie; zbliżyła się do mnie nieśmiała, jak dziecko, jakaś dziwnie pokorna i drżąca i spuszczaając oczy, spytała:

— Proszę pana, czy odjeżdżając, nie kazał... nam nic powiedzieć?..

— Nic — musiałem odrzec, choć to słowo niewinne dławilo mnie w gardle.

— A nie zostawił nic na pożegnanie?

— Nic.

— Niech jedzie z Bogiem—szepnęła, polykając łzy, które jęj dłużej mówić nie pozwoliły.

To *nic*, było wszystkiém, co główkę i serce zakochanego dziewczęcia odtąd wypełniać miało w męczarni domysłów: „dlaczego on wyjechał?..“

Przysięgam sobie uroczyscie, że pana Jana za uszy wytargam bez wszelkiej ceremonii, przy najbliższém spotkaniu, a takie *verba veritatis* miał usłyszeć odemnie, jakich mu w życiu nikt nigdy nie powiedział.

Niech mi się tylko zjawi!..

Pawła z resztą pozostałych rzeczy zabrałem do siebie i zaczęliśmy szukać zbiega, który swoim zwyczajem przepadł bez wieści.

Ale Janek się nie zjawiał; dzień za dniem upływał, a o nim słyhu nie było.

Z Konopnicy odebrałem list od Żaliwskiego, niby w interesie, a głównie z zapytaniem: czy o panu Kileckim wiadomości jakieś nie miałem? zapowiadano mi przyjazd całej rodziny na zimę do miasta, bo zdrowie Tyni i pani Hieronimowej wymagało podobno tego.

Odpisałem, że nic nie wiem i wiatru w polu dogonić nie mogę.

Późną jesienią, w jakiś cieplejszy dzień, o południu, wybrałem się na przechadzkę do Saskiego Ogrodu. Wyznałem, że przestałem już tak gorąco zajmować się Jankiem i zleciłem wszystko przypadkowi, który między nami jakoś dotąd najlepiej spełniał rolę pośrednika, a ten przypadek, tak wypominany autorom, tak wytykany w powieści i dramacie — w życiu przecież sprawia nieustannie najsilniejsze efekta i ma niezmierne znaczenie swoje.

Ileż-to żywotów ludzkich, z samych złych, lub dobrych przypadków się złożyło!...

Wybrałem umyślnie ustronną aleję, aby z własnymi myślami tylko pogwarzyć, kiedy nagle na jednej z ławek spostrzegłem mężczyznę w bobrowym futrze, z długą brodą, siedzącego z zamkniętymi oczyma i grzejącego się w promieniach jesiennego słońca.

— Ależ to Janek! — zawołałem, podchodząc do niego szybkimi krokami — Janku, to ty?..

Zbudzony z dumań, czy z drzemki chwilowej, otworzył oczy, spojrzał na mnie spokojnie i cichym, bezdźwięcznym głosem, nie ruszając się z miejsca, odrzekł:

— Ja.

Struchlałem na widok tej twarzy wyzółklej, wychudłej, jakby pergaminem powleczonej, nie skórą ludzką.

Było coś trupiego w tych rysach o zaostzonych konturach; na policzkach doły, oczy zgubione w jamach, skronie jakieś zakłęsłe, usta sinawe, nie domknięte, z poza których bieleły się zęby.

Przy dużej, falistej brodzie, jeszcze bardziej odbijała bledź i chudość twarzy nieszczęsnego suchotnika. Nie miałem od pierwszego wejrzenia wątpliwości więcej, że choroba ta rozwinęła się już całkowicie w nadwątlonym organizmie Janka.

Spojrzał na mnie obojętnie, spokojnie, bez zdziwienia, jakgdybyśmy wczoraj dopiero się rozstali po zwyczajnej gawędce wieczornej; coś tylko, jak lekki uśmiech przemknęło mu koło ust, odwilżanych raz po raz spiekłym językiem.

— Jak się masz? — spytał po chwili, podając mi rękę i zatrzymując w niej moją. Oczy jego ożywiły się i badawczo patrzyły we mnie, jakby chciały dojrzieć wrażenie, które widok jego na mnie sprawił. W spojrzeniu tém czytałem ciekawość i niepokój, zwyczajny u suchotników, którzy wpatrują się w innych, jak w zwierciadło, by z niego dowiedzieć się o zmianach swego własnego stanu.

— Cóż, pięknie wyglądam? — zagadnął, nie spuszczać oka ze mnie. — Można mnie poznać jeszcze?..

Nie śmiałem mu wyznać prawdy.

— Zmieniłeś się trochę od ostatniego naszego widzenia się.

— Trup?.. co?..

— No, nie przesadzaj znów, tak źle przecież nie jest. Jakże się czujesz?

— Jak mnie widzisz: gasnę z dniem każdym. Chwała Bogu zbliżamy się do końca.

Znów się uśmiechnął boleśnie.

— Tak znowu wielkiej zmiany w tobie nie widzę—zacząłem z udaną swobodą.

Zmarszczył brwi, pokiwał głową z niezadowoleniem i rzekł:

— Daj pokój, nie kłam, nie staraj się napróżno pocieszać mnie: przecież nie dziecko!.. Skóra i kości ze mnie zostały.

— Gdzież ty mieszkasz, co robisz?

— Nic nie robię, próżnuję, a mieszkam w szpitalu.

— W szpitalu? — zawołałem z jakimś przykrém nad wyraz uczuciem.

— A w szpitalu; gdzież się miałem podziąć?... Mam kogo, coby mnie pilnował?.. tam przynajmniej płacę i mam wszelkie wygody, dozór, opiekę. Ja wiele potrzebuję... W szpitalu mi najlepiej. Dobrzy ludziska, pielęgnują mnie, jak malca chorego. Mam wszystko, czego dusza zapagnie, tylko coraz mniej mi się chce czego. Jeść nie mogę, bo żołądek nie znosi wiele jadła; pić znów za dużo nie pozwalają—mówię ci, szpital to jednak najpiękniejsza instytucja, jaką ludzkość wymyśliła... Cóż tam z moim Pawłem słyszać?

— A cóż, jest u mnie, i przykrzy mu się bez ciebie.

— To mi go przyslij, tylko mu powiedz, aby tabaki nie zażywał więcej, bo mnie teraz wszystkie

zapachy drażnią, a węch mi się wydelikacił, jak u legawca.

O Żaliwskich i Konopnicy ani słowa nie wspomniał. Wyrobił się w nim, jak zwykle u chorych ten jakiś egoizm, nie dopuszczający żadnego interesu dla reszty świata, i ta apatya, która znieczula na wszystko.

W szpitalu zajmował osobny pokój, za który płacił tygodniowo i cały dzień w nim przepędzał; czasem tylko dla odetchnięcia świeżem powietrzem pozwalano mu wyjeżdżać na przechadzkę, gdy dzień był pogodniejszy.

— To już koniec—powtarzał wbrew zwyczajowi suchotników, krzepiących się zwykle nadzieją do ostatniej chwili—ale to jeszcze długo się pociągnie—dodawał i wtedy spoglądał na mnie wzrokiem takim jakby się obawiał zaprzeczenia z méj strony. Pod tą pozorną rezygnacją ukrywało się jednak przywiązanie do życia i cicha nadzieja przedłużenia go, choćby w tych samych warunkach.

— Czy ty wiesz o tém, że są choroby ciała, które bywają lekarstwem duszy? — pytał mnie raz, gdy go jakiegoś dnia odwiedziłem w szpitalu, ale urwał natychmiast, jakby nie chciał dalej tematu tego rozwijać i chudą kościstą ręką zasłonił sobie oczy.

— Może to i lepiej—mówił dalej—żem, uciekając z Konopnicy na złamanie karku, dostał zapalenia opłucnej, które mi doprawiło do reszty tę pocziwą chorobę. Nie potrzebuję myśleć o nicém, tylko o bańkach, o oleju krotonowym, o proszkach i miksaturach... Ach, mój drogi, myśli bywają czasem skirem duszy; tak ją zjedzą, zgryzą, stoczą, na próchno,

żyć z taką duszą, to gorsze od śmierci; jednak się żyje... Molière miał słuszość, wzdychając: „Jakże to trudno umrzeć!”

— Powiedz mi—odważyłem się go zagadnąć—zład ty, który zaczynałeś życie tak swobodnie wesoło, z takim apetytem młodzieńczym do życia, nabrałeś tyle téj jakiegó goryczy i takiego pesymizmu? W tobie, mój Janku, tkwi dla mnie jakaś psychologiczna zagadka, której rozwiązać nie umiem. Nie śmiałem cię o to pytać otwarcie, bo widocznie uniikałeś zawsze tego tematu, ale przecież jako serdeczny przyjaciel miałbym prawo do twego zaufania...

Podał mi rękę i przerwał:

— Mój kochany, wierź mi, że jeżeli ci nie nie mówiłem, to dla tego, że ani tobie, ani światu nie mam nic do powiedzenia. Pamiętasz z Mickiewicza: „Są prawdy, których mędrzec nie mówi nikomu...” ja taką jedną prawdę w życiu kupiłem sobie, ale życiem za nią sam zapłacić musiałem. Dajmy pokój temu... to mnie męczy. Doktor nie pozwala mi mówić wiele.

I znowu musiałem przerwać rozmowę z nim w téj materji; nieraz mi się zdawało, że w tęsknym spojrzeniu Janka, dostrzegałem jakby jakąś chęć zwierzenia mi się z téj najskrytszej tajemnicy jego duszy, ale siłą woli widocznie tłumił ją w sobie.

— Nie mam nic do powiedzenia ani tobie, ani światu—powtarzał—byłem tylko żdźbłem trawy ludzkiej, które śmierć skosi lada dzień — i co tu gadać o sobie!...

Dzień każdy przynosił już stałe pogorszenie w chorobie Janka. Lekarz ordynujący coraz bardziej

czoło marszczył, coraz mniej, mówił po każdym nowém badaniu pacjenta, coraz bardziej pozwalał na wszystkie jego zachcianki i dziwactwa.

Dnie jeszcze jako tako przechodziły, ale wieczory zimowe, długie, ale nieprzespane noce męczyły biednego suchotnika okropnie.

Pocziwy Paweł czuwał przy nim bezustannie, całe tygodnie spędzał, nie kładąc się na spoczynek: pod piecem położył sobie materac i na nim siadał w kucki, z głową podpartą na rękę, drzemając chwilami tylko, ale najczęściej wpatrywał się godzinami w bladą twarz swego pana i starał się odgadywać jego myśli i życzenia.

Janek w fotelu dużym, staroświeckim, obłożony poduszkami, okryty kołdrą, w jednéj najczęściej pozycji, spędzał już całe dnie i noce.

Był to jakiś stan apatycznego wyczekiwania, pół-snu, pół-jawy: od czasu do czasu spoglądał na zegar i chmurzył twarz, jakby mu te godziny za wolno przepełzały.

Światła dziennego nie znosił, więc okno do połowy zakryto zieloną firanką; w nocy tylko mała lampka wisząca przed ukrzyżowanym Chrystusem nad głową Janka, rzuciła słabe, migotliwe światelko na ścianę i na twarz chorego, która posępnie, jak z wosku rzeźbiona, z jakimś wyrazem widma wyzierała z poduszek.

— Proszę pana — mówił mi nieraz półgłosem Paweł, gdy mnie na kurrytarz szpitalny wyprowadzał—jak ten nasz pan strasznie teraz wygląda!... Człowiek przecież nie dziecko, przyzwyczajony już do tego widoku, a w nocy to się żegna ze strachu,

niby przed duchem. Dzisiaj ja, stary, głupi omal nie krzyknąłem z przerażenia. Kiwnęła mi się trochę głowa nad ranem i usnąłem; ale gdzie mi tam usnąć na długo! Ciągłe mi się zdaje, że pan stęka, albo woła, albo pyta raz po raz: która godzina?.. więc się i zbudziłem nagle, a od razu patrzę na pana swoim zwyczajem. Jezus Marya!... chciałem wrzasnąć na całe gardło. Istny trup z otwartymi oczyma... w ciemności to te oczy takie ogromne mi się wydały, błyszczące, straszne, wyteżone przed siebie, jakby się im co przewidywało. Teraz to już i majaczyć chwilami zaczyna w jasny dzień. Och, Boże słodki, ulituj ty się!..

Nie było już żadnej nadziei ocalenia chorego.

Janek przytomności nie tracił, częściej tylko niecierpliwił się z lada jakiej przyczyny: a to, że doktor rzadko go odwiedzał, że mu wino odmienili, które kroplami połykał, że się nim przestają opiekować troskliwie.

— Tak mi się tu z początku dobrze wydawało, — mówił z jakimś dziecięcym smutkiem — a teraz widzę, że i tu źle.

Wszystko mu szpital przypominało, aptekę czuć było i kwasem karbolowym.

Śnieg na dachach i mróz na szybach dreszczem go przejmował.

— Żeby też trochę świeżego powietrza — zaraz bym się uczuł zdrowszym i rzeświejszym — mówił. — Ale kiedy to ta wiosna jeszcze!... którego mamy dzisiaj?...

Potém po cichu, z wysiłkiem, obliczał coś na

palcach, ołówkiem kreślił cyfry i niewyraźne słowa, które przemazywał z wyrazem niechęci.

Wieczorami kazał sobie opowiadać bajki, jak dziecko, albo czytać żywoty męczenników świętych i zdawał się słuchać tego z największym zajęciem; ale od czasu do czasu przerywał Pawłowi i, wskazując palcem nad głową, mówił spokojnym, naturalnym głosem:

— O, jaskółka!..

Gorączka trawiła go, jak żar i wypalała resztkę sił żywotnych.

Ta jaskółka fikcyjna przylatywała coraz częściej nad jego głowę; wpatrywał się w nią bystro, potém odwracał oczy i mówił do Pawła:

— I cóż dalej? czytaj!

A Paweł, łyżę połykając, przez okulary w mosiądz oprawne, które niby to kraciastą chustką przecierał, by wilgotne oczy ukradkiem osuszyć, drżącym głosem czytał przy świecy, zakrywaną grubą, spracowaną ręką, by blaskiem nie razila chorego i pociutku przewracał połówki, zatłuszczone karty Żywotów Świętych.

W połowie Stycznia jakoś miało się wreszcie wszystko to zakończyć.

Pewnego dnia, idąc na górę do Janka, spotkałem na schodach doktora, który wracał właśnie od niego.

— I cóż konsyliarzu? — spytałem — jakże się ma dzisiaj nasz chory?

— Bardzo źle — odrzekł znizonym głosem — mo-żeby wypadało uwiadomić rodzinę. Chwile są policzne.

— Czy on się domyśla czego?

— Wiesz pan przecie, że o śmierci swojej nie wątpi, tylko nie przypuszcza, że ona tak blisko. Dzisiaj nawet wydał mi się spokojniejszym, niż zwykle. Pod wieczór zapewne mu się pogorszy, duszność powróci, a wtedy...

— Wtedy?.. wtedy posłać po pana konsyliarza, czy tak?

— Nie, najpierw po księdza—rzekł, odwracając głowę i żegnając mnie uściskiem ręki, zbiegł szybko na dół.

Wieczorem mu się rzeczywiście pogorszyło.

Obaj z Pawłem, jak dwa cienie, po cichu na palcach krążyliśmy około fotelu Janka, porozumiewając się spojrzeniem.

— Oj, panie, panie — biadał stary sługa — on chyba téj nocy już nie przeżyje. Słyszysz pan, jak mu w piersiach gra?... zupełnie jak organy.

— Co wy tam szeptacie po kątach?—pytał chory, otwierając naraz szeroko zmrużone oczy — okropne nudy!.. doktora niema?... był dzisiaj?... nie mogę sobie przypomnieć.

Opuszczała go już chwilami pamięć.

— Jakoś mi lepiej — mówił do mnie, gdy mu podawałem szklankę z wodą do picia—tylko się boję tego duszenia... to straszne!... zatyka naraz w piersiach, w gardle, w nosie. Zupełnie, jakby cię na szubienicy wieszali. Paweł... czytać.

Wskazał ręką na księgę leżącą na stoliku, poprawił głowę w poduszkach, powieki zaczęły mu opadać i podnosić się z wysiłkiem, na skroniach znać

było bijące pulsa. Ręce złożył, jak do modlitwy i słuchał.

Paweł usiadł na stołeczku u nóg chorego, z książką na kolanach i zaczął czytać żywot świętego Sebastjana męczennika, szczególnego patrona od morowego powietrza. Głos mu się łamał ze wzruszenia, drżał, gubił biedaczysko wyrazy, lub powtarzał je kilkakrotnie; stare oczy, z książki przebiegając na twarz chorego pana, nie mogły tak łatwo trafić na dawne miejsce.

Janek milczał ciągle; zdawało się, że usypia.

Paweł nie przerywał czytania i właśnie z przejęciem wierzącego prostaczka wygłaszał gorącą przemowę świętego do Marka i Marcellina, zachwianych chwilowo w wierności Chrystusowi.

— „Zastanówcie się nad tém, co robicie! odstępujcie wiary, zdradzacie Boga, szatanowi cześć oddajecie!”

„A gdy skończył przemawiać, światłość nadzwyczajna napełniła mieszkanie. Pan Jezus, ukazujący się wśród siedmiu aniołów, przystąpił do niego i jakby na znak potwierdzenia jego słów, dał mu pocałunek pokoju, mówiąc: „Ty zawsze będziesz ze mną!”

W tém miejscu Janek otworzył oczy i głosem dziwnie czystym i pewnym, ale jakimś głębokim żalem, bólem, goryczą i wyrzutem nabrzmiałym, powtórzył słowa:

— Ty zawsze będziesz ze mną!..

Zdawało się, jakby one budziły w nim całą duszę i szarpnęły nagle nicią zrywającego się życia.

Paweł czytał dalej:

— Czemu ty stary płaczesz?—spytał go Janek łagodnie.

Starowina chrząkać zaczął i jak dziecię przydybane na złym uczynku, wypierał się:

— Ja?... cóż znowu?... coś mi tam w gardle stało tylko... czegożbym miał płakać?—jeszcze czego!—a łzy mu po zmiętej twarzy ciurkiem płynęły i kapły dużemi kroplami na książkę; ścięrał je szybko dłonią z bibulastych kart i już panując całą siłą nad wzruszeniem, czytał do końca historią świętego męczennika, którego żołdaci Dyoklecyana, obnażonego i przywiązanego do słupa, strzałami z łuków ranili.

Chory słuchał teraz z uwagą bardziej skupioną, usta jego poruszały się jakimiś wyrazami, których dosłyszeć nie mogłem, ale zdało mi się, że powtarzał: „Ty zawsze będziesz ze mną!..“

Wreszcie stary sługa zsunął się na kolana, ręce złożył nabożnie i zaczął odmawiać modlitwę.

— Boże! któryś świętego Sebastjana męczennika szczególnym darem utwierdzenia wiernych w wytrwałej miłości obdarzył: daj nam za jego pośrednictwem i przykładem...

W tej chwili Janek poruszył się gwałtownie, szybkim ruchem zrzucił koldrę z siebie i rozrywając zaczął koszulę na piersiach. Twarz jego wykrzywiła się kurczowo, oddech stał się głośniejszym, chrapliwszym, oczy omal z oprawy swój nie wyskoczyły, na czoło wystąpiły krople zimnego potu.

Przepowiedziana przez doktora kryzys nadeszła.

— Jezus, Marya—to pewno już śmierć! — wy-

rwało się wśród płaczu z ust przestraszonego Pawła, który poskoczył na ratunek panu.

Chory drgnął konwulsyjnie, wyprężył się, jak struna, próbował wstać niby do ucieczki i zduszonym w gardle głosem powtarzał:

— Śmierć?... śmierć?...—potém uczeplił się rękoma starego sługi i przytulił do niego, dysząc ze zmęczenia i wysiłku.

— Janku mój biedny!—szeptalem, cucąc go wodą kolońską i eterem—uspokój się biedaku, będziesz żył jeszcze.

Łzy stały mu w oczach, ręką zrobił jeszcze ruch jakiejś dziwnej rezygnacyi i podał mi ją, jakby na pożegnanie ostatnie.

Paweł podtrzymywał mu głowę i ocierał spocniałe skronie.

Walka ze śmiercią trwała krótko.

Konający podnosił powieki i gasnącém spojrzeniem patrzył, to na mnie, to na Pawła; od czasu do czasu twarz mu zadrżała kurczowo, jakby się wewnątrz nitka po nitce zrywała w pasmie życia.

W pokoju było cicho, tylko lampka przed krzyżem przyskała i migotała, i z piersi Janka wydobywało się głuche, ciężkie rżerzenie konania, a Paweł ledwie dosłyszczanym szeptem odmawiał modlitwę za umierających.

Po chwili wypoczynku biedny mój przyjaciel westchnął głęboko, jak zmęczony rozbitek, przypływający do brzegu i cicho, z jakąś wewnętrzną błogością, z jakimś ukojeniem zbawionego męczennika, szepnął ostatnie słowo: „przecie!..“ jakby z niem śmierci rzucił się w ramiona.

Oczy mu bielmem zasłży—już nie żył.

W uszach mi dźwięczy dotąd ten cichy wykrzyk zbolalej duszy: przecie!.. przecie!..

Tak umierają ci tylko, co życie, jak dźwigane brzemie, rzucają przy grobie.

Kiedyśmy ciało nieboszczyka z fotelu przenosili na łóżko, z pod poduszek wysunęła się czarna, skórzana teczka, zamknięta na stalowe klamerki. Zajęty oddaniem ostatniej przysługi zmarłemu, nie zwracałem z początku na nią uwagi, lecz, potrzebując jakiegoś dowodu legitymacyjnego przed pogrzebem, zajrzałem do zawartych w niej papierów i tam znalazłem dopiero klucz do rozwiązania zagadki, dlaczego memu biédnemu Jankowi — nigdzie dobrze nie było.

W téj teczce nieboszczyk zostawił tajemnicę życia złamanego, smutną i ciemną, ale przez nią rozjaśniło mi się wiele dziwactw i zagadek jego natury.

VI.

Od południa deszcz padał tego dnia, w którym chować mieliśmy biednego Janka; zima się nagle gdzieś podziała, odtajało najniespodzianieję, rozmiękły grudy, biała powłoka śniegu na dachach spłynęła strugami wody.

W taką słotę i szarugę, dążyliśmy na cmentarz za trumną nieboszczyka we dwóch tylko, ja z Pawłem.

Stary sługa pod parasolem, ale z odkrytą przez

całą drogę głową, brnął w błocie po kostki, a na krok nie chciał odstać od karawanu.

— To się naszemu panu należy — mówił z powagą—to moja ostatnia służba przy nim.

Smutno i dziwacznie musiał wyglądać ten kondukt pogrzebowy; ani przyjaciół, bo ich prócz mnie nie miał, ani znajomych, bo ich nie szukał w czasie swojego pobytu u nas. Obcy, odstrychnięty od świata za życia, samotny szedł do grobu, nieznany po śmierci.

Ot, skoszone żdźbło trawy ludzkiej—jak mówił o sobie.

Z rodziny nikt nie przybył; za daleko było, za późno, nawet przy najlepszych chęciach stawić się na dzień pogrzebu.

Żaliwscy bawili gdzieś na południu; któż miał przyjść chować samotnika, jeszcze w taką słotę!..

Karawan po grudach podskakiwał, trumna chwiała się w jedną i w drugą stronę, że aż rzemienie trzeszczały, a w trumnie kołatał się trup Janka, któremu i tam nawet, w tém ostatniém posłaniu dobrze być nie musiało.

Konie ze spuszczonei łbami, w przemokłych kapach, leniwo stapały po błocie, a karawaniarze z lampionami żałobnemi szli, mruczając i wyrzekając na „psią pogodę.“

Tak dowieźliśmy go nareszcie na cmentarz prawie o samym zmroku i pochowali w murowanym grobie jednego z moich znajomych, który się zgodził czasowo udzielić gościny nieboszczykowi; zwłaszcza, że ten był pierwszym lokatorem domku cmentarnego, w którym śmierć gospodarzy.

Pokropiło niebo trumnę obficie, pokropił ksiądz, odmówił szybko modlitwy za umarłych, grabarz zatrzasnął żelazne drzwiczki grobowca, klucz w zamku zazgrzytał i było po pogrzebie.

Śmierć, to taka zwyczajna przygoda, a tak trudno się do niej przyzwyczaić...

Smutny, zgnębiony, przeziębły do kości, siedziałem w godzinę później przy mojem biurku; przedemną leżała skórzana teczka Janka z stalowymi klamkami, najważniejsza spuścizna po tajemniczym dziwaku. Wyjąłem z niej zwitek papierów i listów do rodziny, notatek obojętnych, szkicowanych rysunków, widoków ze Wschodu. Wszystko to niczem ważniejszym nie zwróciło mojej uwagi, nie mówiło nic, nie odsłaniało wnętrza téj zbiedzonej i splekanej duszy zmarłego.

Dopiero w osobnej przegródce, zawiązanéj czarnemi tasienkami, znalazłem spory kaset listowego papieru; papier był nie jednakowy, znać nie dobierano ani koloru, ani formatu, początkowe arkusiki były zgniecione już dobrze i pożółkłe, ostatnie świeże jeszcze i nie zapełnione tém drobném ogrągłem, równiutkiem pismem, w którym poznałem odrazu rękę Janka.

Na pierwszej karcie data była z przed trzech lat jeszcze, a pod nią tylko słowa: „Niechaj ci Bóg przebaczy!... bądź szczęśliwą nawet nieszczęściem innych!”

Tych kilka wyrazów, skreślonych widocznie gorączkowym ruchem ręki, co w pośpiechu wyrwały się tak samo z pod pióra, jak się wyrwały z duszy

piszącego, były dla mnie błyskawicą, która nagle rozświeciła mi mroki w życiu zmarłego.

A więc przewidywania moje i podejrzenia były słuszne, mimo to, że je wszelkimi sposobami odsuwałem i zmylałem ich tropy, że z właściwym sobie uporem zaprzeczałem najlżejszej myśli o istnieniu w jego życiu miłości dla kobiety, że się zapierałem uczucia, które tylu zbawionych i tylu męczenników stworzyło w świecie, ile tylko serce kołatało w ludzkich piersiach!... a więc na dnie wszystkiego, na dnie dziwactw jego, cierpień, tajemniczych porywów, apatii, zniechęcenia do życia, rozterki ze światem, całej męczarni powolnego konania była przecież ta umyślnie wyszydzana, lekceważona, znienawidzona przez niego—miłość.

Więc kochał, choć się do tego nigdy przyznać nie chciał, więc to jednak ta stara, jak świat i serce ludzkie historia, która wytwarzała owe dziwne, tajemnicze cienie w jego charakterze i ostatnie lata życia tak zagadkowemi czyniła.

Ale dlaczego kłamał, dlaczego się zapierał, dlaczego zależało mu tak bardzo na unikaniu wyznania wszelkiego?..

Z gorączkową ciekawością zacząłem odczytywać te tajne dokumenta jego duszy.

Był to oryginalny rodzaj pamiętnika; jak w warstwach ziemi pozostały ślady wszystkich wewnętrznych jęj przewrotów i zaburzeń, tak w tych zapisanych kartach odbił się cały psychologiczny i tajemniczy proces, który niby w zamkniętém wnętrzu wulkanu rozegrał się w duszy i sercu biednego Janka.

Ów krótki wykrzyk, rzucony jak ostatni ak-

kord pełen zgrzytu i rozdzwiewku, rozwijał się dalej stopniowo, mimowoli, w jakąś cichą, smutną, żalosaną, spowiedź serca, które w tém jednym szukało ulgi, że mogło samo przed sobą się wyplakać z łez, powstrzymywanych całą siłą przed światem.

Są natury dumne, skryte, zamknięte w sobie, ambitne, które się wstydzą najmniejszej słabości, które nie chcą się zwierzać nikomu, największy ból znoszą z zaciśniętymi zębami, wołają umrzeć w cierpieniu, aniżeli przyznać się do niego i poskarżyć.

Janek był taką naturą właśnie.

Ten pierwszy list, pisany do kobiety widocznie bardzo kochanej, w chwili jakiegoś strasznego wstrząśnienia, miał być ostatniem słowem pomiędzy nimi, ale w tém słowie za dużo było jęku, za wiele przyznania się do cierpień, które mu zadała, a może też za mało wypowiadał się z tego, czém pierś wzburzona przepełnioną była.

W kilka dni później spokojniejszą już ręką dopisał:

„Chciałem cię tylko temi kilku słowami pożegnać, odepchnąć, pobłogosławić i przekląć zarazem, ale co znaczą słowa dla ciebie!... Piorun mógłbym ci rzucić na głowę: otrząśniesz się i odwrócisz z uśmiechem szyderstwa i pogardy. Po co cię kłać, kiedyś ty sama kłatwą wcieloną. Przeklętą tylko niech będzie chwila, która mi nagle przejrzyć pozwoliła i z oczu urok zdjęła, a bardziej przeklętą ta, co mnie oślepiła tym urokiem!”

Za dużo goryczy i uniesienia było mu zapewne w tych wierszach, bo pod niemi na drugi dzień do dał nowy ustęp już na wyjeździe z kraju; starał

się być spokojnym, nabrać godności, wrócić do równowagi.

„Trzeci raz zaczynam pisać do pani ten list ostatni, którym zamkniemy wszystkie rachunki przeszłości. Zostawiam umyślnie w pierwszym bólu i uniesieniu spisane wyrazy, abyś tém bardziej przekonać się mogła, że z uczuć dawnych dla pani wygasły wszystkie;—ani kochać, ani pogardzać dziś już nie mogę. Będę się starał zapomnieć, że cię kiedykolwiek na drodze mojej spotkałem. Spokojny jestem i ostygły. Mógłbym cię znowu zobaczyć u moich nóg, jak wówczas, gdyś syreniami usty szeptała do mnie: „Ty zawsze będziesz ze mną!” i miałbym siłę cię odepchnąć. Mógłbym, jak raz ostatni, zobaczyć cię w objęciach innego i przejść obok was z uśmiechem politowania... nad nim. Zgasłaś dla mnie, błędny ogniku, któryś mnie po manowcach wodził.”

I tego listu wszelako nie odesłał; wyjechał po zerwaniu z „marzeniem swęj duszy,” zboleły zawiedziony, szarpany najsprzeczniejszemi uczuciami.

Od czasu do czasu tylko powracał do rozpoczętego listu i dopełniał go, dopisywał pod nową datą nowe ustępy, wiązał je w całość, starał się pogodzić sprzeczności, łagodził lub zaostbrał wyrażenia, stosownie do tego, co się w myślach jego i w sercu działo.

W ten sposób urastał pod jego piórem ten oryginalny list w rozmiary i treść niezwykłą; z początku każdy niemal dzień dorzucał jakieś zdanie, później coraz rzadziej, później jeszcze tylko w ważniejszych chwilach dopisywał do niego nowe ustępy, wreszcie bez daty znalazły się całe karty wypełnione mieszaniną myśli i uczuć, wspomnieniem przeszło-

ści i rozumowania, [gryzącą ironią i smętnym liryzmem, rozpaczą i skargą, kłatwą i przebaczeniem.

„Dzisiaj widzę już, niestety — pisał w jednym miejscu — że listu tego, pełnego dziwacznej treści, świadka moich walk i zapasów z samym sobą, nie będę mógł posłać do Ciebie; a jednak żał mi go zniszczyć, sił nie mam raczej; przyzwyczaiłem się do niego, jak do jedynego powiernika, jak do żywej istoty, z którą mogę o Tobie rozmawiać, przez którą zdaje mi się, że z Tobą samą rozmawiam.

Kiedyś, gdy go dostaniesz do rąk, będziesz widziała, com przecierpiał, co przejść musiałem, ileś mi krzywdy zrobiła!... ale nie, przed nikim, a tém mniej przed Tobą chcę się skarżyć.

Nie godnaś niczych łez, boś ani jednej dla nikogo w życiu nie miała...

Spalę te karty, w które dzisiaj wpatruję się jeszcze sam, niby chory w zwierciadło, gdy bladą, bólem wykrzywioną twarz bada.

Stan mojej duszy w nich śledzę.

Biedna dusza kona i wije się w boleściach, odkąd ją z krzyża zdjąłem. Bóg jeden widzi, jak zacinał wargi, aby nie zdradzić się i nie przyznać, że tak nikczemnie słaby, że cierpię i tylko przez Ciebie — krzyżu mój na życia Golgocie!

Takich apostrof było mnóstwo w tym dzienniku zranionego serca.

Czytałem je, przejęty wzruszeniem, podziwiałem siłę niektórych wyrażen i poetyczność pewnych zwrotów. Pod wpływem cierpienia Janek stawał się poetą i zawodził głosem Jeremiego na gruzach miło-

ści; ale ilekroć dał się porwać uczuciu, przychodziła refleksya; z jakąś ironią rozpaczył sztych sam z siebie.

„Na co się mam skarżyć i komu?... co to kogo obchodzić może, że kochał i w tę jedyną miłość teńnąłem najlepsze żywioły mojej duszy, a tyś mi tę duszę, jak psotne dziecko kwiatek przy drodze zerwała, pobawiła się nią chwilę i rzuciła, jak dziecko zabawkę rzuca...

To taka zwyczajna rzecz, zawód w miłości... Jest się na co skarżyć, jest czém ludzi zajmować!... głupcy tylko chodzą i krzyczą, że ich serce boli; co to kogo obchodzi!.. na co przyznawać się do tego! Bankruci mają swoją ambicję, nie przyznają się do ostatniej chwili, iż stracili wszystko, aby świat ich za żebraków nie uznawał i nie litował się nad ich nędzą i nie rozumował nad ich upadkiem i nie znęcał się nad ich przegraną.

A jednak, jakżeby mi lżej było wyrzucić tę gorzyc z serca, którąś Ty je przepełniła!.. ale słuchaj, wiesz dla czego milczę, wiesz dla czego trawię wszystko w sobie?... Oto wstydzę się przyznać, że mimo wszystko, kocham cię jeszcze, pomimo tej dumy męskiej, pomimo zranionej wiary w ciebie, mimo to, że wiem, iż nie godną jesteś miłości uczciwej i głębokiej. Wstydzę się, że tak słaby, że tęsknię do Ciebie, że myślę o Tobie, kiedyś myśli mojej już nie warta; wstydzę się, żeś mi Ty słabe stworzenie, odebrała władzę nad sobą, że kocham, kiedy powinienem nienawidzić.

Niekiedy marzę o tém, jak o zbawieniu, abym mógł stracić całą pamięć przeszłości, albo ostygnąć i być zimnym, jak twoje chłodne, stalowe serce, abym

mógł spokojnie i obojętnie imię Twe głośno wymówić. Dziś ono, jak węgiel, jak rozpalone żelazo piętnuje jeszcze moje usta.

Wstydę się, że tryumfujesz zawsze nademną, żem Cię jak złodzieja sam do skarbcza mojej duszy wpuścił.

O, gdybym mógł kiedy powiedzieć ci w oczy, tak samo bez litości, bez drżenia, obojętnie: „Nie kocham Cię więcej!“ — gdybym mógł odrzucić Ci te kamienne słowa, któreś mi spokojna, jak kat, cisnęła na pożegnanie z uśmiechem:

— Cóżem ja winna, że przestałam cię kochać!..

— Cóżem ja zawinił, że nie mogę zaprzestać!..

Czy to nie hańba dla męskiego serca dać się tak opanować jednemu uczuciu, cały świat zamknąć w jednej kobiecie, pozwolić na takie znikczemnienie, na taką prostracą moralną!... Przecież tyle innych, wyższych, szlachetniejszych celów ukochać-by należało, dla nich cierpieć byłoby zaszczytem, do nich dążyć, ich pragnąć byłoby obowiązkiem, życie im poświęcić—kiedyś było mojem marzeniem... A dziś ty tylko jedna i ty sama zasłoniłaś mi świat cały, jak widmo z mgły chłodnej i nieuchwytnej.

Czyż to nie nikczemność znieprawionej natury mojej, czyż nie mam czego płonąć od wstydu!.. tak zobojętnieć dla wszystkiego, tak zmarnować życie i ducha, umysł i serce. Hańba słabemu sercu!..“

W takich refleksjach wił się i targał nieszczerliwy męczennik, coraz bardziej rozdrażniając ranę, którą mu ręka tej tajemniczej kobiety zadała.

Ani imienia jój, ani nazwiska, ani wzmianki wyraźniejszej, któraby mię na jakikolwiek ślad ich

stosunku naprowadziła—nie znalazłem w całej pisannej spowiedzi Janka.

W wyobraźni mej zarysowała się jój postać, jak „widmo z mgły chłodnej i nieuchwytnej;“ poznałem ją tylko po spustoszeniu, jakie w duszy zmarłego przyjaciela zostawiła.

W tych monologach Janka „ona“ przedstawiała się, jak zagadka, jak abstrakcja bez ciała i wyraźnych konturów!

Nie mogłem dojść: jak, kiedy, czém potrafiła ovladnąć tak zupełnie jego całą istotę, nie umiałem złożyć sobie nawet w ułamkach historyi ich stosunku, przyczyny zerwania, szczegółów tej cichej i tajemniczej tragedyi, w której on był widocznie bohaterem, a ona jego fatalnością.

Zresztą wiedziałem i tak dość, dla wyjaśnienia sobie zagadkowych rysów postaci nieboszczyka.

Wiedziałem teraz, co nurtowało i podgryzało fizyczny i moralny organizm człowieka, który nie chciał i nie śmiał przyznać się do jedyniej miłości w życiu, bo go jój wspomnienie upokarzało.

Im więcej wczytywałem się w spowiedź Janka, tém większe współczucie budziło się dla niego w mém sercu.

Zdawało mi się, że to nie martwe litery z pomiętych kart rękopisu przemawiają do mnie, ale że słyszę jego przyciszony głos, szepczący gdzieś tuż blisko, że w cieniach pokoju, na fotelu pod oknem widzę jego postać z tą smutną bladą twarzą, z głową podpartą, jak zwyczajnie, na rękę; że jeśli nie on sam, to duch jego spłynął na pierwszą poufną z przyjacielem rozmowę pozagrobową.

Po zerwaniu z kobietą kochaną, która tej miłości pasmo sama przerwała nagle, gwałtownie, z kaprysu, czy z wyrachowania, Janek odsunął się od świata; przyjął gdzieś w zapadłych kątach Bośni lichą posadę i zrobił, co mógł najgorszego.

Samotność bywa zgubną dla pewnych natur w chwilach takiego wstrząśnienia.

Zdawało mu się, że tam zdaleka od świata, znajduje ukojenie, że tylko z własnymi myślami żyjąc, wróci do spokoju i równowagi, ale zapóźno przyszedł do przekonania, iż myśli „nie zawsze bywają dobrą towarzysztwem, że często stają się rakiem duszy, którą stoczą i przegryzą nawskróś.“

Teraz rozumiałem ten gorzki smutek, z jakim mi to sam przed śmiercią swoją powiedział.

Sądził, że płomień, który w piersiach jego wybuchnął, stłumiony siłą woli i rezygnacji wygaśnie; ale stało się inaczej: płomień przygasł, ale pozostały z niego iskry, co tliły się w zamkniętym sercu i spopieliły powoli to wewnętrzne życie samotnika tak boleśnie zawiedzionego.

Oto, jak w pierwszych tygodniach pobytu swego na pustkowiu, malował stan swojej duszy w liście do tej, co „była jego piekłem w raju i rajem w piekle:“

„Zawiodłem się na sobie; nie umiem być lekarzem chorego serca. Gorzej mi tu, niż nawet przy tobie, ale już chyba nigdzie dobrze być nie może i nie będzie, bo złe moje wszędzie za mną przyjdzie i wszędzie dokuczać zacznie.

Wszystko jeszcze jakby się sprzysięgło na mnie,

jak gdyby z tobą w przymierzu gnębić mnie chciało bezustannie.

Od pierwszego dnia przyjazdu do tej puszczy, słota i słota, deszcze leją i mgły wilgotne snują się po ziemi; jak widma jakieś straszne i groźne wychodzą co rano i co wieczór z tych lasów, które mnie otaczają tutaj, szarpią swoje całuny po gałęziach drzew i wieszając na nich szare łachmany, zdają się płynąć wszystkie na tę zapadłą, ciemną i brudną lepiankę, co jest obecnie więzieniem mego ciała i ducha.

Całymi dniami siedzę tak przy otwartym oknie i słucham, jak na dworze deszcz chlupie jednostajnie, albo wiatr wyje głosem głodnego szakala, patrzę na fantastyczne korowody mgieł nad wieczorem i rozmyślam o tym, co tak niedawno było, a co wieki całe trwać się zdawało...

Gospodarz mój, więcej do niedźwiedzia, niż do człowieka podobny, z twarzą dziką, zbójcką, spogląda na mnie z podejrzliwością i dziwi się zapewne w duszy, że mi ani jego kozie mleko, ani mamałyga, ani szaszłyki z baraniny nie smakują i że te przysmaki mój pies codziennie za mnie polyka.

Nie wiem, czy w ciągu kilku tygodni dziesięć słów zamieniliśmy z sobą.

O czym moglibyśmy rozmawiać...

On ciebie nigdy nie znał i nie widział, nawet nie wie o twoim istnieniu, a ja cię ciągle mam przed oczyma i ciągle tysiącem pytań: „czemu?..“ zaklinam; ale cień twój milczy, uśmiecha się tylko tym złym uśmiechem, który na twoich ustach miał jakiś szatański wyraz szyderstwa.

Po co mi się tu zjawiasz, teraz właśnie, kiedy chciałbym oślepić duszę, aby cię nigdy nie widziała więcej!... a czém bardziej wydzieram twój obraz z mej pamięci, tém silniej go w niej utrwalam.

Chciałbym pamiętać cię tylko złą, bezlitosną, okrutną, aby przesycić się goryczą wspomnień o tobie; pragnę oskarżać cię przed sobą samym, i wyrokiem potępienia ulżyć nareszcie sercu: a ty zjawiasz mi się wtedy, jakby na przekór inną, jasną, świetlaną, dobrą, z wszystkimi pokusami dla oczu, spragnionych twego widoku, dla ust drżących do twego pocałunku, dla serca tęskniącego za tém, co widziało najczystsze w tobie.

I wtedy ten ponury bór ciemny, przeistacza mi się w jakiś gaj palmowy, pełen egzotycznych kwiatów, te szare mgły w opalowe obłoki, te kropliste sznury deszczu w siatkę pereł, brylantów i drogich kamieni, a twoja postać wdzięczna, uśmiechnięta rozkosznie, wypiękniała niebiańskim urokiem przepływa na tém tle, jak bóstwo w blaskach, i nęci mnie do siebie...

Wyciągam wtedy ramiona i wołam:

— Zaczekaj, pójdź, jam smutny i żaloszny, jam nieszczęśliwy i biędny, tęsknię za tobą, pragnę cię, umieram bez ciebie!..

Głos ginie w pustce, widzenie się rozwiewa, marzenie znika, a tylko rzeczywistość straszna pozostaje i jeszcze ciemniej w oczach, jak po nagłym świetle zgaśnięciu i tylko ciężiej w duszy, jak po wielkiej stracie.

Dziwna sprzeczność w naturze ludzkiej!.. czuję przecież, że gdyby sen stał się jawą, gdybym cię

znowu miał przy sobie, nie prócz goryczy i bólu, prócz żalu i wyrzutów, prócz wściekłości i rozpacz, nie zostałoby we mnie, i szarpałbym cię, jak zraniony lew, który oszalał jedną upartą myślą o — twojej zdradzie.“

Kiedy niebo się wypogadzało, Janek siadał na konia i godziny całe spędzał na wycieczkach po okolicy; błądził po lasach i polach, po zapadłych drogach i wertepach, myślał, „że kiedy kark skręci, przesadzając rowy i przepaście, zwalone kłody i strumyki.“

Karku nie skręcił, ale wśród deszczu i wiatru wracając późną nocą kiedyś do domu, zaziębił się i nabawił choroby, od której nie go już wyzwolić nie miało.

Prawie z radością zapisywał fakt pierwszego krwotoku.

„Zaczyna mi się rozpadać grób mej duszy—mówił—tém lepiej, prędzej się skończą te męczarnie.

Jestem dziś jak żywcem pochowany wśród tego cmentarza, który ludzie światem zowią.

Mam teraz inny przecież przedmiot zajęcia; nie same jedne pijawki wspomnień ssą mnie przynajmniej. Fizyczne cierpienia sprawiają mi ulgę. Jak to przyjemnie czuć, że się gaśnie cieleśnie, gdy dusza żarem się przepala.

Lekarz mój zdziwił się, że jego poważna mina i pogróżki śmierci, rozpogodziły mi twarz uśmiechem; pocziwiec nie wiedział, jaką dobrą wiadomość obwieścił swemu pacjentowi...“

Nastąpiła widocznie długa przerwa w zapiskach Janka; choroba zabrała mu dużo czasu i zdawało się,

ze sprowadziła jakiś przewrót w jego umysłowym życiu.

Spokojnie zanotował krótko i bez komentarzy wyjazd z Bośni:

„Kazali mi ztąd wyjechać; wracam do świata, ale po co?...“

Wkrótce potem spotkał się ze mną.

Była to już wtedy spękana ruina człowieka, który niczego nie pragnął, niczego się nie spodziewał, do niczego nie dążył.

Instynkt zachowawczy tej bogatej, obfitej, pełnej sił żywotnych natury, walczył jeszcze z jadem zniszczenia, który życie zapuściło w organizm duchowy Janka. Ciało broniło się jeszcze przeciw skołatanemu duchowi, który z rezygnacją dążył do końca, do wyzwolenia. „Życie moje złamanej szpilki już nie warto,“—mówił do mnie wówczas nad jeziorem w Konopnicy i mówił z przekonania.

Czuł się niepotrzebnym więcej dla nikogo, najmniej dla siebie na ziemi, zbyt cichym wśród innych ludzi, co mieli jakikolwiek cel przed sobą: on do żadnego ani sił, ani chęci nie czuł więcej. Złamany fizycznie i moralnie, przepalony wewnątrz, z zardzewiałą jakąś duszą, z samowiedzą o tym spustoszeniu, które nosił w sobie—wegetował już tylko.

„Jeśli mam jeszcze jaki żal do pani—pisał już między innymi w swjej cichej Konopnicy, gdzie mogło mu być jak u Pana Boga za piecem, według wyrażenia starego Pawła—to nie o to, co straciłem w przeszłości, ale o te straty, jakie mi przyszłość z każdym nowym dniem przynosi.

Nie boli mnie już to, że cię kochałem i w tej

miłości wszystko utopiłem, ale że więcej kochać nie potrafię żadnej innej kobiety, nic i nikogo. Pustka w duszy mężczyzny jest najstraszniejszą ruiną, zwłaszcza, gdy jej życie niczem wypełnić nie zdoła. Całą mam wiarę, wszystkie szlachetne illuzye, wszystkie gorące porywy, poświęciłem pani jednej i gdyby mi los był pozwolił, a tyś nie przeszkodziła być szczęśliwym w życiu... ale po co mówić o tém, co być nie mogło i już więcej nie będzie!

Dziś czuję, że miłość moja była złą, bo tak bardzo kobiety kochać nie należy; w jednym uczuciu dla niej nie powinien się mężczyzna zasklepić cały, zwłaszcza gdy nie ma siły wyrwać się z niego w danym razie.

A przecież nad miłość niema w życiu nic szczytniejszego i ta wieczna serce dręczycielka jest jednak szafarką największych łask i rozkoszy; ale tylko uczciwej i prawej kobiety miłość, potrafi uszczęśliwiać prawdziwie...“

Znalazł się dalej i ustęp odnośny do Tyni:

„Los wyprawia dziwne igraszki z ludźmi, a sprawiedliwy Bóg na to pozwala, jakby dla kary, albo wypróbowania naszego serca..... W tym zakątku, gdzie miał dogasać powoli, znalazło się dziewczę, które szczęście daćby mogło każdemu, co byłby tego godnym. Powiedziały mi jej czyste, anielskie oczy, że chciałaby mnie tym skarbem obdarzyć... Czy to nie największa ironia, na jaką los zdobyć się może!..

Po tobie—ona?.. ależ aniołem gdyby była, choć nie wiele jej do tego braknie, nie umiałbym jej pokochać. Czém?.. tym żużlem wypalonego serca, tą wyobraźnią, w której płoną jeszcze twój miłości

wspomnienia, temi nerwami, które cierpienia wyprężyły?... Jam już instrument bez głosu, przedęty, pęknięty, za silnie grało na nim życie i ty.

Co jabym dać potrafił temu dziewczęciu niewinnemu, czystemu, uroczemu, jak marzenie, które dopiero otwiera swe duże habrowe oczy na świat i życie?... ja, który wszystko straciłem już i zmarnowałem w sobie!

Popiołem płacić za brylanty uczuć — to niegodnie.

Ale nawet oszukać-bym jej nie mógł, bo i do tego brak mi sił i ochoty.

Uciekam od tej różowej zmory, która stanęła tak niepotrzebnie na mojej drodze, aby mi tym cięższem uczynić życie.

A jednak jest w niej coś, co mi przypomina niekiedy ciebie, i gdybym mógł ukryty słuchać jej głosu, albo patrzeć na nią niewidziany ukradkiem, słuchałbym i patrzył, choćby ta rozkosz nowy ból mi sprawiała i stare blizny drażniła.

Tylko cóż za różnica między nią a tobą!..

Pamiętasz tę smutną dumkę, ulubioną przez nas oboje, którąś mi nuciła wieczorami?... grywam ją jeszcze i teraz dla siebie i powtarzam w mojej samotności, jak pacierz za umarłą przeszłość.

Dziewczę ją podслуchało i teraz wieczorami wiatr mi przynosi niekiedy odgłosy fortepianu, na którym ta mała wygrywa naszą piosnkę, nie domyślając się nawet, ile mi tym bólu sprawia.

Tys ją grała tak inaczej, tak inaczej!..

To dziecko nawet instynktownie nie zna jesz-

cze życia; śliczny bławatek w zbożu, skromny, świeży, pełen prostoty — ale nie dla mnie już, niestety!..

Uchodzę teraz wśród ludzi za dziwaka, oryginała, malkontenta; co oni wiedzą o mnie!.. nawet mój pocziwy stary sługa zrzędzi na mnie po kątach — a jam tylko ze skrzydeł obdarty ptak, który kona.“

W tym rodzaju kilka jeszcze znajdowało się ustępów, smutkiem przepojonych; czém bliżej końca, tém krótsze były już wynurzenia Janka, oderwane jakieś zdania i refleksye, luźne myśli jak paciorki z rozsyanego różańca, niedokończone frazesy, jak porozrzucane okruchy.

Ostatnią kartę rozpoczynały słowa:

„Jaka wielka to prawda, że można przebaczyć, ale nie można zapomnieć...“

Nie mam już żalu do ciebie; cóżeś ty winna, żeś kochać przestała, a kłamać nie chciałaś. Tyle kobiet nawet tej uczciwości nie posiada. Bóg z tobą!“

Dobrze już było po północy, kiedy jeszcze siedziałem nad pamiętnikiem Janka i przerzucałem po raz drugi i trzeci niektóre karty. Pod wrażeniem tej pośmiertnej spowiedzi, miałem prawie ciągle na myśli nieboszczyka; kilka nocy z rzędu snił mi się, zawsze smutny, zgorzkniały, przychodził do mnie we śnie i powtarzał: „I tu źle, i tam źle, nigdzie dobrze!..“

Wybrałem się jakiéjs niedzieli na cmentarz, aby odwiedzić grób Janka; grabarz, otwierając żelazne drzwiczki, rzekł:

— Tu panie złe miejsce dla nieboszczyka.

— Dlaczego? — zapytałem, tknięty temi słowami.

— Zacieka spodem, wilgoć, ot widzi pan, jakie plamy na ścianach.

— Cóż zrobić na to?

— Ha, trzeba wyasfaltować, to będzie zaraz lepiej.

Uśluhałem rady grabarza: niech biedakowi chociaż w grobie nie nie dokucza.

VII.

Zdawało mi się, że już nigdy w życiu nie poznam tej znajomej nieznajomej, na którą poza grobem skarżył mi się tak nieszczęsny Janek, która zatrula mu ostatnie lata życia i zamieniła je w powolne samobójstwo; sądziłem, że ona pozostanie już dla mnie zagadką nazawsze.

A jednak wcześniej, niż się spodziewać mogłem, los sprowadził nas z sobą, jakby pragnął sam zaokrąglić tę powieść o człowieku, „któremu nigdzie dobrze nie było.“

Autorom takie epilogi bierze się za złe najczęściej i zakończenie nazywa naciągnięciem, ale życie, ten najgenialniejszy autor, nie troszczy się o krytykę i tworzy, jak mu się tylko podoba.

W kilka tygodni tedy po śmierci Kileckiego, wybrałem się do Lwowa; było to w połowie wielkiego postu, w porze rautów i spokojnych reunionów.

Starzy moi znajomi i przyjaciele zajęli się tem gorliwie, abym wieczora żadnego nie stracił i nie zmarnował ani chwili pobytu.

Znalazłem się w ten sposób w domu państwa

X. na dużym zebraniu, które odznaczało się zbiorowiskiem wszystkiego, czem tamtejszy *beau monde* mógł się pochwalić.

Ktoś tam grał, ktoś inny śpiewał, panna jakaś deklamowała, potem towarzystwo rozbiło się na grupy i zabawa weszła w najprzyjemniejszą fazę pogawędki na uboczu, na prawach wolnego doboru.

Jako gość zdaleka przybyły, miałem pewnie przywileje towarzyskie, na mocy których obok gospodyni domu, znalazłem się w kółku najściślejsem, zajmującym jej budoar, pełny śmiechów, szeptów ożywionej rozmowy i tej atmosfery dobrego humoru, która zbliża serca i umysły.

Głównym ogniskiem w tym saloniku była grupa mężczyzn, otaczająca kobietę młodą, ze smakiem, choć z pewną excentrycznością ubraną, rozmawiającą z wielką wprawą jakąś mieszaniną języków salonowych, odcinającą się zarówno na francuskie *bon—mot* jak na angielskie cytaty i wiersze Heinego.

Poznać po całym jej zachowaniu było, że stanowiła tu najjaśniejszą gwiazdę w towarzyskiej konstellacyi; świeciła jak słońce i utrzymywała szeroki kult gwebrów około siebie.

Śmiech, gwar, wybuchał co chwila z jej otoczenia; prowadząc ogólną rozmowę ze wszystkimi napozór, piękna pani zdawała się z każdym z osobna rozmawiać i każdego ze swoich wielbicieli trzymać na osobnej wędce.

Obok siedzieliśmy z gospodynią domu, nie biorąc udziału w rozmowie tej interesującej grupy.

— Pan się u nas źle bawi, jak widzę—mówiła moja towarzyszka.

— Przeciwnie pani, bawię się, o ile mi na najlepszy humor starczy.

— Jakoś nie widać go wiele w panu.

— Być może, ale w ostatnich czasach byłem pod bardzo przykrém wrażeniem, pochowałem przyjaciela—i po chwili wymknęło mi się z ust nazwisko Kileckiego.

— Jakto, pan Kilecki umarł? — zapytała nagle z niezwykłym zajęciem, spoglądając na mnie z niedowierzaniem, jakby to było coś niemożliwego, a zwróciwszy się do pięknej pani, otoczonej całą gwardyą wielbicieli, zawołała:

— Słyszysz, Sylwio, Kilecki umarł!

Sylwią trzymał właśnie za rękę jakiś siwy jegomość z bokobrodami, który miał minę starego dworaka dyplomaty, i opowiadał jęj z uśmiechem po francuzku jakąś wielce zajmującą anegdotkę; na chwilę gwar ustał, pani spojrzała przez ramię roztagoniona i spytała:

— Kto taki?

— No, Kilecki, twój Janek, który się przecież kochał w tobie tak szalenie przed kilku laty!..

Słowa te podniosły mnie prawie z krzesła; spojrzałem teraz z większą uwagą w twarz Sylwii. Nawet uśmiech z niej nie zniknął; zimno, obojętnie, jakby na popis dla swojego audytoryum, spytała głosem, który dreszczem mnie przejął:

— To on dopiero *teraz* umarł?..

NA ŚWIĘTACH.

(URYWEK WSPOMNIENI).

Bywało za dawnych lat—to kiedy zima przyszła, śnieg padał po pas i leżał sobie od grudnia do marca; ziemia w białym kożuszku podobną była do stariej, pocziwiej babuni, czyściutko, schludnie przystrojonej przez sześć dni tygodnia, a już w święta, to jakby ją kto umyślnie wybielił i wysypał puszysto, że aż rozkosz była wsiąść w załubnie niedźwiedziami wyściełane i pędzić kopną drogą od rana do wieczora.

A teraz co?.. Śniegu ani na pokaz, o mrozach rzadko słyhać, a o załubniach kto tam wie!

Zmienia się świat i ludzie, i klimat, i zima, coraz błotniej i brudniej na tej ziemi.

Za moich chłopięcych lat, kiedy się święta zdarzyły bez sanny, tośmy to uważali za jakieś pokaranie Boże i jechali do domu z nosem na kwintę, jakby każdy sobie wyłącznie przypisywał taką niełaskę nieba.

Co to była za radość na stancyi u pana profesora Voglera, kiedy w samą wilią raniutko sanki ojcowskie zajechały pod bramę, Szymek zniósł walizkę na plecach, pan profesor jednemu z nas w kieszeń włożył list czerwonym lakiem zapieczętowany *für*

den Herrn Papa i bułanki ruszyły z kopyta, jakby z wiatrem szły na wyścigi!...

W owych czasach, nieba nie wyobrażaliśmy sobie inaczej, jak w postaci rodzinnego dworku, gdzieś tam na galicyjskiem Podolu, wśród rozsypanej wioski na płaszczyźnie, pomiędzy szpilkowemi lasami; a gdyby w prawdziwem niebie brakło czegokolwiek, choćby tych kilku lip przed gankiem naszym, choćby téj psiej budy z Szarpajem na łańcuchu, choćby téj bramy skrzypiącej u wjazdu, albo studni z żurawiem na podwórku — bylibyśmy się go wyrzekli na całą wieczność dla Edenu naszej młodości.

Czy-bo w niebie mogło być lepiej, zwłaszcza podczas świąt!.. nie mogło być z pewnością, chyba teraz, gdy się tam przenieśli dziadkowie, i pocziwie ojczysko, i stryj Atanazy, i Szymek nawet, i wszyscy ci, których serce z płaczem cichym wspomina.

Kiedy się kilka miesięcy przesiedziało na twardych ławkach szkolnych, aby nabrać przekonania, że się jest *ein patentirter Esel* lub *wahrer Schafskopf*, gdy się na waserzupkach pani profesorowej wygłodziło i schudło do niepoznania, z jakąż rozkoszą w tym kochanym, rodzicielskim domu nabierałimy humoru, ciała, apetytu i rozumu:—o i rozumu, bo ta cała szkolna filozofia nie uczyła nas tego przez cały rok, cośmy przez dni kilka w domu skorzystali dla serca i umysłu.

Tam niemiecką deklinacją i koniugacją wbijano nam w głowę, tu jedno polskie słowo: „kochać“ wpisywano w serce.

Błogosławionaś szkoło miłości, błogosławionaś nauko rodzinnego domu!...

Nie zapomnę póki życia téj wili, którąśmy ostatni raz w Sokółowce spożywali przy dużym stole sianem posypanym, z ogromną choiną w pośrodku, sięgającą aż pod powałę; zdaje mi się, że dotąd czuję w ustach smak matczynych opłatków z miodem, i pierników z migdałami i *kuti* z maku i pszenicy, i owych wonnych strucli, wielkości małych wielorybów, z których stara Gamska, klucznica nad klucznicami, słynęła na całą okolicę.

Ach, i tych łez też niezapomnę, któreśmy wówczas z bratem przy stole wylali ze wstydu i upokorzenia!

Pragnęliśmy obaj, żeby się ziemia pod nam rozstąpiła, kiedy z ust ojca wypadło to słowo krótkie, ale sromotne: „hebesy!..“ a wiecie czemu? oto dlatego, że brat mój głośno się zapytał:

— Mamo, czy mogę wziąć jeszcze trochę tych jabłków?

— Czego?.. jabłków? a po jakiemu to mości akademiku?—zagaadnął stryj Atanazy, który był biczem Bożym na nieuków.

— Mówi się jabłęk—podszeptała pocziwa matka, zawstydzona konfuzyą, jaka jęj Benjaminka spotkała.

— Cóż to, zapomnieliście tam w mieście po polsku mówić? — ciągnął dalej stryjasek—a czegoż to was w szkole uczą?

— *Sprachlehry*, — odważyłem się odpowiedzieć w zastępstwie oniemiałego brata, któremu w złém przecuciu napoczęta figa z otwartych ust wypadła.

— Czego?

— *Sprachlehy*—powtórzyłem ciszej, ale z mniejszą śmiałością.

— Cóż to za dziwo?

— A to pan profesor Vogler wyklada...

— To niby po niemiecku?

— My wszystko po niemiecku, — wtrąciliśmy szybko w zgodnym duecie z wystraszonym Józkiem, który po marsowej minie dziadka i ojca poznał, że się na coś złego zanosí.

— A któż u was wyklada historią?

— Pan profesor Braun.

— A geografią?

— Pan profesor Knoch.

— A cóż u licha — przerwał stryjasek, zachnawszy się z niezadowoleniem — to u was same Voglery, Brauny i Knochy?—innych niema?

— Jest jeszcze dwóch, pan profesor Kozłowski i Bułka.

— Jak? Bułka?.. także się miał jak nazwać!.. czegoż ten uczy?

— Kaligrafii.

— Ah! to wiele jak na bułkę.

Matka miłosiernym wzrokiem spojrzała na nas, jak na dwóch męczenników w opałach i szepnęła strygowi:

— Dajże im pokój, cóż oni winni?

— Hebesy!—wybuchnął ojciec z tłumioném oburzeniem—wezmę ja się do was po wili; będziecie mi tam darmo chleb zjadali, a po ludzku mówić nie umiecie?...

Dziadek litościwém okiem spojrzał na Józia, który był jego ulubieńcem i rzekł do ojca:

— Nie przestraszaj-że mi jegomość mojego Łokietka, bo i tak na miejscu już usiedzieć nie może.

— Wiesz ty przynajmniej, kto był Łokietek?— spytał znów nielitościwy stryjasek, jakby się wziął maltretować nas swojemi pytaniami.

Zkąd biedaczysko mógł wiedzieć o Łokietku, kiedy ja, starszy od niego o dwa lata i wyższy o trzy cale przynajmniej, wiedziałem o nim tyle, co o żelaznym wilku.

— Proszę stryjasek, nie wiem, ale i Kocio nie wie,—odważył się odezwać, łypiąc już oczyma, gotowemi do płaczu i spoglądając na mnie z wystraszoną miną.

— A o Batorym wiesz co?

— Jeszcześmy tego nie brali.

— A o Krakusie i Wandzie?

— O Wandzie...

Przepadaliliśmy z kretesem przy tym niespodziewanym egzaminie, serca nam tykotały, jak budziki—picho nasłalo na nas tych Łokietków, Batorych i Krakusów; pan profesor Vogler chyba o nich niewiele więcej wiedział, a jeśli wiedział, czemu nam o tém nie mówił, zamiast powtarzania deklinacji: *der, die, das!* do której po cichu każdy z uczniów dodawał zaraz trywialny rym: „kapusta i kwas.“

— Ładnie mi wnuków wychowujesz, panie Filipie—rzekł tonem wyrzutu dziadek do ojca, pokraśnialego pod samą czuprynę.

— Ja im tego Batorego batem na skórze zapiszę!—wołał rozgniewany rodzic, grożąc nam przez stół palcem i zmarszczonemi brwiami, co było pierwszą oznaką irytacji u niego.

Józio przytulił się do matki i płaczem próbował bronić naszej sprawy.

— Zkądże my to mamy umieć, kiedy nas tego nie uczyli!...

— Już ja was nauczę, co wam umieć należy!

Całe towarzystwo przy stole miało skwaszoną minę, ojciec chrząkał i wąsami ruszał, stryj Atanazy głową kiwał i powtarzał do siebie: „no, no! pięknie dziś uczą w waszych szkołach,” a dziadek gładził łysinę i ze smutkiem wzdychał.

Och, nie zapomnę tego wieczoru i tej pierwszej nieprzespanej nocy pod rodzicielskim dachem...

Kiedyśmy na dobranoc przyszli ucałować przyjemnym zwyczajem ręce babuni do jej pokoju, staruszka tajemniczo drzwi za nami przymknęła, swym drobnym kroczkiem podreptała do szafki oszklonej, cichutko wyjęła z niej małą książeczkę w safian czerwony oprawną, z obtartymi dobrze brzegami i wciskając mi ją, jako starszemu w rękę, szepnęła:

— Naści, to na gwiazdkę dla ciebie i dla Józia, a nie płaczcie więcej; będą z was jeszcze godne dziadunia wnuki i wstydu ojcu nie zrobicie; w wolnych chwilach czytajcie sobie, a potem stryjkowi i tatusiowi zróbcie niespodziankę, gdy was znów wezmą na egzamin.

Pogłaskała każdego po głowie, krzyżyk zrobiła i do alkierza na nocleg wyprawiała, szepnąwszy: „biedne dzieci, biedne dzieci!...”

W alkierzyku zamiast spać tej nocy, przy świecy zakrytej starym fotelem, w kącie między dwoma łózkami, aby światło niczyjej uwagi nie zwróciło,

okryci kołdrami i tuląc się do siebie, czytaliśmy szeptem babunią książeczkę w safianowej oprawie.

Czerwonemi od płaczu oczyma przeczytaliśmy całutką od początku do końca i po każdej stronnicy serce nam rosło, z dumą spoglądaliśmy po sobie, jakby mówiąc: „aha! teraz niech stryjek o co chce zapyta, nie powstydzimy się niczego!...”

Gwiazdka babuni miała tytuł: „Śpiewy historyczne,” a na drugi dzień rano z przestrachem matka szukała nas w nietkniętych łózkach nadarmo; spaliliśmy w kącie pod piecem za starym fotelem, Józio ze świecą wypaloną w rękę, ja z wypłowiałą książeczką w safianowej oprawie, a pierwsze słowa, jakie mi się na usta wyrwały po zbudzeniu—były:

— Teraz nas ojciec nie będzie więcej hebesami nazywał!...



ADELKA.

Obrazek z natury.

— Mój drogi, kiedyś byłem i ja idealistą,—mówił do mnie Eugeniusz, nalewając na nowo kieliszki starym burgundem, który piliśmy w osobnym gabinecie „pod trzema koronami;”—dzisiaj już nie przyznaję się do tego, to dawno wyszło z mody, jak haftowane gorsy u koszul i krynoliny; ale i ja miałem swoją niedzielę w życiu!...

— Któż jój nie ma?—spytałem z uśmiechem.

— O, bardzo wielu ludzi—odrzekł mi z powagą—są całe pokolenia, co życie od poniedziałku zaczęły; bo widzisz, ja mam swoją teorią w tym względzie. Żywot ludzki przyrównyвам do tygodnia, a świąteczny dzień w nim — to młodość swobodna, niefrasobliwa, bez kłopotów, która przygotowuje się dopiero do sześciu dni roboczych, ale ze swego święta korzysta w całej pełni.

— Są tacy, którzy świętują, jak szewcy, jeszcze przez cały poniedziałek,—zauważyłem.

— A są, i ten *blaumontag* w ogólnym obrachunku się strąca, gdy nadejdzie sobota, ale żal mi tych biedaków, którzy odrazu zasiedli do warsztatu z głową spuszczoną, nie korzystali przedtém z pięknej niedzieli, nie rozkoszowali się jój wrażeniami, jój

poezyą, nie używali jęj przyjemności i swobody, nie marzyli trochę, zanim ich proza życia powszedniego otrzeźwiła.

— Więc ten twój idealizm przypadł na niedzielę młodości.

— A tak; i powiem ci, że dzisiaj żałuję jego złudzeń, pomimo zawodów, jakich doświadczyłem. Cobym ja dał za to, gdybym mógł kochać się tak, jak w dwudziestu latach, tak samo wierzyć ludziom, tak samo dać się oszukać pierwszej kochance, jak ongi, tak samo patrzeć na kobiety!

— Słuchajno—przerwałem mu, obejmując go za szyję — tyś zawsze jeszcze potroszę marzycielem, choć się tego zapierasz, jak wówczas, gdy w notatkach z matematyki wpisywałeś ukradkiem wiersze na szkolnej ławce!

Roześmiał się z jakimś odcieniem smutku, po kiwał głową i rzekł:

— Oj, nie; mój tydzień już do połowy dobiegł, a za dużo miałem w nim roboty, aby mi jeszcze czasu na marzenia zostało. Dajże pokój, nie powtarzaj nawet głośno tego przypuszczenia, bo gdyby kto z naszej rady nadzorczej posłyszał mógłbym dostać dymissyą. Pan naczelnik dystansu nie może być marzycielem, bo się gotów pomylić w rachunkach przy obliczaniu wytrzymałości łuków i narazić swoich przedsiębiorców na kosztą procesu, gdyby kiedy jaki pociąg znalazł się pod mostem, zamiast na moście. Człowiekowi, który ma z cyframi do czynienia, nie wolno marzyć. Ot wypijmy jeszcze jedną butelkę, a przy niej opowiem ci ciekawy epizod z mojego życia.

Zapaliwszy papierosy, usadowiliśmy się wygodniej w fotelach i przy napoczętej butelce Eugeniusz zaczął opowiadać:

„Lat temu... mniejsza o to, ile, dość, że dawno zaczęły mi się zaledwie wasy wysypywać, kiedy nadarzyła się sposobność mojemu ojcu pomieszczenia mnie w biurze starego przyjaciela i kolegi szkolnego na praktykę przy budowie kolei żelaznej. Kilka letnich miesięcy miałem spędzić na posadzie rysownika przed wyjazdem dla ukończenia studyów inżynierskich do Gandawy.

Podobał mi się ten projekt, a gdy mi oświadczono, że przyłączony zostanę do sekcji, trassującej linią przez stary cmentarz, na którym kiedyś stanąć miał wspaniały dworzec stacyi głównej, byłem uszczęśliwiony.

Wyobraź sobie młodego zapaleńca, który z Musset'em i Słowackim w kieszeni, chodził na wykłady mechaniki, a zawód technika uważał tylko za poświęcenie ogólnemu prądowi, porywającemu młodzież w kierunku najpraktyczniejszym na razie w owych latach!...

Technik był bohaterem chwili; sławiono nas, jako panów sytuacji, przepowiadano każdemu złote góry, świetne karyery; w powieściach i komedjach byliśmy najmodniejszymi typami. Panny marzyły tylko, by wyjść za mąż za przyszłego dyrektora kolei lub cukrowni.

Ale to wszystko do rzeczy nie należy; wspominać o tém, by ci wytłumaczyć, dla czego i mnie ten owczy pęd porwał, chociaż ani zamilowania, ani powołania nie czułem do zawodu technika. Kwestya

„najpewniejszego kawałka chleba“ rozstrzygała w tym razie wybór drogi do przyszłości. Roilo mi się wszystko inne po głowie, tylko nie to, że będę z cyrklem w ręku siedział nad rajsbretem i rysował profile.

A jednak dzisiaj dnie całe trawię na téj pracy i jestem z nią wcale zadowolony.

To zajęcie suche, nudne, zwyczajnego kopisty w techniczném biurze, nabierało wszelako pewnego urozmaïcenia przez ów stary cmentarz, na którym nasze inżynierskie baraki rozstawiono. Proza zajęcia stykała się z poezją miejsca; ten postęp, burzący groby, rugujący śmierć dla nowego życia, rzucający żelazne szyny na tę samą drogę, po której toczył się ongi karawan, a kiedyś pędzić miała lokomotywa, przedstawił mi się w kontrastach, zajmujących wyobraźnię młodego idealisty, i godził mnie na razie z moją tymczasową posadą.

Przyznam ci się, że więcej czasu spędzałem na cmentarzu, aniżeli przy stoliku nad rysunkami; tu stary zrzęda, pan naczelnik kancelaryi, drażnił mnie raz w raz swojemi uwagi o źle roztartym tuszu, niedociąganych liniach i zablado lawowanych „*Durchschnittach*“, tam każda chwila dostarczała widoków niezwykłych, pełnych dramatycznej grozy lub cichéj melancholii.

Całemi dniami usuwano nam nieboszczyków, by przysporzyć miejsca na teren kolejowy; z jednej strony plantowano grunt i kopano fundamenta, z drugiej grabarze rydlem i motyką rozrzucaли stare mogiły i wydobywali resztki trumien zbutwiałych, szczątki kości ludzkich i ciał, które ziemia niezupełnie strawiła.

Nie uważałeś tego, że grób otwarty, jak przepaść, jak każda, jakaś wielka tajemnica, ma swój odrębny urok i pociąga ku sobie? Te rozkopywane po wielu latach mogiły, pomimo swéj grozy ciągnęły i mnie tak samo... Wystawiałem nad niemi całemi godzinami, przypatrując się, jak robotnicy, ludzie prości, oswojeni z swojém rzemiosłem, wyrzucali ziemię łopatami i dobierali się do zapadłych trumien, robiąc swoje uwagi nad śmiercią i jéj ofiarami. Podziwiałem abnegacyą czy obojętność tych ludzi, którzy dla lichego zarobku podejmowali się takiej pracy odrażającej; za nic w świecie nie byłbym spuścił się do tego dołu odrywać zaklęte i przegniłe wieka, a potem własnemi rękoma wydobywać nieboszczyków, strasznie trupiem i głowami wyzierających na świat i jakby z grozą i zdziwieniem spoglądających na tych, którzy im śmiertelny sen przychodzili przerywać.

Przy tych exhumacyach działały się niekiedy dreszczem przejmujące sceny, o jakich fantazya żadnego Szekspira nie śmiałaby zamarzyć; często około otwartego grobu kupiła się rodzina nieboszczyka, którą wezwano urzędownie do zajęcia się powtórny pogrzebem i przeniesienia odkopanych zwłok z jednego cmentarza na drugi w przeciwnej stronie miasta.

Żyjący wnuk spotykał się oko w oko z kościotrupem dziadka, żona mdlała na widok czaszki męża, po dwudziestu latach wydobytej z grobu; codziennie prawie wynoszono z cmentarza kobiety spazmujące, które zanadto dowierzały swoim nerwom i próbowały być obecnemi przy rozkopywaniu mogił.

Kto nie miał krewnych, nie spoczywał pod kamiennym pomnikiem, lub nie miał wieczystego miejsca w poświęcanej ziemi, tego kości bez ceremonii rzucano na kupę, aby je potem razem zakopać w jednym wspólnym dole. Z tych czaszek ludzkich i piszczeli w jednym kącie cmentarza utworzyła się oryginalna piramida, podobna do téj, jaką Wereszczagin ułożył w „Apoteozie wojny.“

Robotnicy o południu siadywali nieopodal niej i najobojętniej spożywali swój obiad z garnków, które im przynoszono z domu; przypomnienie śmierci tak plastyczne, nie odbierało im apetytu: oswajali się z jej widokiem.

Często spotykałem gromadkę dzieci w papierowych infułach, z zielonemi gałązkami zamiast chorągwi w rękach, w matczynych fartuchach zamiast ornatu, bawiące się w processyą i pogrzeb około téj dziwacznej sterty, a widok malców, okrążających z niezręczną powagą, z jakiemiś improwizowanemi psalmami na ustach to oryginalne *memento mori*, przykuwał mnie do miejsca i budził rozmaite refleksy o życiu, które się tak dziwnie spleta z kontrastów.

W mieście, a zwłaszcza wśród pospólstwa, krążyły rozmaite legendy o rozkopywanym cmentarzu, na który wstęp ciekawym był wzbroniony: rozpowiadano sobie niestworzone rzeczy o strachach, duchach, żywych nieboszczykach, znajdujących skarbach w każdej ozdobienszej trumnie, o zagrzebanych przed laty pannach w letargu. Przepowiadano rozmaite nieszcześcia i zemstę umarłych na burzycielach ich grobów i znieważanie poświęcanego miejsca; wszystkie

pociągi na przyszłej drodze żalaznej miały się wykolejać, budynki zapadać, a kiedy przy rozkopaniu grobu księdza jakiegoś, wytrysło nagle źródło czystej wody obfitym strumieniem, która rozlewać się poczęła po spadzistości cmentarza na teren naszej budowy, urosła pogłoska o wielkiej katastrofie, o powodzi, niszczącej nam co noc pracę dnia całego.

Śluchaliśmy tego pobłażliwie, z uśmiechem, i oswajali coraz bardziej z grobami, trupami, widokiem pogrzebów, z całym tém tłem śmierci i zniszczenia, na którym rozwijało się nowe życie pracy, powstawały dzieła przyszłości.

Pewnej niedzieli rano (z przyzwyczajenia chodziłem już i w święto do biura) wyszedłem na cmentarz, pomiędzy opustoszałe groby — przeglądać stare krzyże i na zardzewiałych blachach odczytywać nazwiska nieboszczyków, oczekujących wyrugowania w najbliższych dniach.

Ranek był jeszcze wczesny, słońce skośnem promieniami przedzierało się przez gąszcze starodrzewiu, w trawie ćwierkały świerszcze, a nad zarosłemi dziko mogiłami latały motyle; zdawało mi się, że jestem sam na całym cmentarzu; błądząc pośród grobów, zobaczyłem nagle u stóp starego, omszałego pomnika, siedzącą postać kobiecą. Przegięta dość niedbale, z głową, opartą o żelazne kraty ogrodzenia, w jakiémś leniwém zamyśleniu zrywała listki bzu, który się nad nią pochylał i ciskała na wiatr obojętnie.“

— Oho, zaczyna się jakaś romantyczna przygoda! — przerwałem Eugeniuszowi — jest nareszcie boha-

terka, bez której twoje opowiadanie obejść się nie mogło.

— „Zgadujesz, jest i bohaterka,“ — odrzekł z uśmiechem, — „i to niepospolita, chociaż przedstawiła mi się niezbyt efektownie. Wyobraź sobie młodą dziewczynę — z włosami prawie rozrzuconymi, w białym kaptaniku przy jakiejś półmateriałnej sukni, w dużej, ciemnej chustce, narzuconej na ramiona. Zanim się jej dobrze przypatrzyć mogłem, szybkim ruchem zarzuciła chustkę na głowę, otuliła się nią, poprawiła na kamieniu i odwróciła twarz w przeciwną stronę, jakby zawstydzona; mimo to mogłem zauważyć uśmiešek na jej ustach i spojrzenie oczu, ciemnych, jak tarki... Zrozumiesz, mój kochany, że tego wszystkiego było aż nadto, by młodą wyobraźnię chłopca podrażnić. Ten letni ranek na cmentarzu, cisza, pustka i to przypadkowe sam na sam wśród mogił, złożyły się na tém silniejsze wrażenie, że trafiły na umysł, trochę rozmarzony młodzieńca, który tęsknił, — wiesz, do czego? — do jakiegokolwiek awanturki miłosnej.

Ach, czegożbym wówczas nie był dał, aby się w kimkolwiek zakochał!..“

— Jakoś ci to przypadek ułatwił — wtrąciłem złośliwie.

— „W istocie, zgadu jesz; tego samego dnia jeszcze byłem prawie zakochany, a przynajmniej niewiele mi już do miłości brakło po tej pierwszej rozmowie z moją tajemniczą nieznajomą.“

— Więc ty pierwszy zacząłeś?

— „Przeciwnie, ona. „Proszę pana, czy dzisiaj nikogo wykopywać nie będą?“ — zapytała mnie z tym dziwnym uśmieszkiem, który z jej ust nie znikał.

Ty wiesz przecie, co to za urok w każdym dziewczęcym uśmiechu, zwłaszcza gdy rozehyla kształtne usteczka i odsłania ząbki drobniutkie, równiutkie, białe, jak paciorki. Ten uśmieszek oczarował mnie i ośmielił. Zaczęliśmy rozmawiać, i z téj rozmowy dowiedziałem się, że na cmentarz przyprowadziła ją ciekawość zobaczenia, jak to wydobywają nieboszczyków z ziemi; tyle się o tém nasłuchiwała, całe miasto o niczém więcej nie mówiło; umyślnie przyszła tak rano, aby zobaczyć choć jedną trumnę wydobytą z grobu. „To musi być bardzo interesujące? — czy to człowiek bardzo zmienia się po śmierci?... powiadają, że czernieje jak święta ziemia?... niektórym podobno włosy jeszcze w trumnie rosną?..“ Okrutnie była ciekawą zobaczyć trupa, ale nie tała, że się strasznie umarłych boi i że to pewnie grzech — dla samej ciekawości przychodzić na cmentarz.

W ten sposób rozmawialiśmy przeszło godzinę, podczas której odkrywałem w niej mnóstwo wdzyków, a nawet śliczny pieprzyk na szyjce pod samém uszkiem, nawet, tylko się nie gorsz — zgrabną nóżkę, choć w buciu oblepionym gliną i rosą zmoczonym.

Nie śmiałem jej zapytać, kim jest, gdzie mieszka, co znaczy ten strój, w połowie zaniedbany, a przecież pozwalający się domyślać pewnego dostatku, który znów nie licował z tą gołą głową i chustką przedmieszczanki średniego stanu.

Wyrażała się przytém niewykwintnie, ale poprawnie, nawet z pewną finezyą; często uśmieszkiem swoim, na pół naiwnym, na pół zalotnym, dawała do poznania, że jakiś subtelniejszy zwrot naszej rozmowy nie uszedł jej uwagi. Słowem po dwóch godzi-

nach tego *tête à tête* byłem zajęty moją pierwszą w życiu romantyczną znajomością po same uszy.

Chciałem ją wyprowadzić z cmentarza, gdy się zabierała do odejścia, usłyszawszy zdaleka płynące od strony miasta uderzenia zegaru.

— Proszę, niech się pan dla mnie nie trudi— rzekła—ja tu znam wszystkie ścieżki i drogi.

— A to zkąd?—zapytałem zdziwiony.

Zagryzła usta, jakby za karę, że się z czémś niepotrzebném zdradziły, ale po chwili, uśmiechając się, rzekła:

— Jak pan o wszystko ciekawyl... znam, bo znam—i skinąwszy mi zlekka głową, odeszła ku furcie cmentarniej.

Zostałem sam z moimi domysłami, rozmarzony, rozpromieniony; miałem przecież przygodę w życiu, i to jaką!.. dwie godziny spędziłam z kobietą młodą, ładną, bardzo ładną, prześliczną — na rozmowie sam na sam; z kobietą, która, jak tajemnicze zjawisko jakie, ukazała mi się i znikła wśród grobów.

Czy ja ją jeszcze kiedy zobaczę!.. mówiłem sobie; ta niepewność dodawała jej uroku, a we mnie budziła szaloną tęsknotę do tej tajemniczej, nieznanomój znajomej, bezimiennój, uroczej, etc. etc.

Wiesz przecie, ile to epitetów daje się tym pierwszym ideałom dwudziestoletnich Romeów.

Nie potrzebowałem długo tęsknić; na drugi dzień rano znalazłem ją, zawiedziony instynktem na miejsce wczorajszej naszej rozmowy, u tego samego pomnika, jak gdyby na umówionej schadzce.

Tym razem wszelako ubraną była już starannie, gustownie, z pewną elegancją i kokieterią, na któ-

rąj pomimo niedoświadczenia mego poznać się mogłem. Zgrabny kapelusik z piórem nakrywał jej głowę o bujnych splotach blond włosów, duńska obcisła rękawiczka obejmowała rączkę, trzymającą parasolkę z czarnych koronek, w uszach świeciły brylantowe kolczyki.

W pierwszej chwili nie chciałem oczom moim wierzyć. Co za zmiana!.. to nie ta sama chyba, co wczoraj! Ta miała pozory damy, tamta mogła być jej służącą. Gdyby nie uśmieszek, pamiętny mi tak do brze, gdyby nie rączka, która się ku mnie z powitaniem wyciągnęła, nie byłbym się ośmielił pierwszy zbliżyć do niej i przemówić.

— Widzi pan—rzekła—jaki ze mnie ranny ptaszek! Czekając tu na pana, obeszłam już ze trzy razy cały cmentarz do koła!

— Pani czekała na mnie?

— Spodziewałam się pana tu znaleźć; mówiłeś, że masz zajęcie ztąd niedaleko i że bywasz codziennie w tém miejscu...

Daję ci słowo, zarumieniłem się, jak pensyonarka, usłyszawszy te wyrazy. Jakto, kobieta, taka młoda, taka ładna, taka strojna, przychodziła dla mnie, dla mnie umyślnie aż tu na cmentarz?... i to wszystko bez żadnych z méj strony starań, po jednej, jedynéj rozmowie?... Byłbym ją w rękę—w obie ręce ucałował z radości za tę niespodziankę, za taki zaszczyt, uczyniony moim dwudziestu wiosnom, ale nie śmiałem dotknąć jej paluszków i, czy ty uwierzysz? nie ucałowałem ich nigdy, nawet potem, gdyśmy rozmawiali już o wielu rzeczach, bardzo blizkich pocałunku.

Nie pozwoliła mi na to, trzymając się zawsze z pewnego rodzaju nieśmiałością zdala odemnie.

Trudno ci dzisiaj powtarzać wszystkie nasze rozmowy; nie potrafiłbym już mówić z takim zapale i z taką młodzieńczą naiwnością, tak szeroko się rozwodzić nad pierwszym lepszym tematem i zdobywać na tyle dowcipu.

Dwadzieścia lat ma się raz tylko w życiu.

Prawda, że miałem słuchaczkę, która podniecała moję swadę swoją twarzyczką, swojemi dużemi oczyma, wpatrzonemi we mnie z jakimś wyrazem zdziwienia i ciekawości, swoim uśmiechem, który starczył za najsprytniejszą odpowiedź.

Od czasu do czasu rzucała mi krótkie jakieś pytanie lub wtrącała słówko, niby bez namysłu; to mi zupełnie wystarczało. Niekiedy rozmowa się urywała na dłużej, wtedy chodziliśmy obok siebie w milczeniu, ze spuszczonemi w ziemię oczyma, szukając „szczęścia“ w trawie, albo przypatrując się mrówkom, łączącym po ścieżkach cmentarnych.

Dobrze nam było przez to samo, żeśmy się czuli obok siebie tuż w pobliżu na odległość dwóch kroków; zdawało nam się, że więcej do szczęścia nie potrzeba.

Jakiś dziwnie idylliczny i idealny związał się między nami stosunek w ciągu tych dwóch tygodni, przez które codziennie prawie odbywały się nasze schadзки na cmentarzu.

Dowiedziałem się od niej tylko, że się Adela nazywa; innych objaśnień widocznie unikała; ciekawość moja sprawiała jej przykrość, była dla niej kłopotliwą.

— „Proszę pana, niech mnie pan o nic nie pyta — rzekła mi raz otwarcie — ja panu sama kiedyś o sobie wszystko opowiem, ale teraz jeszcze nie mogę. Nie dość na tém, że co rano, przychodzę tu sama, aby pana zobaczyć i porozmawiać?.. czy nam tak źle ze sobą?.. ja się także nie dowiaduję ani o pańskie stosunki, ani o nazwisko; nieciekawam tego.“

Po każdym widzeniu się odprowadzałem ją tylko do furtki cmentarnej; dalej nie pozwalała, pragnąc zachować swoje *incognito*. Co najwięcej, mogłem patrzeć na nią, gdy szła wzdłuż parkanu drogą ku miastu, odwracając się od czasu do czasu ku mnie, aby w końcu na zakręcie uliczki kiwnąć mi po raz ostatni głową na pożegnanie i zniknąć aż do dnia następnego. Dałem słowo, że śledzić jej nie będę, i po rycersku dotrzymywałem słowa; byłbym sobie za ubliżenie uważał iść za nią potajemnie, aby się dowiedzieć: gdzie mieszka, kim jest, co znaczy ta tajemniczość jej zachowania się.

Zresztą wszystko to stanowiło w mojej romantycznej przygodzie jeden urok więcej.

Mieliśmy w kącie cmentarza zasłoniiony krzakami i drzewami jeden grób ulubiony, na którym pochyło tkwił spróchniały już krzyż z zardzewiałą kapliczką z blachy i z napisem: „Za dusze, w piekle gorejące, westchnijcie do Boga!“ Drzwi kapliczki się otwierały i wewnątrz odsłaniały nieźle jeszcze zachowane malowidło, przedstawiające w piekielnych mękach wśród płomieni i dymu dusze grzeszników potępionych, nad którymi unosił się Chrystus z chorągwią zmartwychstania.

Uważałem, że Adela z szczególniejszém zaję-

ciem lubiła przyglądać się téj scenie; uśmiech znikał wtedy z jéj ust, czoło chmurniało, a oczy nabierały jakiegoś ponurego wyrazu.

— Powiedz mi pan, — rzekła raz do mnie, zamykając skrzypiące drzwiczki blaszane—czy pan wierzy w piekło, niebo i czyściec?

— O! wierzę.

— Naprawdę?

— Naprawdę, ale wierzę w niebo i piekło na ziemi — odpowiedziałem — jeszcze za życia; tam za grobem, po śmierci, kto wie, co tam nas czeka. Ot patrz pani, ile tu na każdym kroku zagadek, ile przeciwieństw, ile ostateczności styka się z sobą. Tu na wierzchu, wśród zielonej darni i kwiatów, siedzi młodość piękna, świeża, pełna, uśmiechnięta, z rumianem licem, ustami z kaliny, oczyma, jak gwiazdy, a tam pod panią, trzy łokcie w głębi ziemi butwieje szkielet człowieka, zgnieciony ciężarem grobu trup spoczywa, który dawno już stał się pastwą robactwa i zgnilizny—życie i śmierć, byt i nicość, niebo i piekło stykają się ze sobą!..

Zerwała się z mogiły, jakby przerażona tém zestawieniem, jakby się obawiała, że z wnętrza jéj wysuną się nagle piszczące nieboszczyka, obejmą ją wpół i pociągną ze sobą do grobu.

— Jak można mówić takie rzeczy! — zawołała z naiwnością dziecka, które się strachów boi, i mimowolnym ruchem zrobiła krzyż na piersi.

Pewnego razu znowu, gdyśmy przechodzili obok sterty czaszek trupich, która codziennie wzrastała coraz bardziej, zatrzymała się nagle, uniknęła i oparłszy na parasolce obie ręczki, stała tak w milczeniu

długą chwilę; zdawało mi się, że dostrzegłem łzy w jéj oczach.

Chciałem ją wziąć za rękę i odciągnąć w inną stronę.

— Co pani?—spytałem.

— E! nie,—odrzekła niechętnie, odwracając głowę, by uniknąć mego spojrzenia.

— Wie pan—odezwała się później sama—w téj kupie kości musi być także głowa mojego dziadka nieboszczyka; on tu był pochowany i w téj właśnie stronie. Żeby to można odszukać go, dałabym wiele, ale kto się tam téż pozna w takiej mieszaninie! Chodźmy, bo mi się znowu przyśnią umarli. Od czasu, jak tu przychodzę na ten cmentarz, sypiać spokojnie nie mogę i boję się po nocach; a to wszystko przez pana.

W tym wyrzucie jednak brzmiała nuta życzliwości.

Przyzwyczaiłem się tak do tych odwiedzin Adeli, że gdy pewnego ranka ujrzałem niebo zachmurzone i roszące drobnym deszczykiem ziemię, miałem ochotę pięścią pogrozić chmurom za to, że mnie pozbawiły widoku mojej tajemniczej pani. Około południa wypogodziło się; z pierwszych chwil wolnych korzystając, wybiegłem na wędrowkę po cmentarzu i, co powiesz?.. znalazłem pomimo sloty, deszczu i błota, ślad jéj bytności. Na naszym grobie (tak nazywaliśmy już miejsce naszych codziennych rozmów) za blaszane drzwiczki tryptyku zatknięty bukiet świeżych kwiatków znalazłem, których nikt inny, tylko ona, pozostawić tu nie mógł. Gdybyś ty wiedział, jak ja te zmoczone kwiaty całowałem!.. czego

one mi nie mówiły!.. dnia tego byłem tak szczęśliwy, że byłbym wyściskał wszystkie latarnie na ulicach, wracając wieczorem do domu.

Nie, ja nie mogłem swojego szczęścia stłumić i ukrywać dłużej w sobie, ja musiałem zwierzyć się komu i na cały głos wyznać, że kocham, że zakochany po raz pierwszy, że jestem bohaterem roman-su tak niezwykłego, tak poetycznego, tak... naiwnego wreszcie. Zdawało mi się, że cały świat w moich oczach wyczytać może tę tajemnicę, że świecę, jak wulkan, buchający ogniem w ciemnej nocy, że ta miłość, co najmniej, dodała mi dziesięć lat życia i powagi, i siły, i jakiegoś wzniosłości. Co ty myślisz, kochałem i byłem kochany!—o, że byłem, nie wątpiłem ani na chwilę, chociaż do miłosnych wyznań formalnie nie przyszło między mną a Adela, ale jak to powiadano dawniej: „dusze nasze się porozumiały.“

Co z tej miłości będzie, co być może, jakie jej rozwiązanie nastąpi—nie pytałem, a to na co? Kto zresztą o takie rzeczy pyta, kochając raz pierwszy wyobraźnią młodzieńczą, z całą ślepotą serca, zbudzonego dopiero do życia!.. Panią moich wyobrażeń wyidealizowałem sobie, jako anioła, jako ideał wszystkich cnót, wdzięków, doskonałości; wszystkie kobiety zbrzydły przy Adeli, straciły cały urok, przestały istnieć dla mnie. Byłem gotów całe życie chodzić do mojego biura, rysować plany, wyrzec się Gandawy, patentu inżyniera, przyszłych widoków i kariery, byle tylko spotykać się z nią na tym cmentarzu w pogodę, czy słotę i, choćby pod parasolem w największą ulewę, rozmawiać o... niebieskich migdałach.

Zdawało mi się, że to wystarczyć powinno na

całą wieczność; niczego nie pragnąłem więcej. Tak mi dobrze było z tą miłością, która trwała już całe dwa tygodnie; ale ty wiesz, że w życiu niema nic trwałego, a marzenia pękają, jak bańki mydlane, jedne po drugich, no, i leczą nas z przywidzeń życiowych.

Dokończ-no swego wina i przygotuj się na drugi rozdział mojej powieści.

Eugeniusz jednym haustem wychylił swój kieliszek, zapalił nowego papierosa, przegarnął włosy nad czołem i rozgrzany nieco winem i wspomnieniami, zaczął chodzić po gabinecie, opowiadając dalej w ten sposób:

— „Pamiętasz mojego ciotecznego brata Emila?... starszy był odemnie o lat kilka, doświadczeńszy o kilkadziesiąt. Spotykaliśmy się rzadko z sobą, ale za każdym spotkaniem, jak gdyby po dalekiej podróży, mieliśmy sobie do opowiadania tyle, że trzy doby nie byłyby wystarczające do wyczerpującej gawędy. W rodzinie nazywano go „łobuzem,“ bo miał opinią zanadto swobodnego młodzieńca, który się wiele z moralnością nie liczył i zawczasie „żyć zaczął.“

Największą jego wadą było, że do kobiet miał żylkę i za spółniczką gotów był pobeiegać na kraj świata, ale zresztą nie wiele mu można było zarzucić.

Wszystkie ciotki, babki, kuzynki potępiły go za to, nie chcąc dopatrzyć się dla jednej wady wielu zalet serca i umysłu, jakie posiadał, a dla których kochałem go po cichu za całą żeńską linią naszej rodziny. Z tą moją sympatją i miłością dla Milka, nie wolno mi się było bardzo wynurzać, bo na sto-

sunki nasze patrzano dość niechętném okiem; obawiano się, aby mnie nie zepsuł.. Ztąd właśnie rzadko mogliśmy się widywać z sobą.

W czasie poznania Adeli i mojej cmentarniej sielanki, więcej, niż kiedykolwiek, pragnąłem rozmowy z Emilem; wiedziałem bowiem, że to jedyny człowiek, któremu mógłbym się zwierzyć z moją tajemnicą, z moimi uczuciami, wygadać się przed nim dowoli, pochwalić tym romansem, który tak bardzo pochlebiał mojej młodzieńczej ambicji.

Ach, jakże mnie wtedy język świerzbiał, jak mi potrzeba było jakiego zaufanego powiernika!..

Dopałem go wreszcie pewnej niedzieli, wziąłem pod ramię i włócząc po ulicach kilka godzin bez ustanku, opowiedziałem wszystko, wszystko z najdrobniejszymi szczegółami! Szliśmy dużymi krokami bez celu w prawo, w lewo, nie zważając nawet, gdzie nas oczy poniosą; zapał mój udzielił się i jemu, historia tajemniczój kochanki mojej zajęła go, przyrzekł wybrać się którego ranka na cmentarz, aby ją zobaczyć choć zdaleka i własnymi oczyma przekonać, czy naprawdę była takim aniołem, za którego mu ją przedstawiłem. Poczciwy Milek, przez influencyę serca był w niej już do połowy rozkochany; odwzajemniając się za zaufanie, opowiedział mi kilka swoich ostatnich awanturek, ale czémże one się wydawały wobec mojej przygody!..

Nie mógł pojąć tego, że po dwóch tygodniach nie wiedziałem nic więcej o Adeli, oprócz jej imienia, że nie postarałem się dociec kim, czém, jaką była? że mi wystarczały te niewinne schadzki pośród grobów

Mówiliśmy długo o miłości, jej o idealnych zachwytach, o kobiecie, jako wcieleniu piękna, czystości, rozkoszy, poezji.

Milek podrwiwał zlekka ze mnie.

— Ty powinienes zostać świętym—mówił—i obcować z samemi aniołami; masz jeszcze przewróconą głowę na punkcie kobiet—za wiele, a raczej za mało od nich wymagasz. Co do mnie, widzisz—ja sobie urobiłem pojęcie kobiety z trzech innych pojęć: anioła, człowieka i... zwierzęcia; kobietę stawiam w pośredku i traktuję ją odpowiednio do tego, który z tych trzech pierwiastków w niej przeważa. Powiesz, żem cynik?—może, ale przekonasz się kiedyś sam, że miałem słusność.

Pozwalałem mu mówić, co ślina na język przyniosła; sprzeczaaliśmy się zwykle, kłócili, wymyślali niekiedy, ale kończyło się zwykle zgodą. Milek podnosił ręce w górę ze zgrozą nad moją naiwnością, uroczyście nazywał mnie „idyotą“, a potem rzucał mi się na szyję i całował w czoło z jakąś czułością ojcowską, która mnie do połowy rozbierała z zapewnienia, a do połowy upokarzała w obec niego. Zdawało mi się, że mnie zawsze jeszcze traktował trochę, jak dzieciaka, niedojrzałego i niedoświadczonego, co mi najbardziej dokuczało, bo — może miał i słusność wówczas.

Zmrok już zapadł, kiedy po takim długim spacerze, po kilku godzinach rozmowy nad najmiłszym dla mnie tematem—mieliśmy się już rozejść.

Milkowi jeść się zachciało; on miewał zawsze apetyt nawet przy najgorętszej miłości. Serce funkcjonowało u niego osobno, żołądek osobno, jedno

drugiemu nie przeszkadzało. Umiał krajać najkrwawszy *beefshtyk* i unosić się nad wdziękami i przymiotami panny Leonii, lub Antosi, a z ustami pełnymi mięsa przysięgał, że się od tygodnia kocha tak ogniescie, iż miejsca sobie znaleźć nie może!.. I nie były to tylko słowa; zajmował się, kochał, przepadał co miesiąc za jakąś inną, ale humoru przytém nie tracił i zawsze miał uśmiech gotowy na ustach. Nie miał nigdy żalu do tych, które go pierwsze porzucały, ani nie żałował tych, z którymi sam się rozstawał. Najszcześliwsza natura na Don Juana!..

Zamiast się rozejść, poszliśmy razem na kolacyą. Przypadek sam zaprowadził nas do jednej z najgłośniejszych restauracyj w mieście, nad której wejściem z gazowych płomyków płał napis: „Eden.“ Był to pierwszy w swoim rodzaju zakład, coś niby *café-chantant*, połączony z teatrzykiem na wzór zagranicznych przybytków wesołej muzy.

Wiedziałem o istnieniu „Edenu,“ ale mi nigdy nie przyszła ochota zwiedzić go; sam nie byłbym się wybrał nigdy do tego piekielka, o którym krążyły jaknajgorsze pogłoski. Stało się pewną cechą opinii młodych ludzi, że zamiast określać źle ich obyczaje i wartość moralną, mówiło się poprostu: „to panicz z Edenu.“

Emil wszelako rozwiął moje skrupuły, zapewniając, że zabawię się wybornie i że raz przecie poznać warto ten zakazany raik; zresztą, ktoby tam zawsze słuchał, co „stare mantyki“ prawią! Trzeba się trochę emancypować; poszliśmy się tedy emancypować do Edenu. Ogromne afisze u wejścia zapowiadały nadzwyczajne przedstawienie, złożone z popi-

sów najsłynniejszych sił artystycznych, znanych z szczytnie w kraju i zagranicą. Śpiewy, gimnastyka, sztuki magiczne, a na zakończenie żywe obrazy i cudowna, niewidziana dotychczas nigdzie fontanna czarodziejska nazwana „*Calospinto-chromocrene*“ wypełniać miały program nadzwyczajny tego wieczoru. Kupiliśmy bilety wejścia i zajęli dwa krzesła najbliższe sceny przy okrągłym stoliku.

Dziwném mi się wydało wewnątrz téj knajpy z tą atmosferą piwa, kwaśnych sosów, dymu tytoniowego i jakichś wyziewów otumaniających, z temi gazowemi lampami, które się odbijały w lustrach na ścianie i oświecały jaskrawo obszerną sklepioną salę, brudną i okopconą, pełną ludzi, chaosu, wrzawy, brzęku szklanek, talerzy i widelców.

W głębi na podwyższeniu, wznosiła się zajmowizowana scena, zasłonięta kurtyną, przedstawiającą wśród szpinakowej zieleni figle bachantek i amorków o niemożliwie okrągłych kształtach; przed estradą mieściła się orkiestra, w której rej wodził klarnet i puzon, a mały jakiś garbusek walił w kotły i bęben na przemiany, jakby chciał zagłuszyć kością muzykę innych instrumentów i gwar publiczności, która zdawała się rywalizować z grajkami w wydobywaniu przeróżnych głosów.

Bawiło mnie to wszystko; pierwszy raz mieszałem się z takim tłumem, oddychałem tą atmosferą prawdziwój knajpy i widziałem taki ruchliwy kalejdoskop ludzi, którzy swoją niedzielę spędzali na rozrywce przy kuflu i na artystycznych wrażeniach owój sztuki, reklamowanój łokciowemi afiszami, przypominającemi budy jarmarczne.

Milek, smakując piwo, z miną starego bywalca w takich miejscach, pytał mnie raz po raz z uśmiechem:

— No, cóż?.. bawi cię to?—prawda, że to oryginalne? rozejrzyj—że się trochę po sali. Masz minę studenta, który się boi spotkać z panem professorem; nie dajże poznać po sobie, żeś tutaj pierwszy raz dopiero. Zapal cygaro i spróbuj porozmawiać z tą brunetką, co siedzi za twojami plecami. Zobaczysz, jak ci to łatwo pójdzie. Héj kelner—podajno piwa tym paniom przy drugim stole — na nasz rachunek.

Ta obcesowość i swoboda Milka raziły mnie i onieśmielały jeszcze bardziej, zamiast zachęcać.

— Dajżeż pokój! — prosiłem co chwila—po co mamy zwracać na siebie uwagę.

Śmiał się ze mnie i dogadywał.

Na moje szczęście orkiestra grać przestała, dzwonek dał sygnał i kurtyna poszła w górę; zaczęło się przedstawienie.

Europejskie znakomitości wymienione na afiszu, były zbieraniną z rozmaitych cyrków, z poza kulis wędrownych teatrzyków, z jakichś bud hecarzy, słowem z téj włóczęgowskiej bohemii, która nadużywa firmy sztuki i artyzmu...

Publiczność zachwycała się kupletami jakiegoś niemieckiego Hanswursta, naśladującego po każdej zwrotce miauczenie kota, koziółkami trzech braci atletów, kuglarskimi sztuczkami jakiegoś profesora magii, który mieszaniną wszystkich europejskich języków starał się objaśniać swoje produkcje bardzo niezręcznie wykonywane; gwar, śmiechy, krzyki wzrastały po każdym numerze programu.

Uciszyło się tylko na chwilę, kiedy pan profesor polykał szpadę: był to objaw najwyższego zajęcia, moment dramatyczny całego przedstawienia.

Jakiś dowcipniś spróbował zrobić efekt, zawoławszy: „smacznego apetytu,“ ale go zasykano, aby nie psuć sobie wrażenia niesmacznej grozy, a może z obawy, by się profesor nie udławił.

Milek był w złotym humorze; bawiło go wszystko, zajmowało, pobudzało do dowcipów. Natura „łobuza“ czuła się w swoim żywiole.

Miałem ochotę wynieść się z tego Edenu, którego wrażenia drażniły mnie i niesmakiem przejmowały. Miałem już dosyć tego gwaru w pełnych uszach, tego dymu gryzącego i knajpowej atmosfery.

Instynktownie wstręt czułem do wszystkiego, co płaskie, trywialne i cyniczne.

Wstyd mi wszelako było przyznać się do tego przed Milkiem, jakaś fałszywa ambicja trzymała mnie na miejscu, nie chciałem się wydawać dzieciakiem, mleczakiem, idyotą w jego oczach.

Nadszedł z kolei najbardziej reklamowany punkt widowiska; miały być odsłonione żywe obrazy i owa cudowna, nigdy nie widziana fontanna czarodziejska.

Z poza kurtyny odzywały się śmiechy, chichy, głosy kobiece, stukania młotkiem, nawoływania dyrektora na służbę, by się spieszyła; dzwonek po kilka razy alarmował widzów, zasłona drgała, orkiestra czekała znaku pana kapelmistrza, siedzącego apatycznie przy swoim pulpicie i ogryzającego sobie paznogie; nareszcie zciemniono gaz w całej sali i na scenie, odezwały się ciche dźwięki muzyki, zasłona podniosła się w górę... Na fioletowém tle obłoków

i egzotycznych kwiatów, w ogromnej muszli, podtrzymywanej przez małe dzieci poprzebierane za amorki, leżała kobieta, prawie naga, lekką gazą tylko przesłonięta, z rękoma leniwie podłożonemi pod głowę.

Miała to być „Wenus w uspieniu.“ Na ciemnym tle rysowały się pełne kształty ostre konturami, a zręcznie rzucone światło z góry różowym blaskiem oblewało całe ciało, w jakimś lubieżnym ruchu wygięte i wydobywało jego efektowną plastykę.

Ta Wenus była piękną, chociaż nie było w niej żadnej bozkości.

Dreszcz mną wstrząsnął, kiedy spojrzałem w jej twarz; chciałem się porwać i wyskoczyć na scenę, po za rampę i kinkiet, zdawało mi się, że to widzenie, że to sen, złuda, że mi jakiś zły duch straszna psotę płata w tej chwili.

Ta Wenus łudzaco przypominała mi Adę.

Pomimo różu i bielidła, pomimo efektów kolorowego światła — poznawałem ją; te same włosy rozrzucone w niedbałych splotach, ten sam wreszcie uśmiech na lekko rozchylonych ustach...

Znałem ją przecież tak dobrze, że w biurze z pamięci kreśliłem sylwetkę na brzegach moich rysunków technicznych, niby dla wypróbowania pióra.

Ale jakże trudno było mi uwierzyć, aby ta bezwstydnie naga bogini „Edenu“ była Adelą, moim ideałem, moją miłością, moją dumą!.. a jednak jakieś złowrogie przeczucie podejrzliwie szeptało mi bezustannie: „to ona, nikt inny—tylko ona!“

Jakaś zmora spadła mi na piersi.

Zapuszczono zasłonę, publiczność klaskała z dzi-

ką jakąś namiętnością, tupiała nogami, waliła kuflami o stoły, domagając się jeszcze raz odsłonięcia obrazu.

Spojrzałem na salę.

Widzowie tłoczyli się, cisnęli bliżej sceny, w dalszych rzędach stali na stolikach, kobiety podnosiły głowy, wspinając się na palcach i napół z zawstydeniem, na pół z ciekawością spoglądały na scenę.

Odsłoniono po raz drugi Wenę.

Tłum zdawał się pożerać ją oczyma, dyszał, jak potwór rozbestwiony; od czasu do czasu wyrwał się z czyichś ust wykrzyk zachwyty:

— Wenus!... Wenus!...

Nie umiem ci opisać, co czułem w tej chwili chciałbym się być rzucić, rozkrzyżować ręce, osłonić te kształty pół nagie i wołać:

— Nie patrzcie, nie patrzcie!.. to mój ideał, nie profanujcie mi go waszemi spojrzeniami!...

Czułem jakąś bezsilną wściekłość w sobie, jakiś zamęt w głowie, miałem ochotę wydrapać oczym, którzy najbliżej mnie stali.

Uspiona Wenus w swęj muszli uśmiechała się zalotnie i z widocznym zadowoleniem — pochlebiała jej wrażenie, jakie sprawiała; z pod przymkniętych powiek błyszczały jej oczy fosforycznym blaskiem dumnej swoim bezwstydem Fryny, nie Wenery.

Byłem oszołomiony; jedna jeszcze myśl, że się mylę, że podlegam złudzeniu zmysłów, podtrzymywała mnie na nogach.

Ach, jak pragnąłem się mylić!..

Milek zapomniał o mnie zupełnie, odszedł od

stołu, przy którym siedzieliśmy i wraz z innemi stanął tuż przy samém orkiestrze.

Nie wiedziałem, co począć ze sobą; serce mi waliło, jak młotem, policzki gorzały, okropna niepewność nurtowała; oprzytomnił mnie znowu dzwonek ze sceny, zapowiadający drugi obraz.

Wśród krzaków róż, na jakimś wyniesieniu stały teraz, trzymając się w objęciu „Trzy gracye;“ środkowa z twarzą ożywioną, z uśmiechem bachantki, jak gdyby płasząc skamieniała, trzymała za ręce dwie inne towarzyszki. Powolnym ruchem obracała się podstawa z temi żywymi posągami, a dookoła nich spływał deszcz pluskającej wody, która w kolorowych światłach wydawała się gradem szafirów, rubinów, brylantów i szmaragdów...

Zakryłem twarz rękoma i padłem na krzesło przybity i bezwładny.

Nie miałem już żadnej wątpliwości, że tą Wenerą z pierwszego obrazu i tą Gracyą z drugiego, była Adelka.

Mój ideał za pieniądze pozował w truppe hecarchy i sprzedawał się tłumowi w teatrzyku, kupującym pozorami sztuki.

Ta bohaterka knajpy wstrętem mnie nagle przejęła.

Nie mogłem jednak oczu oderwać od sceny, a im bardziej się wpatrywałem, tém więcej nabierałem pewności, że podejrzenia moje są słuszne i jakaś okropna gorycz zalewała mi serce.

Więc to ona!.. mówiłem sobie, jak szalony i zestawiałem chwilę obecną z temi wszystkiemi na cmentarzu, a kontrast tych dwóch miejsc, tych dwóch

zjawisk, téj dziewczyny skromnej, cichej, zawstydzonej czegoś, pokornej przy mnie, zasłuchanej we mnie całemi rankami na grobach i téj czelnej bachantki i Fryny na scenie, pozującej co wieczór w obec publiczności knajpowej — budził we mnie mnóstwo nierozwikłanych zagadek, których pogodzić z sobą nie umiałem.

Milek wrócił do mnie rozpromieniony, upojony wrażeniami, jakby naprawdę znajdował się w mitologiczném Edenie i obcował z boginiami. Musiał spostrzedz zmianę na mojej twarzy, bo zapytał zdziwiony:

— Co ci się stało?

— Nic—odrzekłem prawie opryskliwie.—Wiesz ty, kto jest ta Wenus?..

Uśmiechnął się brzydko jakoś, cynicznie i odpowiedział:

— Wiem,—to „perła Edenu“; nazywają ją Filunią. Cudowna dziewczyna! Kugler ją zaangażował dla samych kształtów... Widziałeś?..

Chwyciłem go za ramię i z boleścią tłumioną za długo, szepnąłem:

— To moja Adelka!

— Zwaryowałeś!—zawołał.

— Poznałem ją.

— Zdaje ci się.

— Nie, jestem pewny, chyba by podobieństwo tak dziwne...

— Pójdź!—rzekł stanowczo i pociągnął mnie ku bocznemu wyjściu sali.

Dałem mu się prowadzić bez oporu.

Po kilku chwilach stanęliśmy w kurytarzyku,

z którego kilkoro drzwi prowadziło do małych gabinetów przeznaczonych na garderoby artystek i artystów trupy Kuglera.

Milek zatrzymał się u progu niewielkiej sali, pełnej rupieci, przyborów teatralnych, kostyumów porozrzucanych, dekoracyj zwiniętych.

Zapach mastyksu, spirytusu, kleju i rozmaitych wyziewów, buchnął na nas przez drzwi otwarte.

Na środku sali stała gruppa mężczyzn, kilku wojskowych, przy których kelner otwierał butelki z winem, służba kręciła się, potracając nas i klęcząc w pospiechu. Bracia atleci w trykotach, profesor magii czarnej i pękata figura pana dyrektora w kraciatym garniturze, w kapeluszu na głowie, okrążali stolik, zastawiony kuflami piwa.

Trzy gracze stały wśród swoich wielbicieli...

Trafiliśmy właśnie na chwilę, kiedy wśród gwaru i śmiechu wznoszono kieliszki z winem na cześć żywych posągów i najpiękniejszej z nich „boskiej Filuni.“

Widocznie nazywano ją w tych sferach zakulisowych takim spieszczonem imieniem, a może przedemną umyślnie ukryła je, nazwawszy się Adela.

Wśród ogólnego zajęcia i ruchu nie zauważono nas wcale.

Milek wskazał mi ją i zapytał:

— No, cóż?.. ona?

— Ona—szepnąłem.

— To chodźmy bliżej.

— Za nic w świecie!—zawołałem, cofając się instynktowym ruchem w głąb kurytarza.

Sam nie wiedziałem, czemu wstydziłem się te-

go spotkania oko w oko w takich warunkach, wśród takiego otoczenia.

Nie jęj, sobie oszczędzić chciałem upokorzenia w tej sytuacji.

Towarzyszki Adeli śmiały się głośno, nieprzyjemnie, z jakimś trywialnem wyuzdaniem; jedna z nich wzięła butelkę całą z rąk kelnera i przytknęła do ust, wołając:

— Zdrowie twoje Dudusiu!

Duduś miał minę kantorowicza, udającego w niedziele złotego młodzieńca, za pieniądze swego pryncypała. Z przesadną elegancją przyklęknął na jedno kolano, rękę położył na sercu i fistulowym głosem zaczął śpiewać arya Pygmaliona z „Pięknej Galatei.“

— „O Wenus ty, osusz me łzy!“

— Nie bzikuj Duduś! ja nie Wenus — wołała podochocona gracya, a zwracając się do Adeli, mówiła: — Filunia, wypij za jego zdrowie, co?.. nie chcesz? musisz wypić, a to dobre!—i nalegająco przysuwała jej butelkę do ust.

Zaczęły się wśród śmiechu szamotać, wyrwać jedna drugiej i oblewać winem nawzajem.

Scena ta wstrętne robiła na mnie wrażenie, a jednak ruszyć się z miejsca nie mogłem. Nie znałem tego świata, jego zbyt swobodnych zwyczajów, języka i humoru; gorszyło mnie to wszystko... nie-smakiem przejmowało; jakaś naiwna ciekawość nowicyusza przemagała wszelako inne uczucia we mnie i trzymała u progu.

Nagle Adela wyrwawszy się z rąk swjej towarzyszki—Duduś ciągle na klęczkach zachwycał się swoim tenorem i śpiewał z coraz większem przeję-

ciem — poskoczyła ku drzwiom i wprost padła na mnie, oparłszy się o moje piersi w rozpędzie.

Przy tej sposobności spojrzeliśmy sobie niespodzianie twarz w twarz...

Gdyby się ziemia była pod nią rozstąpiła, nie sprawiłoby to na nią chyba większego wrażenia. Stała, jak wryta, nie chcąc oczom swoim uwierzyć; —widok mój zmieszał ją i onieprzysiężił. Jakiś wyraz przerażenia, wstydu, niechęci odbił się na jej twarzy; cofnęła się szybko, oparła o ścianę i patrzała we mnie przez kilka chwil swoimi dużymi oczyma, w których zgasała nagle cała wesołość. Usta jej szeptały tylko coś, czego dosłyszeć dobrze nie mogłem, potem jak strzała przemknęła pomiędzy mną a Emilem i wpadła do jednego z bocznych pokojów, zatrzasnąwszy drzwi mocno za sobą.

— Rozumie się, poszedłeś za nią? — zapytał Eugeniusza, zaciekawiony epilogiem tej sceny.

— Nawet mi to na myśl nie przyszło — odparł żywo — wybiegłem przez kurytarz na jakieś podwórko i bocznym wejściem dostałem się na ulicę. Wychodząc z bramy Edenu, czułem się jakby innym człowiekiem: wstyd mi było przechodzić na ulicy, zdawało mi się, że każdy spogląda na mnie z szyderczym uśmiechem i wskazując palcem, powiada jeden drugiemu:

— Patrzcie, to kochanek Adelki!..

Takiego upokorzenia nigdy w życiu nie doznawałem.

Wszystkie moje illuzye rozprysły się w jedną chwilę, z nieba spadłem na ziemię i to gdzie?.. nad ryzsztok życia.

Zawód mój strasznym mi się wydał. Pierwsze uczucie, jakie się we mnie obudziło, było uczucie jakiegoś wielkiego smutku, żalu do losu, do siebie, do niej, do całego świata. Wychowywano mnie w domu w takiej czystości obyczajów, nauczono patrzeć na kobietę z czcią i podziwem; marzyłem o pocałunkach kochanki według zachwyty poezji, a znałem tylko dotąd jedne jedyne usta kobiece, które mnie całowały — méj matki.

Możesz sobie wyobrazić, jaką reakcją wywołało we mnie wszystko, na co owego wieczoru patrzeć musiałem!.. poznałem zblizka ów świat tanich rozkoszy, świat zepsucia i upadku, o którym słyszałem tylko z opowiadań i czysta moja, młodzieńcza, rozmarzona trochę natura, wzdrgnęła się przed rzeczywistością. Może tym gwałtownym wrażeniem zawdzięczałem później w życiu wstręt instynktowy do wszelkiego brudu moralnego i zepsucia, które mnie ani zaciekawiało, ani pociągało, jak tylu innych młodych ludzi w moim wieku.

Emil pozostał w Edenie, nie wyszedł za mną, więc sam błądziłem długo w noc po ulicach z płonącymi policzkami, z głową rozpaloną.

Pierwszy raz wówczas tak późno wróciłem do domu, a kiedy na palcach skradałem się do mego pokoju, aby czujne ucho matki mnie nie posłyszało, najbardziej dokuczała mi myśl, że jutro gdy zapyta swoim łagodnym głosem: „Gdzie to tak do późna bałamuciłeś się wczoraj, Geniu?“ — będę musiał kłamać przed nią ze wstydu i nie wolno mi będzie przyznać się do wszystkiego.

Usnąć nie mogłem przez całą noc; myślałem

o tém, co za cel miała taka Adela w zawiązaniu ze mną stosunku tak odmiennego od jęj życia, otoczenia, instynktów, jakim podlegać musiała?.. co ją ciągnęło do mnie, do tych schadzek na cmentarzu każdego ranka po nocy spędzonej zapewne w gronie wesółych towarzyszek i przyjaciół ich w rodzaju Dudusia?.. dlaczego ukrywała tak starannie przedemną swą niesławę, kiedy dla całego świata jawnie ją odsłaniała?...

Nie umiałem tych sprzeczności pogodzić ze sobą, nie umiałem jeszcze rozwiązywać pewnych psychologicznych zagadek w upadłych duszach, tęg jakiegś dwoistości natury kobiecęj, mieszaniny ambicyi i bezwstydu, zepsucia i uczciwości.

Przez kilka dni następnych chodziłem, jak nieboszczyk cudem do życia przywrócony; widok cmentarza, tych samych grobów, wśród których spotykałem się z Adelą, stał mi się nad wyraz przykrym.

Przestawiłem mój stolik do innego pokoju i pochyłony nad rajsbretem, próbowałem pracować tak gorliwie, jak nigdy, aby odepchnąć natrętne myśli o nięj i o wszystkim, co z nią jakikolwiek związek mieć mogło.

Przez tych kilka dni czułem się bardzo pogębionym i nieszczęśliwym.

Wstydzilem się moich westchnień, które mogły mnie zdradzić, oczu ludzkich unikałem, jakbym miał zbrodnię na sumieniu.

Przysiągłem sobie, że nie przejdę nawet ulicą, gdzie się mieścił Eden, od czerwonych afiszów odwracałem się z odrazą, przypominały mi one zανάadto ów wieczór spędzony na widowisku w Edenie.

Milek przepadł bez wieści, nie uważał nawet za stosowne przyjść opowiedzieć mi, co się dalej stało po naszym rozstaniu; kontent byłem nawet z tego, że nie potrzebuję mówić z nim o Adeli.

Na co miałem się rozdrażniać jeszcze bardziej!

Wyobraź sobie moje zdziwienie, kiedy pewnego razu nad wieczorem, posługacz nasz zbliżył się do mnie tajemniczo i szepnął mi na ucho, że „ktoś tam w dorożce na ulicy chce się zobaczyć z panem asystentem i prosi, abym wyszedł na chwilę.“

Chwyciłem za kapelusz i parasol, i wyszedłem.

Deszcz padał leniwo dużemi kroplami, błoto było po kostki, chmury zaciągnęły się na długą słotę.

— Komu się tam chciało przyjeżdżać aż tutaj do mnie o tęg porze—myślałem, podchodząc do jednokonnęj dorożki z podniesioną budą, stojącęj na deszczu i słocie nieopodał kolejowego plantu.

Kobieca ręka wyciągnęła się ku mnie i znany mi głos odezwał się z głębi:

— To ja, wsiądź pan na chwilę.

Zawahałem się na razie; po głosie poznałem Adelę.

— Wsiądź pan, proszę — powtórzyła, nie puszczając męj ręki — nie obawiaj się pan, nikt pana ze mną nie zobaczy.

Cóż było robić?.. postawiłem nogę na stopniu i usiadłem przy nięj.

— Bardzo się pan gniewa na mnie? — zapytała po chwili—przyjechałam, bo musiałam pana raz jeszcze zobaczyć. Do siebie pana prosić nie śmiałam, a na nasz grób przestałeś pan przychodzić. Powinnam pana przeprosić i... przepraszam.

Jakiś ton smutku i szczeroci dźwięczał w jej głosie.

— Tylko tyle?—spytałem.

— A cóżby więcej?—odrzekła z prostotą, jakiej wówczas już nie byłbym się po niej spodziewał;—teraz wszystko między nami zerwane, odkąd pan wie, że ze mną romansować nie warto. Każdy musi iść za swoim losem; ja już swego nie zmienię, oj, nie zmienię!—powtórzyła ciszej z westchnieniem.

— Zrób mi pan chociaż jedną jeszcze łaskę — rzekła po chwili — porozmawiajmy trochę ze sobą i tak nie zobaczymy się już nigdy więcej.

Kazałem dorożkarzowi jechać przed siebie, dokąd zechce i wtulony w kąt dorożki, siedziałem osowiały, milczący, zły na swoją powolność względem kobiety, do której czułem żal za pierwszy zawód, pierwsze rozczarowanie w życiu pełnem jeszcze iluzji.

Miałem jednak kilka kwestyj do rozwiązania, a tylko Adela jedna mogła mi dać ich wyjaśnienie; chciałem się przekonać, co właściwie skłaniało ją do stosunku ze mną w tak niezwykły sposób związane-go, czego się po nim spodziewała, dla czego oszukiwała mnie i zwodziła?

Dorożka toczyła się po błotnistym bruku ciężko, powoli, deszcz bębnił po budzie rozpiętej nad naszymi głowami, zciemniało się coraz bardziej i wśród tego zmroku, wśród tych ulic odludnego przedmieścia, jeździliśmy jakby w jakimś konfessyonalu na kołach, w którym słuchałem opowiadania Adeli o sobie, niby spowiedzi Magdaleny.

Nie myśl tylko, że była to jakaś scena melodramatyczna, z łkaniem, wybuchami płaczu z uda-

ném wzruszeniem i fałszywą skruchą; broń Boże!... zwyczajnie, jakby o kimś obcym, jakby o drugiej osobie, z pewną rezygnacją a bez chęci pozowania na Małgorzatę Gautier, albo Manon Lescaut opowiadała mi w luźnych szczegółach o swoim życiu, swojej przeszłości, nie skarżąc się i nie usprawiedliwiając.

Nie było w tych dziejach zbląkanj duszy nic nadzwyczajnego ani w treści, ani w formie; ot, jedna z tych tysięcznych historyj, które się bezustannie powtarzają w wielkich miastach, a w ubogich rodzinach.

Żałuję, że ci tego tak dosłownie powtórzyć dziś już nie potrafię, ale co ważniejsze, opowiem.

Przypadki dziwnie chodzą po ludziach.

Nie jednemu się wydaje, że tylko w książkach trafiają się takie szczególniejsze zdarzenia, które sobie autor pracowicie w głowie ułożył, wykomponował, z fantazyi zaczerpnął, a tymczasem życie samo bywa najbardziej pomysłowym autorem i układa sytuacje, o jakich się najlepszym dramaturgom nie śniło.

Wyobraź sobie, że Adela była wnuczką grabarza, który przed laty na tym samym cmentarzu, gdzieśmy się z sobą poznali, miał domek i mieszkał w nim z całą rodziną.

Od czasu gdy przestano tu chować nieboszczyków, stary grabarz zajmował miejsce dozorczy.

Wśród tych samych mogił, Adela, jako dziecko bawiła się i biegała ze swemi rówieśniczkami; przypominały jej one podczas naszych schadzek dawno minione lata, a pozwalały choć na chwilę zapomnieć

o terażniejszości. Pierwszy raz zwabiły ją na cmentarz pogłoski o rozkopywaniu grobów: coś ją skusiło pójść zobaczyć, jak też to tam wygląda na tej jej dawniej ojcowiznie i wtedy zetknęła się ze mną.

Matkę miała biedną, zarabiającą ciężko na chleb, szwaczkę; póki żył dziadek, mieszkali razem—po całych dniach siadywała z matką na cmentarzu i pomagała w robocie. Zdawało jej się, że ta Boża rola zasiana grobami, to tylko ogród przy ich domu.

Po śmierci dziadka wyrzucili ich na bruk, nowy dozorca miał sam liczną rodzinę i nie chciał trzymać wdowy z sierotą pod swoim dachem. Człowiek musiał być bez serca, bo pierwszą noc pozwolił im przespać pod gołym niebem, nieopodal dawniej grabni; na szczęście lato było i noc pogodna. Wrażenie jednak tej nocy nie mogła nigdy zapomnieć.

Potem zlitowały się nad nią zakonnice, wzięły do klasztoru niby na posługę, uczyły darmo, odziewały w darowane sukienki, karmiły i opiekowały się, jak sierotą. Gdy podrosła namawiały ją, żeby została mniszką, ale matka nie pozwoliła i ona sama nie miała ochoty zamknąć się na całe życie w zakonnej celi. Świat ją nęcił; powiadali, że jest ładną i że jej szkoda na ofiarę Panu Bogu.

Lusterko mówiło jej to samo.

Wróciła do matki i zaczęła z nią szyć; we dwie ciężiej szło życie.

Matka pokryjomu piła z rozpaczyny nad losem, a po pijanemu zły duch przez nią przemawiał do córki:

— Głupia, szukaj sobie losu—ładna jesteś, nie zginiesz...

Dla ubogiej dziewczyny, samej jednej, bez ojca, to nieszczęście być ładną. Świat jest chytry i czycha na takie biedactwa.

Z igły trudno się było utrzymać; w klasztorze nauczono ją ładnie haftować, haftowała tedy i jako tako jej się wiodło.

Trafiała się jej nawet kiedyś partya; murarz jakiś chciał się ożenić, ale matka mówić sobie o tem nie pozwalała. Szkoda jej było córki dla murarza, córki z edukacją, a do tego takiej ładnej. Wołała ją zmarnować, niż oddać człowiekowi podłej kondycyi.

— Żle zrobiła—mówiła Adela—byłabym sobie teraz porządną jaką majstrową, zamiast świecić ludziom oczyma. Rok temu matka umarła; chorowała w domu, do szpitala pójść nie chciała za żadne skarby świata, bała się go i mówiła, że umrze tam z pewnością, bo w szpitalu wszyscy umierają zwykle, tylko ci, co przed czasem z niego uciekną, uchodzą z żywą duszą.

Ale i w domu się umiera, zwłaszcza gdy nie ma na ratunek, na doktora i na lekarstwo.

Taki los; każdy musi iść za swoim losem.

Bez matki było jej o tyle lepiej, że nie potrzebowała pracować na dwie, ale za to nie miała już nikogo przy sobie, żadnej opieki i porady.

Trafiło się miejsce w budce z wodą sodową, została „sodziarką;“ od haftu już ją oczy bolały, za dużo po nocach pracowała zwłaszcza przy chorągwie matce.

Z początku to nowe zajęcie bawiło ją, do budki tłoczyło się mnóstwo młodych ludzi, wesółych, do-

wcipnych, zabawnych. Sprzedawała wodę i śmiała się, humor jój wrócił, odżyła w ciągu lata, wyładniała jeszcze bardziej, była najpiękniejszą „sodówką“ w całym mieście.

Studenci przynosili jój wiersze, kwiatki, karmelki, powieści do czytania.

Oporządziła się trochę i zaczęła być szczęśliwą.

Ale lato minęło i przyszła jesień; budki pozamykano i sodówka zobaczyła się znowu na bruku.

— „Cóż było robić...“—mówiła szczerze i otwarcie—„rozleniwiłam się po prawdzie trochę przy tej wodzie, palce mi się wydelikacyły, ze stosunków dawnych wyszłam zupełnie, a głowę mi kto niechciał zawracał, żem ładna i że mogłabym los zrobić. Wrócić się znowu do dawnej biedy, do wilgotnej suteryny, gdzieśmy z matką mieszkwały, znosić głód, chłód i nędzę nie miałam odwagi. Co tam panu będę o wszystkim opowiadała; ot, trzeba było żyć jakoś aby głowy o mur nie rozbić i jak pan widzi, żyję i niejedna głupia gotowa mi pozazdrościć. Przed rokiem trafił się jakiś dyrektor Niemiec, który zbierał chórzystki do teatryku; posłali mnie do niego. Nawet mi głosu nie dał próbować, tylko popatrzył na mnie i zaangażował odrazu. Pojechałam z nim w świat i zostałam artystką!.. ale pokazało się, że nie mam ani słuchu, ani talentu, i że nic ze mnie nie będzie. Wtedy spotkał mnie Kugler ze swoją trupą i odkupił od dyrektora, zapłacił moje długie i zrobił ze mnie lalkę na pokaz. Byłam zgrabna i kształtna, nauczyłam się szybko pozować i jak pan widziałeś, jestem teraz—„perłą Edenu“, według tego, co o mnie drukują na afiszach.

To życie wszelako nad podziw jój nie zadawało, niczego przecież nie brakło, miała więcej, niż kiedykolwiek zamaryć mogła, a jednak coś ją dławilo, gnębiło, przygniatało chwilami.

Nieraz miała ochotę utopić się, lub z dachu skoczyć, ale nie śmiała się z tem nikomu zwierzyć, bo wyśmialiby ją; potem lada czém się ogłuszała i śmiała, jak inne. Nic jój zmartwić nie mogło.

— Głupia, nie sobie nie rób z tego! — mówiły jój towarzyszki i uczyły lekceważyć wszystko zarówno, z wyjątkiem oklasków wieczorem i tłumy wielbicieli.—Życie, świat, honor, cnota, uczciwość,—głupstwo; raz się tylko żyje na świecie.

Wmawiała to w siebie, ale wmówić naprawdę nie mogła i udawała, że lekceważy sobie, jak tamte, złe czy dobre.

Z każdym dniem uczyła się coraz bardziej godzić ze swoim losem; wrócić się z drogi nie było łatwo, nie było gdzie.

— „Weź mnie pan,“—rzekła do mnie, chwytając mnie za rękę—„tak, jak stoję, zostanę przy panu, nie wrócę więcej do domu, nie chcę znać Edenu i Kuglera, dość mam już tego wszystkiego, byłem miała żyć z czego i nie musiała znowu biedy znosić.“

Cóż jój mogłem odpowiedzieć na to?...

— „Ot, widzisz pan,“—mówiła dalej spokojnym, zrezygnowanym głosem — „jesteś przecie uczciwym i szlachetnym człowiekiem, a pomóż mi nie potrafiisz, ani ty, ani nikt więcej.“

Wiedziała, że „się już od piekła nie wywinie.“

Żeby to „panny matki“ słyszały, co się z nią stało, toby się krzyżem pokładły w kościele i zapła-

kały z żalu, ale coby to pomogło!.. Trzeba iść za swoim losem.

Kiedy się ze mną pierwszy raz na cmentarzu spotkała, coś ją dziwnego tknęło; przemówiłem do niej tak, jak nikt więcej oddawna z nią nie rozmawiał; ucieszyło ją to niezmiernie, sprawiło przyjemność wielką, że ją uczciwy człowiek za równą sobie, za coś nierównie lepszego uważał. Pochlebiało jej to i postanowiła z tej mistyfikacyi korzystać.

— „Ja wiedziałam”—rzekła—„że tak długo nie może potrwać! że się wszystko prędzej czy później wyda na końcu, ale chciałam, żeby to jak najpóźniej się stało. Pan sobie wyobrazić nie potrafi, jak mnie te nasze spotkania cieszyły, a kiedy mnie chciałeś raz w rękę pocałować, to mi wszystka krew z radości do głowy uderzyła, ale pomyślałam sobie: „Nie, moja droga, nie możesz pozwolić, żeby cię uczciwy człowiek w rękę całował za to, że go tak oszukujesz.“ Ot, widzi pan, że we mnie zostało jeszcze coś dobrego, tylko i to się wytrze powoli, jak się już tyle wytarło. Cóż robić?..“

— „Niech mnie pan jeszcze odwiedzie do domu,“—rzekła w końcu—„wygadałam się trochę przed panem, teraz mi lżej będzie. Czas i mnie, i panu wracać. To biedne konisko zdyszało się, że ledwie kopytami włóczy. Szkoda, że moje nieszczęście przywiodło pana w tę niedzielę do Edenu, byłabym mogła jeszcze kilka dni widywać się z panem, ale teraz już nie uchodzi. Kochanką pańską być nie mogę, o nie!.. Pan taki młody i taki dobry, pan wart czegoś lepszego odemnie. Jednak ja na ten cmentarz

nie raz jeszcze przyjdę, aby sobie przypomnieć pana i nasze rozmowy; one mi dużo, dużo dobrego zrobiły.“

Ciemno już było zupełnie, kiedy dorożka stanęła w pobliżu Edenu; nie chciało jej się wysiąść jeszcze, pozostała chwil kilka przy moim boku, pytając:

— „Ale pan się nie będzie więcej gniewał na mnie?... i nie będzie pan miał żalu do mnie? ja wiem, że się pan już trochę we mnie podkochiwać zaczął, a dotąd nikt, nikt na seryo we mnie się nie kochał, bo i nie było warto, prawda?..“

Rozstaliśmy się tego wieczoru na zawsze.

W dwa lata później, wróciwszy z Gandawy, wybrałem się na przechadzkę w stronę dworca na cmentarzu i jakoś instynktownie zaszedłem na mogiłki.

Wszystko mi tu przypominało... perłę Edenu.

Zaszedłem na „nasz grób;“ zielsko i trawa wysoko na nim porosły, na krzyżu trzymała się jeszcze blaszana tabliczka z duszami w piekle gorejącemi; rdza je pogryzła do reszty, ale gdy przez ciekawość otworzyłem blaszane drzwiczki—serce mi żywiej uderzyło i rumieniec na twarz wystąpił.

Wiązanka zeschłych kwiatów, wypłowiałą wstążeczką związanych, świadczyła, że wspomnienie spędzonych chwil wspólnie, sprowadziły tu jeszcze raz Adelę po naszym rozstaniu....

Oto masz dziwną historią mojej młodzieńczej sielanki, której nie opowiedziałbym za nic w świecie żadnej z naszych moralnych pań z towarzystwa; straciłbym z pewnością połowę mojej dobrej opinii, przyznając się do romansu z Adelą; a jednak wierzaj mi, znałem w życiu później wiele kobiet z wielką pre-

tensyą do cnoty i uczciwości, które nie miały ani jednej chwili tak szczerego porywu i uczucia, co ta spopieliała dusza dziewczyny i nigdy im przez myśl nie przeszło, żeby odsunąć od siebie zakochanego mężczyznę, dlatego, iż nie były miłości jego godne, albo że podzielać jej nie mogły.

— Cóż się jednak stało z Adelą? — spytał Eugeniusza, spoglądającego już na zegarek.

— „Mój drogi, wstyd mi wyznać—odparł, wzruszając ramionami — albo ja wiem!.. przepadła gdzieś z Kuglerowską truppą bez śladu. Milek mi tylko opowiadał, że ją później widywał i że często rozmawiali o mnie.“

— O, twój Milek nie był idealistą! — zauważyłem złośliwie.

Eugeniusz uśmiechnął się i rzekł:

— „On był zawsze oportunistą w miłości i na tém najlepiej wychodził.“

ZEMSTA TRUBADURA.

Z kalejdoskopu wspomnień.

I.

**Trochę o sobie, trochę o mojej cioci, trochę o kuzynkach
Klimci, Pelci i Walerci.**

Wynalazłem sposób na wskrzeszanie przeszłości i wywoływanie z niej duchów; rzecz prosta: zapalam papierosa o zmroku, kładę się na moim szezlongu, zamykam oczy i zaczynam marzyć...

Sposób nie bardzo oryginalny, ale patentu na niego nie wymagam.

W pierwszej chwili nie widzę nic; w myślach moich powoli rozjaśnia się krąg, jak na blejtramie po ustawieniu latarni magicznej; później zaczynają się zarysowywać jakieś niewyraźne kontury, występować kolorowe punkta, krążyć, skupiać się, aż powstaje z nich figura, jedna, druga, trzecia, dziesiąta, z figur cały obrazek, a potem, jak w kalejdoskopie, za lada poruszeniem zmieniają się wzorki i tak już idzie bez końca, póki oczu nie otworzę, albo nie zasnę na dobre...

Ach, jakąż czarodziejką jest pamięć, kiedy jej serce w zaklęciach pomaga!

W tych snach na jawie czasami lubię majaczyć

gdy mam przy sobie miłego słuchacza, a podobno te majaczenia bywają nawet zajmujące. Albo ja wiem?.. Może zajmą kogo.

Biorąc papierosa, kładę się na szezlongu, przy-
mykam oczy, i... i jeżeli chcecie, słuchajcie — tylko,
gdybym usnął, wybaczenie i zróbcie to samo.

.....
Musiało to być dawno, bo mi się dopiero wasy
sypać zaczęły i jeszcze co roku wyjeżdżałem na wa-
kacye.

Widzę tę drogę długą przez piaski i przez la-
ski, poza którymi znowu trzeba było brnąć w piasku
i znowu wjeżdżać do lasu. Pocztyljon zwał się Grze-
gorz i udawał, że umie trąbić, jak archanioł, tylko
„bestyjstwo trąba“ zawsze czemuś krewiła. Wózek
pocztowy trząśł z każdym rokiem gorzej, choć go
podobno z każdą wiosną naprawiano, tylko się konie
zmieniały co roku, bo pan Maciej Świderek, poczt-
mistrz w miasteczku, w którym ciotka moja miała
domek z ogródkiem i włóką gruntu, lubił facyendy
rozmaite i z okolicznymi żydkami załatwiał „końskie
interessa.“

Za ostatnią oazą, porosłą zrzadka świerkami,
skręcało się na prawo i „kole karczmy“, w której
górale, wybierający się „na bandos“, czyli na zaro-
bek przy żniwach, przepijali zwykle ostatniego *pa-
piera*, zabranego z domu na drogę, jechało się już
urwistym brzegiem kapryśnego Sanu het... het ku
graniczy i komorze w Szycach.

To geograficzne określenie nie bardzo potrze-
bne, bo dość powiedzieć iż taką drogą i na takim

wózku, jeździłem co roku na wakacye do ciotki Mani
w Rzeszowskiem.

Ciocia Mania była wdową, żyjącą z własnych
funduszów; syna miała jedynaka, który miał w her-
bie „Trąby“, a sam był najnieznośniejszym bęb-
nem, jakiego w szkołach galicyjskich kiedykolwiek strojo-
no. Jako starszy o wiele lat i poważniejszy braci-
szek, miałem zwykle powierzoną sobie misją kocha-
nego Stasiulka transportować do matczynego domu
i pilnować, aby w drodze o kamień nie obraził nogi,
albo gdzie dla figlów... karku sobie nie skrzył. Wo-
łałbym był smoka żywego prowadzić na łańcuszku,
niż przez całą drogę w troskliwości o jedyną głowę
ciocinego jedynaka trzymać go za ucho, wołając co
chwila:

— Staszek, nie wierć się!.. Staszek, nie ruszaj
bata!.. Staszek, nie wychylaj się, bo wypadniesz.

Ale Staszek robił tylko małe grymasy i prze-
myślał, czémby mnie i sobie urozmaicić nudną dro-
gę całodzienną.

Nad wieczorem zwykle stawaliśmy na miejscu.

Grzegorz z fantazją próbował wszem w obec
i każdemu z osobna oznajmić chrypliwą fanfarą z nie-
odpornym kogucikiem, że przywiózł „paniczów na
wakacye.“ Wózek dudnił i podskakiwał po nieró-
wnym bruku jedyniej ulicy, jaka przerzynała mia-
steczko ze wsi kreowane i płoszył dzieci, kury, pro-
sięta, wałęsające się w rajskiej swobodzie po dro-
dze, wiecznie zakurzonej i zaśmieconej. Największe
wrażenie przyjazd nasz sprawiał na psach, które
zrywały się z pod progów, biegły za wózkiem i wy-
myślały nam, jak rabusiom na powitanie: hau-hau

i hau-hau!... Nie w nich staropolskiej gościnnosci nie było.

Za to dworek pocziwój ciotki Mani wyglądał w świetle zachodzącego słońca, jakby każda cegielka promieniała w nim radością. Na flanku wyciągniętych pod sznur domów, zdawał się być jenerałem w zielonym mundurze z bluszczu i dzikiego wi-na, w czerwonym, stosowanym kapeluszu z dachówek, na którym, jak piórko złote, świeciła blaszana chorągiewka, a na piersiach błyszczały mu, niby order i gwiazdy żółte, ogromne słoneczniki i kolorowe malwy, rosnące pod oknami; wysoka topola, stojąca obok, podobną była do zwiniętego sztandaru podczas *feldparady*.

Mój Boże, jak mi ten dworek imponował wówczas ze swoją właścicielką, panią kapitanową, która w nim swoje wdowieństwo zamknęła i zebrawszy trochę grosza, odsunęła się umyślnie ze świata w cichy, zaparty kąt partykularza, aby żyć tylko wspomnieniami o nieboszczyku mężu i dla jednego Staszka swego na świecie.

Gdyby bomba była wpadła przez komin do wnętrza dworku ciotczyego, taka sama, jak gdzieś pod Sadową nieboszczykowi wujowi urwała nogę od kolana, nie byłaby sprawiła więcej rechwachu i krzyku, jak turkot pocztowego wózka, który nas przywoził pod sam ganek.

Ile tam było czułości, zadowolenia, szczęścia w tym okrzyku: „Drogie moje dzieci,“ z jakim nas witała na progu pocziwa ciotka, w tych uściskach i pocałunkach, rozdzielanych pomiędzy syna i bratanka, ile radości i uciechy w miłym, panieńskim pi-

sku trzech kuzynek, ile rozmaitości w chaosie głosów, przeważnie kobiecych, które chórem rozbrzmiewały po całym domu—tego określić nie potrafię, jak nie potrafię wyliczyć i opisać wszystkich przysmaków kuchni i spiżarni pani kapitanowej, zastawionych na ugoszczenie dwóch najmilszych w domu gości.

Boże, a tożbym dawno maszerował z wujem kapitanem po elizejskich polach, gdybym się dał skusić łakomstwu i za przykładem Staszka próbował wszystkiego, czém nas troskliwość ciotki i kuzynek uraczyć chciała! Dusza się moja dzisiaj jeszcze oblizuje na wspomnienie owych chwil pierwszego wieczoru wakacyjnego przy stole kochanej kapitanowej, któraby była rada serce własne wsadzić na rożen, upiec i postawić przed nami na półmisku, byleśmy tylko jedli.

— Biedne chłopaki moje — powtarzała raz po raz—wyglodziło się to przez dzień cały, strzęsło na wózek, ciepłego nie pewnie w ustach nie miało. Stasiulku mój złoty — patrzajno, toż to twoje ulubione papatacze. A możebyś ty kawy się napił, a może maślanki... albo lepiej kwaśnego mleka, zanim się kaczką zrumieni?

Złoty Stasiulek jadł, aż mu się uszy trzęsły, jak gdyby w Rzeszowie na stancyi żył tylko chlebem i wodą. Mnie zaś trzy gracye, którym było Klimma, Pela i Walera na imię, traktowały i karmiły konfiturami i rozmową, słodsza od konfitur. Ach, te kuzynki!.. któż ich nie miał i nie kochał w życiu?!

Klimma była brunetką, żywą, wygadaną, trochę egzaltowaną, ładną i udającą wielki wstręt do mał-

żeństwa, a pogardę dla miłości; zarzekała się wyjść za mąż, choćby tam, Bóg wie, co!.. ale wyszła i dziś podobno czwartą pociechę kołysze. Pela, najmłodsza, miała włosy, jak len, oczy chabrowe, usteczka, jak pączek róży, a na nich zawsze uśmiech, taki łagodny, poczciwy, dziecięcy, że mnie ochota brała całować ją w te drobne, białe jak perełki zęby, które do świata szczyrzyła bez ustanku. Walerka, najstarsza, udawała starą pannę, poważną, bez pretensyi, żyjącą tylko dla innych, oddaną prozie życia, poświęcającą się dla sióstr i ciotki; zajęta gospodarstwem, kurnikiem, spiżarnią, obiadem i bielizną, zapierała się uporczywie idealniejszych pragnień i popędów, a pokryjomu wieczorem przepisywała wiersze z tygodników i wzdychała do księżyca, gdy na nią nikt nie patrzył. Wszystkie trzy miały wspólną wadę, pospolitą u panien na partykularzu: wypierały się instynktów matrymonialnych, ale zawzięcie swatały każdego, kto się nawinął, tworząc najokropniejsze kombinacye i mezaliansy.

Ale to się pokaże w drugim rozdziale naocznie.

Kiedyśmy tak późno już po herbacie wstawali od stołu, kończąc na dziś rozmowę, rozpryskując się, jak rakietą, na mnóstwo pytań bez związku i odpowiedzi nieskończonych, Klima trąciła łokciem młodszą siostrę i, wskazując tajemniczo głową na mnie, szepnęła:

— No, Julka jutro raniuteńko przyleci, jak się tylko dowie, że przyjechał.

Pela pokazała zamiast odpowiedzi swoje ząbki i mrugnęła znacząco ślępkami, a Walerka obrzuciła siostry spojrzaniem ochmistrzyni i rzekła:

— A cóż ty myślisz, że byłaby z nich zła para?!

Ciotka zaś przyciągnęła mnie ku sobie z macierzyńską czułością, wzięła za głowę, pocałowała w czoło i dodała:

— Panny mi tu rozerwą takiego kawalera z miasta. Trzymaj się tylko ostro; na dziesięć dziewcząt jeden mężczyzna do ludzi podobny. No—teraz spać, jutro niedziela, rano wszyscy na sumnę. Trzeba go przecież pokazać światu.

Panienki dały sobie znowu znak oczyma, jakby w tej chwili uknuły gotowy spisek na mnie i poszły szeptać coś długo w alkierzyku.

— Moja ciociu—zapytałem, żegnając się przy odejściu do pokoiku na facyatce, w którym miałem przeznaczoną kwaterę—co to za Julka jakaś, co ma tu jutro przylecieć?...

Kapitanowa zrobiła minę dyplomaty z pod Waterloo i tajemniczo mrugnęła do mnie.

— Ho, ho! Chciałbyś wszystko wiedzieć od razu. Zobaczysz.

Usypiając na świeżem sianie w mojej izdebce, jak puzderko sosnowe, zdawało mi się, że muchy, zbudzone na powale blaskiem lampy z zieloną umbrelką, którą postawiono przy łóżku panicza, obok karafki z wodą i nowego pudełka zapalek, zaczęły mi brzęczeć nad głową tajemniczo: Julka, Julka, Julka!..

I pomimo znużenia długo usnąć nie mogłem; może temu było winne siano, może muchy, a może

owa jakaś zapowiadana Julka, którą dopiero jutro miałem zobaczyć...

II.

Coś o miłości, coś o księżycu, coś o sylfach i rusałkach, coś o miękkości serca i o wilkołaku.

I „przyleciała“ na prawdę, jak przepowiadała Klima, aby obejrzyć kawalera ze stolicy, akademika, kuzyna swych przyjaciółek, pożądanego gościa w ciuchym zakątku prowincyi, w którym kulawi, ślepi i głusi, byle rodzaju męskiego, należeli do *rarytasów* dla owych dziesięciu panien na wydaniu, jakimi szczyściło się i kłopotalo zarazem biedne miasteczko.

Przyleciała zaraz raniusienko, niby dowiedzieć się, w jakich sukienkach panny pójda do kościoła, niby pożyczyć dla mamy sędziny (bo sędzianką była i patrycyuszką grodu, nawet posażną), jakiegoś przepisu na parzone babki, które miały być na obiad, ale, jak przyleciała, tak i odlecieć musiała z niczém, nie ujrawszy ze mnie ani jednego cala.

Morfeusz tulił mnie w swoich objęciach i choć słońce, jak Julka, ciekawe, zaglądało przez szczeliny zielonych storów do mojej izdebki, spałem aż mi się dziś jeszcze ziewać chce na wspomnienie owego snu smacznego, snu w latach dziewiętnastu, kiedy się poetycznie marzy cuda na jawie, ale prozaicznie spi, jak kamień, twardo i długo. Pocziwa kapitanowa, jak anioł opiekuńczy, otuliła moją sypialnię skrzydłami takiej ciszy i spokoju, żeby nawet szelest za-

den nie obudził jój faworyta; powypędzano wszystkie kury i koguty z podwórza, starego Bumsa uwiązano w drewnutni, aby nie szczekał swoim brzydkim zwyczajem, bo krzykliwy był pies i wielomówny w swoim języku. Dziewki dostały nakaz chodzić na palcach po sieni i schodach, póki się panicz nie obudzi, a Staszкови podawano jedną kromkę chleba za drugą ze świeżemi powidłami, aby tylko nie hałasował.

Podczas gdy spałem na górze, panny w swym alkierzyku na dole informowały Julkę, co do mojej osoby, wieku, stanu cywilnego, charakteru, usposobienia, zdolności i t. d. Rozumie się, wyszedłem z ich ust skończonym aniołem, któremu tylko wąsików brakowało do zupełnej doskonałości; przydano mi wszystkiego z czubem, od wzrostu począwszy, aż do lat, poodkrywano we mnie tyle stron dodatnich, że moja miłość własna dotąd odszukać ich wszystkich nie mogła.

— A jaki z niego literat! — powtarzała Klima, zmrużając oczki, jakby przyćmione blaskiem mojej przyszłej sławy.

— A jaki dowcipny i wesoly! — wtrąciła Pela.

— Śliczny charakter na mężczyznę—to grunt—wyrokowała, nie wiem z czego, z właściwą sobie powagą Walerka i wszystkie razem wracały do albumu, w którym mieściła się moja fotografia, właściwie fotografie nasze, bo Tadeusza Żórawińskiego, przezwanego dla długich nóg Czapłą, i Tytusa Psińskiego, którego nazywaliśmy „kawalerem de Kotonos.“ Staliśmy, upozowani, jak trzy gracye, w przy-

jacielskim uścisku, ostatnim, jaki nas połączył przy rozstaniu się na szkolnej ławie.

Dzięki wymowie i optymizmowi kochanych kuzynek rozpałem sobą wyobraźnię panienską wrażliwej sędzianki. Ciotka przysięgała się zaraz przy kawie, „że Julka z wypiekami na twarzy pobiegła do domu i jest już mną zajęta po same uszy.“

Co chcecie, takie wrażenie *par distance* to po chlebia, zwłaszcza kiedy się przyszedłemu lwiątku dopiero grzywa sypać zaczyna.

— „Kiedyż ja tę Julkę nareszcie zobaczę!..“ — pytałem się w duchu i zacząłem prawie tęsknić do niej, choć nieznajomą jeszcze, a co tu ukrywać? — myśl ta, przenicowana, miała po drugiej stronie słowa: „Kiedyż ja się tej Julce nareszcie pokażę!..“

I pokazaliśmy się sobie wzajem wśród kadzidel dymu, przy brzmieniu organów w modrzewiowym kościołku, do którego słońce przez otwarte okna wlewało złote, szerokie strugi południowego światła i malowało ślicznie opalowe obłoczki, unoszące się nad ołtarzem, przy którym siwy proboszcz jak gołąb, drżącym głosem spiewał właśnie z pacierza: „*et ne nos inducas in tentationem.*“ W otwartych oknach świegotały jaskółki, przelatując do gniazda, a głos ich mieszał się z kościelnym spiewem i organami; na ołtarzu złote anioły z malowanymi twarzyczkami zdawały się intonować hymn weselny i potrząsać kadzielnicami, a św. Józef w srebrnej blaszanej szacie obwieszonej sercami, z lilią w ręku uśmiechał się niby dobrotliwie, spoglądając to na mnie, to na całą rodzinę sędziostwa, klęczącą nabożnie w pierwszej ławce na honorowém miejscu. Pod tak obiecującym

patronatem zamieniliśmy po raz pierwszy nasze spojrzenia, a Słowacki powiedziałby zaraz, że:

Za tym zmysłem, co kochać przymusza,
Poszło i serce, a za sercem dusza.

Jednak ja nie powiem, aby tak było.

Panna sędzianka wydała mi się ładną brunetką — z wargami, jak rozłupany granat, o cerze białej, nad którą Balzac zrobiłby mnóstwo interesujących uwag, o oczach dużych, błękitnych, chwilami jakby mgłą przysłoniętych, a czasami patrzących tak, jakby chciały wcisnąć się pieczętką w serce, zwłaszcza mężkie. Jak w ogóle brunetki, wydała mi się starszą, niż była w istocie — a podobno byliśmy coś jakby w równym wieku. Zrobiła na mnie wrażenie dojrzałej panny, i to może powód, który w pierwszej chwili ostudził mnie trochę, lepiej powiem: onieśmielił. Czulem pewną... dysproporcją między nami, pomimo dobrego rozumienia o mojej młodości dojrzewającej.

Ta Julka to już w sam raz była na żonę bez romansowych preludjów; jako ideał dla akademika, jeszcze takiego bez wąsów, zakrawała mi na anachronizm.

Przyznaję, że się w obec niej wstydzić zaczął trochę moich zewnętrznych braków. Nie pocieszało mnie to, że niskim był Napoleon, Kościuszko, Słowacki — ja byłem także niski, ale ani Napoleonem, ani Kościuszką, ani Słowackim nie byłem. Wielka szkoda...

O! nie byłem, choć w jakie dni dziesięć palnąłem wiersz napuszysty tej treści:

Nie czekaj! luba, że dłonią tytana
Wyrwę z Libanu najsmuklejszą cedrę,
I, pisząc tobie wyznanie, świetlana, (no, no!..)
Na list jasnego szmat nieba nie zedrę,
Ni za kałamarz wezmę Wezuwiusze (oj!.. oj!..)
Ni huraganu na posła nie zmuszę,—
Ale północą pójdzie twój jedyny, (już jedyny!..)
Kiedy już posną róże i słowiki
I własną wonią upite jaśminy,—
Urwać ukradkiem drżący liść osiki
I usty memi wionę nań westchnieniem
To słowo: „kocham,“ liść na sercu złożę,
A cichy wietrzyk uniesie go może,
By me wyznanie powtórzył ci z drżeniem!!!.

Bogowie i muzy, czemużeście mnie wówczas nie
kazały, jak Apollo Marsyasza obedrzeć ze skóry za
takie rymy!.. Dziś ciarki mi przechodzą po grzbiecie,
gdy je powtarzam, ale wówczas podobały się one
nie tylko mnie, ale i Julce, z którą stanęliśmy, sam
nie wiem jak, na tej stopie, na której się wzdycha,
oczy przewraca, głowę spuszcza i głupstwa prozą
i wierszami na koszt biednego serca wygaduje.

Ale cóż, pomagało nam do tego wszystko, pro-
wadziło jak dwoje dzieci, za rękę do świątyni słod-
kiego dumania: ludzie i przypadki, ciocia, kuzynki,
sędzina, sędzia, nawet Bums, który nosił w koszyku
moje bukiety i liściki do pięknej Julii, wszystko
i wszyscy składali się na to, aby wmówić w nas mi-
łość, jak w „Niemca chorobę.“

Jak tu było się nie zakochać, kiedy panna —
bez względu na mój niski wzrost i twarz, zaledwie
puszkiem obsypaną, jak brzoskwinia — rzucała na
mnie takie spojrzenia, że mi krew uderzała do gło-

wy i serce pierś rozsadzało; a nieraz podając rączkę
długą, ciepłą, pieściwą, zaczynała coś mówić i nagle
wyrwijąc rękę i ucinając zaczęte zdanie, uciekała
odemnie, jakby zawstydzona... Przy fortepianie gubi-
liśmy takt zawsze, ale palce nasze i łokcie znajdo-
wały się instynktownie; wieczorami w lipowych ale-
jach sędziowskiego ogrodu przypominaliśmy sobie, to
jest: ja właściwie recytowałem z przejęciem wszyst-
ko, co w „Dziadach“ i „Maryi“ tyczyło się miłości,
a panna wzdychała, uwieszona u mego ramienia; Pe-
la, Klima i Walerka, jak trzy parki, snujące nam
za plecami nic naszych losów sercowych, szeptały
między sobą i potraçały się znacząco; kapitanowa
ocierała oczy ze wzruszenia i całowała w głowę
Staszka, jakby w nim przeczuwała przyszłego Gu-
stawa czy Wacława, a sędzina podczas moich dekla-
macyj przebierała kluczyki od spiżarni i układała
sobie, czém mnie za to uraczy przy herbacie. Sędzia
zaś czekał tylko sposobności, aby mnie wziąć za kła-
pę od surduta, albo za rękaw swoimi dwoma kości-
stymi palcami i zacząć długą tyradę *à propos* poezyi
od stereotypowych słów:

— Więc powiadam mojemu panu...

O czém on mi nie powiadał, począwszy od wier-
szy, a skończywszy na pigułkach Morissona!.. w po-
środku wszelako zawsze musiała się znaleźć polity-
ka, Napoleon, Prussaki, Bismark i konkluzja, że
„strach, co to będzie na wiosnę, ale o tém wszyst-
kiem szal!.. bo niewiadomo, kto nas słucha.“

Pocziwy sędzia—on był nie tylko wielkim poli-
tykiem, ale i dyplomata, bo udawał, że nic nie wi-
dzi, co się między mną a Julą święci. Miłość — to

„babska kwestya,” powiadał i babom ją zostawiał zupełnie, a baby też korzystały z tego ustępstwa, korzystały!.. chciały nas gwałtem pożenić za indultem, byle jaknajrychlej. Niech im tej skwapliwości Pan Bóg nie pamięta.

Nie wiem doprawdy, co się właściwie Julce we mnie podobało, ale żem jęj wpadł w oko, o tém nie wątpilem już ani na chwilę; zresztą mówiło mi to wszystko za nią, i fortepian, gdy dla mnie grała na nim ulubione piosnki Szuberta i kwiaty, które od gorsu falującego szybko przechodziły do mojej butoniery, i babki parzone, które mi zacna sędzina podsuwała na osobnym talerzu i wszystkie „panu swojemu“ okazywane konfidencye ojca sędziego. Bo już tego, co mi bezustannie kładły w uszy ciotka i kuzynki nie chcę nawet brać w rachubę.

Przyszło nareszcie do tego, że wstydlivość pannieńską rzuciwszy, sama mi to powiedziała; a jak-żem nie miał cały, razem z butami okurzonemi i zroszonemi dostać się do raju w owym lasku brzozywym na górze, w którym... ale wpierw, jak było, opowiem szczegółowo.

Zapowiadał kalendarz jakieś ciekawe niezmiernie zaćmienie księżycy na połowę lipca, widziane w całej Europie i części Azji. Dla zwyczajnych śmiertelników na bruku miejskim, mających sposobność w ciągu roku podziwiać rozmaite inne zaćmienia, zjawisko takie nie przedstawia może nic ciekawego, ale na partykularzu, gdzie z nudów ludzie wszystkiemu się przypatrują, a przypatrując, dziwią, a dziwiąc, jako tako zabijają ten czas, co się wlecze

ślimaczym ruchem—taka astronomiczna niespodzianka—to widowisko nieopłacone.

Dwa tygodnie naprzód nie mówiono o niczém więcej, tylko o księżycu, przecierano oczy i stare lunety, w których głównej soczewki brakowało, spoglądano co wieczór na gwiaździste niebo i z gorączkową jakąś niecierpliwością wyczekiwano tej sensoryjnej chwili, gdy pucołowate oblicze miesiąca zachmurzy się i zniknie w cieniu.

Obiecywano sobie, Bóg wie, jakie wrażenia!

Ciotka kapitanowa, która była, jak wszyscy przyznawali, „kobietą pocziwą z kośćcami“—o astronomii przecież nie miała wielkiego wyobrażenia i wszelkim takim niebieskim zjawiskom, jak komety, meteory, zaćmienia i błyskawice, przypisywała po cichu tajemnicze a niezmiernie ważne znaczenie; jestem pewny, że o końcu świata myślała, wzdychając coraz bardziej, im bliżej była owego spektaklu księżycowego.

— Dajno ty pokój — mówiła do mnie z poważną miną—z twojemi dowcipkami. Astronomia astronomią, a wola Boża przedewszystkiém. Już to tam z tego zaćmienia nic dobrego nie wyjdzie.

Panny spozierały na mnie i na nią, nie wiedząc, komu zaufać: mojej wiedzy, czy przesądom poważnej ciotki, ale miały „moje słowo honoru,” że z tego nic nie będzie, i że obawiać się nie potrzebują księżycy.

Pan sędzia udawał także wielkiego znawcę gwiazdziarstwa i dla dodania ducha potrwożonym kobietom opowiadał niestworzone rzeczy, o których się nigdy Kopernikowi nie śniło.

Całemi godzinami kłapa mojego tużurka była w robocie.

— Powiadam mojemu panu *Anno acht vierzig*, przed rewolucyą, to panie pamiętam takie zaćmienie słońca, żeśmy w jasny dzień po biurach musieli świece zapalać; byłem wtedy już c. k. concepts-praktykantem...

— Widzisz, a potem jednak była rewolucya! — konkludowała mama sędzina.

— To i cóż?.. słońce temu nie było winne.

— Kto to wie! zobaczysz, że i teraz coś będzie.

Nas tylko dwojga nie zatrząsał ani księżyc, ani słońce: mnie i Julkę.

Niechby tam sobie na całym świecie ciemno było, jak w piwnicy — tém lepiej, nie byłiby nas widzieli, szepotających z sobą po wszystkich kątach.

Najwięcej wpływu oczekiwane zaćmienie miało na niesforność Staszka; straszili go wszyscy przyłada okazyi, że, jak nie przestanie łasować po spizarni i wyjadać palcem powideł i konfitur ze słoików, tak mu księżyc takie „rżnięcie“ sprawi, iż przez cały miesiąc nie będzie mógł usiąść na stołku.

Ciotka we wszystkich widziała zmiany *à conto* księżycu.

— Uważasz ty, jak ten Bums posmutniał, — mówiła do mnie, wskazując na starego pudła, który ongi woził bęben w pułkowej muzyce nieboszczyka kapitana, a na starość, jako inwalid, miał łaskawy chleb u pani kapitanowej i traktowany był z uszanowaniem, należném stanowi militarnemu.

— Gdzie on tam smutny? Objadł się i dlatego wzdycha — perswadowałem.

— A ja ci mówię, że on coś złego przeczuwa; psy — to mają instynkt — ho, ho!..

Niech tam będzie, jak chce — stańło nareszcie na tém, że się gromadnie wybierzemy na to niebezpieczne widowisko: ciotka, sędziostwo, panny, ja, Bums i Staszek.

Stacyą obserwacyjną miała być Leśniczówka pana Kajetana Patockiego, herbu Piława, który był jakimś bardzo dalekim kuzynem pani sędziny, a najkomicniejszą przytém figurą, jaką kiedykolwiek widziano na partykularzu. Stary kawaler, pretensjonalny, o długich włosach, które, jak powiadano, co wieczór zawijał w papiloty, z kozią bródką i wąsikami, jak dwa szydełka, wykręconemi w górę, trochę dziwak, co przypisywano wierszom, których podobno miał pełny kufer, trochę artysta — bo grywał fałszywie na skrzypcach, a śpiewał fistułą przy gitarze odwieczne kancony w rodzaju:

Chcesz, abym ci piosnkę wysnuł,
Długą, jak nic z motką, —
Spojrzyj na mnie czulém oczkiem,
I to pierwsza zwrotka.

Dumny był, jak grand hiszpański na swoją Piławę, którą sobie uzurpował na podstawie podobieństwa nazwisk do Potockich. Miał na odparcie wszelkich wątpliwości długą historią, zawikłaną *wie eine Räubergeschichte*, zdaniem sędziego, i przysięgał, że w wieku XVIII-ym za Stanisława Augusta tylko jakieś nieczne intrygi wpakowały mu tę nieszczęsną pałkę w nazwisko i najokrągłejsze o w a zamieniły.

Potém się ciągle mylono przy przepisywaniu dyplomów szlacheckich i „mosterdzieju,” sierota pan Kajetan padł ofiarą pomyłki. Inaczej byłby—ho... ho!... nie pomocnikiem leśniczego, nie biednym jakimś oficyalistą, nie starym kawalerem, który się musiał umizgać do prowincjonalnych gąsek i chwalać buzie—nietyle słodkie, ile pyzate i czerwone, jak pomidor—zapewniać „od tylu lat” każdą przy akompaniamencie gitary:

Ej, filutko, ty wiesz o tém!..

Nazywano go „łowczym” pompatycznie, bo czasem polowania urządzał, gdy mu ze dworu kazano dostarczyć zwierzyny, do której miał tyle szczęścia, ile do panien; pudłował zawzięcie.

Śmieszny był, ale poczciwy ten stary entuzjasta w juchtowych butach, szaraczkowej kurtce, w czerwonym szaliku, z fantazją zawiązanym na szyi, z włosami *à l'artiste* rozrzuconemi, który wiecznie przepraszał za swój zaniedbany kostjum, gdy przyjeżdżał w odwiedziny do miasteczka; niby „wprost z lasu” wracał zawsze.

Tymczasem biedaczysko nigdy na porządną garnitur zdobyć się nie mógł.

Nieszczęсна Pilawa musiała się bez czarnego tużurka obywać, odkąd jój ostatni sosem zlano bez litości na imieninach u państwa pocztmistrzowstwa, i to sosem od zajęcia, którego poczciwy łowczy sam dwa dni temu przysłał w prezencie.

U pana Kajetana tedy mieliśmy się zebrać, aby z pagórka, na którym stała jego Leśniczówka pod

lasem, obserwować fizyognomią księżycy w dniu zapowiedzianej dyfamacji jego oblicza.

Łowczy z zapalą i gościnnością, godną najprawdziwszych Pilawitów—zapraszał do swego ubożego domku, ale pomimo emfazy znać było w głosie i w twarzy jego pewne zakłopotanie; z góry téż uprzedzał, że krowa mu się dopiero ocieśliła, a stara gospodyni na nogę zachorowała, więc nie wie jak to będzie z przyjęciem — zresztą państwo wybaczą i przyjmą, co Bóg da.

Naturalnie, że trzeba było przyjąć, co Bóg da, bo pan Kajetan sam nie na wiele mógł się być zdobyć.

Biedny Bums w starych zębach musiał dzwigać koszyk z tém wszystkiém, czego brakło w spiżarni i piwnicy łowczego, gdyśmy nareszcie oznaczonego dnia wstępowali na górkę, do gościnnej Leśniczówki.

Ach, Boże—co to był za wieczór uroczy!... nigdy w życiu nie błogosławiłem tak nikogo, jak ten księżyc zaćmiony—i tę jakąś poczciwą gwiazdę, która go cieniem swoim nakryła, jak kochanka, co czarny welon zarzuca na twarz ulubionego, aby nie patrzył na jój rumieniec po pierwszym pocałunku.

Dalibóg! zdawało mi się, że jestem księżycem, a Jula taką wstydliwą gwiazdą, kiedyśmy w całym towarzystwie siedzieli już po herbacie przed domem, rozłożeni na grupy i patrzyli w niebo, na którym miesiąc, jak bity talar świecił i srebrnym blaskiem oblewał pobliski las, w zadumie pogrążony, krętą wstęgę Sanu wśród zamglonych pól, Leśniczówkę

z rozczochną jak sam łowczy strzechą i nas, niby lunatyków, zahypnotyzowanych spojrzeniem księżycy.

Dziwna jakaś, uroczysta cisza zapadała do koła w miarę tego, jak się zbliżała oznaczona w kalendarzu godzina; najgadatliwsza z nas wszystkich, Pela, nawet śmiać się i trzpiotać przestała, a objawszy Klimcię za szyję, przykucnęła u nóg ciotki na trawie i szeptała coś tajemniczo.

Sędzia, z powagą wyroczni zapewniał, że za chwilę będzie ryczeć znacznie, a psy wyć i szczekać w okolicy, niechno się tylko księżyc zakryje!..

Sędzina się przyznawała, że czuje już bicie serca, a Staszek położył się na ziemi obok Bumsa, z dziwnie skruszoną miną i pobladł, niewiadomo, czy ze strachu, czy pod wpływem dwóch talerzy przasnego miodu, który zjadł za plecami matki.

My tylko we dwoje na uboczu gruchaliśmy swobodnie.

Jula z wdziękiem usiadła na płocie i wiązała wianeczek z zielonych liści, a nad nią zalotnie przechylały się malwy, jakby koniecznie spojrzeć jej w twarz chciały i podsłuchać cichych, zakłopotanych niby odpowiedzi na moje zapytania.

Alboż wy nie wiecie, o co to się pyta w takich chwilach, kiedy dwa młode serca dorwają się takiego sam-na-sam przy księżycu, wśród upajającej woni lipcowego wieczoru, wśród rozmarzonej ciszy ustroni wiejskiej.

Pójdźcie tam ze mną dziś jeszcze na ów pagórek pod lasem, przy owym płocie z różowymi malwami, pod tę jarzębinę kwitnącą, o którą stałem wówczas oparty i posłuchajcie, czy mi tak samo nie

zabije serce, nie podniesie się pełna pierś westchnieniem, nie zabłyśnie oko, i nie powtórzę takim samym, jak ongi, głosem, to cudowne słowo: „kocham;“ —tylko zamiast czarnookiej Julii... posadźcie wpierv jaką inną na płocie.

Serce, tyś jest, jak jerychońska róża!.. ale dajmy pokój temu.

Ani było nie ryczało, ani psy wyć nie chciały, znudzony Bums nawet usnął, nie doczekawszy się zaćmienia, tylko ni ztąd, ni zowąd Staszek ryknął nagle płaczem, kiedy cała tarcza księżycy nabrała jakiegoś piwnego koloru i podobną się stała wielce do facyaty pijanego Wojciecha, co był woźnym trybunału, któremu prezydował pan sędzia dobrodziej.

Niežnośny chłopak!.. gdyby nie jego krzyk, byłbym dłużej tulił do ust i do piersi pieściwą rączkę Julietty, w której uścisku było więcej wymowy i obietnicy, niż w słowach i spojrzeniu.

Porwali się wszyscy z miejsca, jakby conajmniej nie Stach, ale sam księżyc z nieba wrzasnął na całe gardło.

— Czegóż ty beczysz?—zapytałem mazgaja.

— Bo się boję.

— Czegóż ty się boisz?

— Żeby w skórę nie dostał.

— A za cóż?

— A! bo za dużo miodu zjadłem w kuchni i teraz mnie mglić zaczęło.

Pela, Klima i Walera wzięły go między siebie i utuliły w uściskach i pocałunkach.

W obec płaczącego Staszka — księżyc stracił swoją powagę tragicznego bohatera, a gdyśmy po

tém małym *intermezzo* wrócili do naszych obserwacji, zalotnie miał już do połowy ścięgniętą z twarzy maskę i zdawał się zerkać na nas z uśmiechem figlarza:

— A kuku!...

Gdyby kto śmiał był wątpić wówczas o tém, że się z Julą kochamy, niechby był spojrział na nas, gdyśmy wracali z Leśniczówki po skończonym spektaklu niebieskim.

Łowczemu przysłała dobra myśl do głowy—przeprowadzić nas krótszą drogą przez las.

Ta butelka wina, którąśmy na odchodnym wypili za zdrowie gospodarza, miała w sobie jakiś czar; nigdy tyle śmiechu, krzyku, humoru i wesołości, nie wyłano z kielicha, co wówczas.

Pan Kajetan był rozkoszny, rozmowny, rozpoe-tyzowany; improwizował na cześć każdej z pańien; ciotce i sędzinie, „mosterdzieju,” każdy paznogieć obcałował, sędziego wyściskał, a do mnie, klepiąc po ramieniu poufale, powtarzał:

— Niema to, jak, mosterdzieju, my młodzi!

Nieborak przyznawał się do młodości tak samo, jak do Piławy.

Dziewczęta uwieńczyły go zielonemi festonami, gitarę na wstążce zawiesiły przez ramię, i jak trudurowi spiewać kazały.

Szliśmy przez las, niby gromada sylfów; pan Kajetan na przedzie, jak Faun, za nim, niby trzy gracye, w jasnych perkalikowych sukienkach, trzymając się pod ręce, Klima, Pela i Walera, w pasterkach na głowie i z pękami kwiatów, obwieszane girlandami z liści. Dalej malownicza gruppa podtrzy

mywaną przezemnie Julii na osiołku, prowadzonym przez Staszka; łowczemu przysłała rycerska myśl ofiarowania takiego rumaka najodważniejszej z dam, a długouchy woziwoda, jakby czuł, co za skarb dźwięga na swym grzbiecie, wydawał się istnym Bucefałem oślego rodu.

Za nami sędzia z galanterią *Anno acht und vierzig* wiódł pod ramię ciotkę kapitanową i mamę sędzinę—w złotym humorze, w kapeluszu z fantazją wcale nie sędziowską, nasuniętym na tył głowy.

Dwóch chłopaków ze smolnym łuczywem, zapalonem nakształt pochodni, biegło przodem, przyświecając po drodze wśród ciemnego gąszczu drzew i krzaków leszczyny.

Cały ten pochód malowniczy, oświecony jaskrawym światłem żagwi, przy dźwięku gitary, przesuwający się w głębi lasu śpiącego, miał coś fantastycznego w sobie. Echo po nocy niesło dźwięczne głosy dziewcząt i gardłowy tenor łowczego z pieśnią:

Za Niemen het, precz!
Koń gotów i zbroja!—
Dziewczyno ty moja
Uściskaj, daj miecz!...

Bums na przedzie poszczekiwał, jakby mu to wszystko przypominało dawne czasy, kiedy w „bandzie” woził jeszcze bęben przed kompanią; osiołek strzygł uszami, jakby nasłuchiwał, co do mnie mówiła jego amazonka, a amazonka, przechylając się ku mnie tak, że czułem prawie jej falującą pierś przy mojej skroni, powtarzała, niby zalekionym głosem:

— Niech mnie pan dobrze trzyma, bo jeszcze spadnę!..

O, trzymałem dobrze, jak trzymałem!.. zdawało mi się, że bicie jęj serca przyspieszone słyszę, obejmując jęj wiotką kibić; że czuję jęj gorący oddech na całej twarzy; że nawet usta jęj uczułem na moję skroni raz, gdy się zanadto przechyliła ku mnie. Wówczas właśnie przygasły jakoś żagwie w rękach laufrów naszych, a może je umyślnie zdmuchnął jakiś duch leśny, aby mi dopomódz do... pocałowania jęj tym pierwszym, płochliwym, gorącym pocałunkiem, po którym się człowiek dławi, jakby coś złego połknął.

Trudno, nie mogłem się oprzeć pokusie; tak długo zbierało mi się na to świętokradztwo, że usta same poleciały do nięj, jak spragnione motyle do zroszonego lilii kielicha.

Struchlałem potém sam na taką śmiałość, byłbym się chętnie w ziemię zapadł, lub w tego osła zamienił, co niósł ją przy moim boku.

Musiała jednak nie zauważyć, albo nie zrozumieć mego pocałunku, a może z kobiecą dyplomacją udała umyślnie, że nie uważała, bo za chwilę usłyszałem znów:

— Trzymajże pan mocniej, bo, jak mamę kocham, spadnę!..

Czemuż ten las nie ciągnął się, choćby przez pół Europy!..

Wszystko niestety ma swój koniec, i las się skończył, i wyprawa nasza „na księżyc,” i śpiew uroczy trzech moich gracyj, i pożegnania łowczego; doszliśmy jakoś przed ganek sędziostwa, aby sobie

powiedzieć „dobranoc” i powinszować wzajemnie tyłu miłych wrażeń.

— Powtarzając dobranoc, nie dałbym ci zasnąć — szeptałem właśnie w różowe uszko Julecie, gdy nagle wyrwała mi się z rąk, jak oparzona i bez pożegnania umknęła przez boczną furtkę do ogrodu.

Spłoszona nimfa nie leci tak szybko, jak uciekała pani moich marzeń, a zanim się mogłem zastanowić nad powodem, który ją tak spłoszył niespodzianie, już usłyszałem z ganku, bluszczem owitego, głos sędziny:

— Ach, co za niespodzianka, pan Alfons!.. Patrzaj, Jakóbie, jakiego mamy gościa.

Wysoki, smukły brunet, całował w tęg chwili rękę gospodyni i kłaniał się sędziemu, który już go trzymał za kłapę i mówił:

— Kiedyżeś pan spadł z nieba?... powiadam mojemu panu...

Reszty już nie dosłyszałem.

Ten pan Alfons wydał mi się po mirażach całego wieczoru, wilkołakiem.

— Co to za Alfons?... po co przyjechał? czemu ona uciekła?..

Złe jakieś przecucia wpadły mi zaraz do serca.

Kiedy wróciłem do moję izdebki i stanąłem przy oknie oświeconém blaskiem księżyca, zdawało mi się, że rozbudzone muchy na szybach złowrogo zaczęły brzęczeć:

— Pan Alfons, pan Alfons, pan Alfons... ss!..

sss!..—ale, zasnąwszy po północy, słyszałem jeszcze, jakby przez sen słodki głos Julii:

— Trzymajżeż pan mocniej, bo spadnę!..

III.

Nieco o miłości, nieco o stałości kobiet, nieco o tém, co będzie w ostatnim rozdziale.

Kapitanowa miała słuszość pomimo swoich przesądów—to zaćmienie nic dobrego nie przyniosło.

Jeśli zakochani mają przeczucia, jeśli słyszą, jak trawa rośnie, jeśli widzą przez mury, to ja byłem zakochany, bo od chwili poznania pana Alfonsa, jak gdyby mnie coś tknęło; łowczy w swoim malowniczym sposobie wyrażania się, byłby niezawodnie powiedział, że „zwąchałem pismo nosem.“

Jakoś mi się nie podobała fizygnomia tego pana, który miał minę dziwnie pewnego siebie młodzieńca i patrzył na wszystko z góry, a czoło marszczył zawsze surowo, nawet wtedy, kiedy mu pani sędzina własnymi rękoma cukier wrzucała do kawy.

Poważny był i sztywny, jakby na głowie nosił półmisek z wodą i bał się nią oblać, a na śniadanie codziennie połykał tykę od chmielu. Wielka mi rzecz, że był już doktorantem praw i miał w jesieni zostać czéms tam przy lwowskim sądzie kryminalnym—przecież uśmiechnąć się mógł od czasu do czasu.

Temida chybaby była bez zębów, gdyby nigdy w uśmiechu ust nie rozchyliła.

Kiedy przemawiał, co mu się dość rzadko zda-

rzało, przynajmniej w obec mnie, miał styl kancelaryjnego referatu, a przed każdym jego zdaniem, można by było umieścić ten urzędowy nagłówek: „Stosownie do rozporządzenia c. k. ministerium *de datto...*“ albo! „Zważywszy, że podług paragrafu tego i tego.“

Nawet w głosie miał coś z kodexu karnego.

Nieposzlakowanej białości kołnierzyki wysokie i mankiety imponowały mi, równie jak złote okulary, przez które ciemne, przenikliwe oczy świdrowały każdego, jakby w nim szukały zbrodniarza.

Uważałem, że go traktowano z wielkim uszanowaniem, i że sam sędzia nabierał miny, nastrojonej bardzo oficjalnie, kiedy się odzywał do swojego gościa.

Ciotka mi powiedziała o nim co ważniejsze szczegóły. Pan Alfons był synem c. k. radcy namiestnictwa, czyli, jak się to u nas mówiło, *sztathalteryi*, przeniesionego od kilku lat w stan dobrze zaśluzonego spoczynku, matka jego była Niemką z Gratzu, a kamienicę mieli w Rzeszowie; trzymali własne konie i należeli do urzędniczej arystokracji.

Sam pan radca podobno był kiedyś kolegą uniwersyteckim pana sędziego, i zaszczycał go swoją przyjaźnią, a w okolicy używał opinii najsurowszego sługi Temidy, który sam do siebie pisywał napomnienia, jeżeli się spóźnił o pięć minut do biura, co się wszystkiego raz do roku może przytrafiało.

Syn poszedł śladami ojca. Każdy cał w tym młodym paragrafie zdawał się być znaczony pieczętką c. k. ministerium sprawiedliwości. Opowiadano o nim, że, kiedy był na praktyce pod okiem pana sędziego, zaaresztował własną ręką furmana swojej

matki, która przyjechała odwiedzić jedynaka, a za-aresztował w myśl rozporządzenia c. k. starostwa, nakazującego obchodzić się ostrożnie ze światłem i ogniem w budynkach drewnianych i łatwo pożarowi uległ mogących.

Furman pani radczyni, który pana Alfonsa pamiętał chłopczykiem małym, popełnił to wielkie przestępstwo, że w stajni świecił łojowym ogarkiem, w szczypkę, zamiast w latarnię wetkniętym.

Pan Alfons zamknął go do kozy na dwadzieścia cztery godziny i pomimo próśb matki nie chciał wypuścić, ażeby sprawiedliwości stało się zadość. Radczyni dzień cały musiała dłużej pozostać w gościnie u syna, aż stary Filip karę odsiedział.

Dziewczęta patrzyły na pana Alfonsa wprawdzie, jak na bardzo grubą rybę, jak na istnego lewiatana pomiędzy kawalerskimi płotkami, ale mało która byłaby się odważyła wyjść za niego. Nie można było wiedzieć, czy nie zamknąłby do kozy żony własnej na drugi dzień po ślubie, gdyby była popełniła jakie uchybienie przeciwko prawu.

U sędziostwa wszelako inny wiatr powiał z chwilą zjawienia się pana Alfonsa.

Przedstawiono nas sobie wzajemnie, ale jakoś tak półgębkiem, chrząkając, z tém stereotypowém a naiwném zapytaniem: „Panowie się nie znają?..“ z tą jakąś miną, niby swobodną, a niby zakłopotaną. O, nie podobało mi się to wszystko, nie podobała mama sędzina, która zanadto krzątała się około kuchni, a nie wiedziała, z której beczki ze mną zacząć i jakby unikała rozmowy ze mną — nie podobał sędzia, który jakoś nadto protekcyjonalnie zaczął się

ze mną obchodzić przy panu Alfonsie, jakby dopiero teraz po raz pierwszy spostrzegł moich dziesięć lat, a już najbardziej nie podobała mi się Julka z temi wypiekami na twarzy, z tém roztargnieniem jakimś i tą niby migreną, co się znalazła na poczekaniu.

Mieliśmy wszyscy takie uczucie, jak ten, któremu się piasku w nowy but nasypało; coś naraz zaczęło między nami zawadzać; mnie się zdawało, że to pan Alfons był tym piaskiem, a to prawdopodobnie moja obecność była ową zawadą.

Gdyby za spojrzenia można było karać, jak za przestępstwo, to należało mi się najmniej trzy miesiące więzienia, obostrzonego jednorazowym postem za to oko, jakim patrzyłem na mojego rywala.

Nie było bowiem wątpliwości, pan Alfons był moim rywalem i to z rodzaju najniebezpieczniejszych. Nietylko, że miał i wzrostu, i lat, i powagi więcej odemnie, ale był „człowiekiem kompletnie skończonym“, jak mówił sędzia, a wysmienitą partya, jak zapewniała sędzina; nie było żartów z takim epuzerem.

Także go lichy przyniosło na moje utrapienie!..

A tu, jakby na obstalunek, miłość moja dla Julii od owego wieczora z zaćmieniem rozgorzała, że sobie rady dać nie mogłem.

Mówcie co chcecie, ale zazdrość jest mieszkaniem przy ognisku miłości.

Ten pan Alfons samém zjawieniem się swojém rozdmuchał mi serce, jak fajerkę z węglami. Zdawało mi się teraz właśnie, że ja tę Julkę kocham, nie

jak Szekspirowski Romeo, ale jak wszyscy jego tragiczni bohaterowie, razem wzięci.

Niech mi tylko kto w drogę wlezie—ajaj, co to będzie!.. wyzwe, zabiję, rozszarpie, jak stary fascykul z archiwum, potem siadę, choćby na osła pana Kajetana i pojedę w świat, gdzie oczy poniosą.

Co tam ukrywać! Gryzła mnie zazdrość, opadała jakaś melancholia i pesymizm, w ciągu dwóch dni zmizerniałem, straciłem apetyt nawet do pierogów z borówkami i ze śmietaną, za które byłbym przed niedawnym jeszcze czasem oddał uśmiech najpiękniejszej hury.

Coraz częściej uciekałem do lasu, w pole, a wzdychałem, że temi westchnieniami młyny można było obracać.

Ciotka udawała, iż tego wszystkiego nie widzi a dziewczętom okropnie zrzęda mina, coraz częściej tylko z sobą szeptały, coraz bardziej tajemnicze dawały sobie znaki. Maryskę z kuchni posęlały raz po raz na wywiady do sędziostwa, a na mnie patrzyły z jakimś upokarzającym mnie współczuciem, jakby chciały powiedzieć: „Oho, biedaku—przepadłeś!..”

Poczciwa Walerka miała minę smutnej elegii; przechodząc koło mnie, nie mogła się nigdy powstrzymać, aby mi nie rozgarnąć włosów na czole i nie złożyć na niem pocałunku siostry miłosierdzia. Pelaar rysowała karykatury, które miały być podobne do pana Alfonsa, jak dwie krople wody, a Klima, ni przypiął, ni przyłatał, wyśpiewywała krakowiaki, nie wiem, na czyją intencją i pod czym adresem:

Nie kochaj się we mnie,
Bo to nadaremnie:
Ja jestem filutka—
Zrobię z ciebie... papugę!

— Moja ty, moja ty—mówiła do Peli w alkie-rzyku — uważałaś, jak tę Julkę odmieniło?... to ci zmiennik-dziewczyna, jak chorągiewka! A ja zawsze mówiłam, że ona tego Alfonsa nie zapomniła... Pamiętasz, jak to w zeszłym roku mizdrzyła się do niego, że aż wstyd. Stałości niema w niej na owinięcie palca. Gdyby tylko zechciał, oniby mu ją na rękach przynieśli, ale gdzie on się tam ożeni! Moja ty, co dla niego taka sędzianka!.. on teraz na jaką hofratównę będzie polował.

— Tak, ale po cóżby przyjeżdżał?

— A no, pokaże się to; sędziostwo coś okropnie mu nadskakuje; stara sama wczoraj sucharki dla niego robiła. Odstąpili mu pokój obok salonu, nie wiedzą już, gdzie go mają posadzić.

— A uważałaś ty, jak nas teraz zaczynają unikać?

— Bo im wstyd, że biednego chłopca ciągnęli, a kiedy ten przyjechał, to...

— Pst!.. dajże spokój, on tam może podsłuchuje.

Naturalnie, że podsłuchiwałem i nie myślałem się z tém ukrywać; stanąłem we drzwiach panińskiej komnatki i ponsem oblałem całą trójkę moich opiekuńczych boginek.

— Ach, ślicznie, ślicznie podsłuchiwać pode-drzwiami!.. i czegożes się miłego dowiedział?

A no, tego przynajmniej, że moje papiery spa-

dły raptownie i że to przestało być w rodzinie tajemnicą—sejmik niewieści, do którego się i ciotka po chwili przyłączyła, jak dawniej wmawiał we mnie gorąco, że kocham, a co ważniejsza, że jestem okrutnie kochany, jak mnie na gwałt, bez pardonu zenił z Julką, wynosząc wszystkie jej cnoty i wdzięki do dziesiątej potęgi, tak teraz przeszedł w krańcową ostateczność.

— Ech, śmiej się z tego—mówiła w końcu Pe-la, obejmując mnie za szyję—niech się ten słup telegraficzny żeni z panną Julką.

— Znajdziemy ci inną—zapewniała Klima—nie bój się.

Czego się miałem bać!.. alboż to mało panien na świecie?..

— Ofiaruj to wszystko panu Bogu—radziła poważnie Walerka, ściskając mnie za rękę, ciotka zaś odgrażała się stanowczo:

— Och, ale ja tego sędzinie nie daruję, powiem ja jej przy sposobności...

Miałem za sobą cały pułk niewieści z kapitanową na czele.

Kiedyśmy tak wspólnie radzili nad zmiennością pięknej sędzianki, nagle odskoczyły drzwi i ona sama stanęła w progu. Złodziej, złapany na gorącym uczynku, nie miałby miny bardziej zakłopotanej, jakąśmy mieli w pierwszej chwili.

Wiecie, po co przybiegła na „chwileczkę,” jak zwykle?.. prosić nas na jutro na wieczór. Miało być kilka osób; łowczy przyrzekł się stawić ze skrzypcami.—„Może nawet poskaczemy trochę—mówiła—„będzie Bronka, Mela i Kasia, tylko z panami bie-

da, bo sekretarz znowu na nogę zachorował, a Kilkiewicz nie wrócił jeszcze z Rzeszowa.“ Kilkiewicz był prowizorem w aptece, miejscowym *dandym*, najlepszym mazurzystą i najpiękniej pachnącym mężczyzną w okolicy, bo się kąpał chyba w perfumach własnego wyrobu.

Miał tylko jedną wadę, że się jąkał i zawzięcie mrugał lewem okiem, zresztą był mężczyzną, jak się patrzy, do wszystkiego, począwszy od kręcenia pigulek, aż do wykręcania panien na wieczorach.

— Tylko nie marudźcie, moje drogie—prosiła—a przyjdźcież wcześniej.

Ożywioną była, uśmiechniętą, wesołą, a oczki się jej świeciły, jak u kota. Całowała się ze wszystkimi po dziesięć razy, wracała odedrzwi, Bumsa straszyla parasolką, Staszкови wasy chciała kredą koniecznie wymalować, w złotym humorze była; a na mnie zerkąła najognistszemi spojrzeniami, jak gdyby spalić chciała w mojem sercu wszystkie złe podejrzenia i przywidzenia, których się musiała domyślać.

Przy pożegnaniu podała mi rączkę do uścisku, a w rączce ukradkiem jedną z róż, którą miała u gorsu.

— Będziemy z sobą dużo tańczyli—szepnęła mi na wychodnym—ach, jak ja się cieszę na ten jutrzejszy wieczór!..

A ja!.. różami zapachniała teraz dla mnie cała atmosfera, różowo świat się przedstawiał, różana woda zamiast krwi płynęła w moich żyłach, same róże i róże!.. O! młodości, ty czarodziejko, co z jednego kwiatka, podanego rączką dziewczyny, umiesz stwarzać cały Giulistan!..

Wizyta Julki w tak niespodzianej chwili—zmieniła nagle nas wszystkich.

— Ech, to jednak dobra dziewczyna—ta Julka—wyście ją zanadto pokrzywdziły — mówiła teraz ciotka, a biorąc mnie z żartów za ucho, dodała z twarzą, wszystkimi uśmiechami radości rozpodgoną: —Będziesz miał śliczną żonkę jeszcze, ty, filuciel..

O panu Alfonsie wszyscyśmy zapomnieli, jak gdyby nie istniał na świecie.

Wielka rzecz, taki paragraf wykrochmalony!..

Wlókł się, jak sanki po piasku, ten jutrzejszy wieczór, ale się przywłókł nareszcie. Salonik sędziostwa zaroił się gośćmi, od szczebiotu panien w białych, różowych, niebieskich sukienkach, od szelestu perkalików, muślinów, barezów, od głośnego śmiechu mężczyzn, co jak czarne muchy pomiędzy kwiatami snuli się, powstał gwar, że aż pod oknami od ulicy żydziaki stawały, spoglądając w oświetlone szyby zdziwionemi oczyma, co okrutnie irytowało Bum-sa, który, podszczuwany przez Stacha, ujadął na nich i wymyślał im za taką głupią ciekawość.

Pan Alfons największego zadał szyku, bo wystąpił we fraku i paliowych rękawiczkach, ale wyglądał tak sztywnie i poważnie, że go można było od razu do trumny włożyć. Po wczorajszej wizycie Julki, wszelako wydał mi się mniej niebezpiecznym.

Kilkiewicz, instynktem sprowadzony wcześniej z Rzeszowa, skoro zobaczył frak pana Alfonsa, zniknął nagle z salonu i po kilku minutach zjawił się, przebrany w cały balowy garnitur, a w całym domu rozeszła się jednocześnie woń *mille fleurs*, którą z lu-

bością wciągały wszystkie zadarte noski panien i panielnek.

Łowczy między starszyzną, jako Nemrod, prawił głośno anegdotki o swoim psie, który, mosterdzieju, na pół mili czuje kuropatkę, a kaczki w powietrzu za ogon chwyta; sędzia i sędzina popisywali się w rolach—najgościnniejszych gospodarzy, a Julka... krótko mówiąc: byłem w siódmém niebie. Niechby mi się tylko taki pan Alfons troszeczkę schylił, byłbym się odważył dać mu szcztka w nos, tyle sobie z niego robiłem.

Do „skakania“ także przyszło, choć panny się wymawiały, że ciężkie mają buciki, że za gorąco, że to i owo stało na przeszkodzie, ale Kilkiewicz proponował z zalotném mruganiem: „ka... ka... kadrylka,“ i jakoś sześć par znalazło się na zmianę gotowych; potem już szło, jak z płatka.

Przecież wy wiecie, co to jest walc z ukochaną?.. więc krótko wam powiem: tańczyłem pierwsze-go walca z Julką, a kto mi nie pozazdrościł, ten musiał być z pergaminu, jak pan Alfons, który stał w kącie przy fortepianie, jak drogowskaz i przypominał *entreprise de pompe funèbre*.

Walca wymyślił jakiś bóg zakochany!.. przecież ziemia, wszystkie słońca i księżyce walczą po niebie i dlatego zapewne świecą. Julia, w tym wirowym tańcu świeciła i promieniała, jak słońce w mojem objęciu.

Co ja ję tam do ucha naszeptalem, Boże drogi—zwłaszcza kiedyśmy zawijali w lewo! a ona tylko się uśmiechała i zwieszała na mojem ramieniu

omdlewająca, a mimo to powtarzała mi: „Jeszcze, jeszcze.“

Wirowaliśmy z sobą, jak dwie błyskawice, aż cały salon oklaskami rozbrzmiał.

Kilkiewicz, chcąc mnie zakasować, rymnął na samym początku, jak długi, ze swoją tancerką, że aż podłoga jękała, a chcąc się wytłumaczyć pannie, zaciął się tak okrutnie, iż do słowa przyjść nie mógł, tylko: pa-pa-pa-aa... powtarzał, a pewnie *pardon* miał na języku.

Byłem tryumfotorem w płasach.

Nie uważałem nawet, że mama sędzina raz po raz mrugała na córkę, że odwoływała ją z salonu pod rozmaitemi pretekstami—w głowie mi wirowało, szczęśliwy się czułem.

Łowczy w drugim pokoju między butelkami zieleniaka stroił skrzypce i próbował uchwycić melodyą walca, ale go palce i słuch zawodziły; pomagał sobie kieliszkami, a że głowę miał słabą, więc po trzecim już nabrał fantazyi, chciał koniecznie kołomyjkę przed pannami zatańczyć, zdrowie moje wznosił, potem obiecywał nam zagrać „Elegią“ Ernesta, jeżeli się uciszy, a całował na wszystkie boki, kogo się udało.

Ze mną tak się spoufalił, że chciał, abyśmy sobie *ty* mówili; zaczął mi się zwierzać ze swoich tajemnic sercowych i Walercię aniołem nazywał, potem, zapomniawszy o niej, przysięgał, że Pela jest rozkosznym dyabełkiem, ale gdyby go tylko Klima chciała, to ani chwili by się nie namyslał.

— Tak, jak stoję, mosterdzieju!—powtarzał, bijąc się z całej siły w szeroką pierś—tak, jak stoję, przysięgam Bogu!..—nie wierzysz?.. — no, żebym się

w ziemię zapadł, jeżeli nie... tak, jak mnie widzisz. Cóż ty myślisz, że ja pijany, czy co?

Skrzypiec z rąk nie wypuszczał, gorąco mu było, więc, aby się ochłodzić, wyciągnął mnie przez otwarte drzwi do ogrodu.

W ciemnej grabowej alei, księżyc srebrnych płatków narzucał przez otwory w listowiu, ciemno było wśród gąszczu, pod nogami tylko nam piasek skrzypiał, a zdąła dochodził gwar z sędziowskiego dworku, kobiece śmiechy, urywane tony fortepianu; z okien na ciemnym tle bił blask czerwony.

Pan Kajetan wpadł w melancholię.

— Patrzaj, mosterdzieju — mówił do mnie—to poezya: ten sad, ten księżyc, cudna noc... szal ci-chutko. Ach, gdybym teraz mógł być w moim lesie! Wiesz ty, ten las—to moje życie. Nie wierzysz? ja ci po nim całymi dniami i nocami lażę. Czasem wezmę skrzypki i gram — a tu ci echo po lesie niesie, a ja ci marzę—świat się kończy!.. ot, poczekaj, mosterdzieju... ty to rozumiesz, boś ty także poeta. Ty znasz Elegią Ernsta?.. poczekaj.

I położył smyczek na strunach; ciężka ręka mu drżała, ale grał jakoś z wielką ekspresyją, choć się mylił i grube palce czystych tonów wydobyć nie umiały. Muzyka zdawała się zajmować go całego, oczy przymknął, głowę spuścił i w księżycowym blasku oparty o drzewo stary marzyciel fantazyował, zapomniawszy o mnie i o całym bożym świecie.

Parodya artysty!..

Byłbym go może słuchał dłużej, wybacząc wszystkie fałszywe tony i nieudatne tryle, gdyby mi

w głębi alei nie mignęła różowa sukienka, a za nią... O, kobiety!

Przy werendzie sędziowskiego dworku stała altanka, dzikiem winem przykryta, a lipą starą ocieniona... w téj altance, jak w gołębniku, gruchała para gołąbków. Serce mi dygotało, jak motyl na szpilce, kiedy cichutko, jak cień, podsuwałem się pod nią, bo mnie przeczucie wiodło i przypadek.

W altance szeptały dwa głosy, kobiecy jeden, a drugi męzki.

— Więc nie wierzysz mi pan? ależ to dzieciństwo z pańskiej strony.

— Widzę przecież własnymi oczyma.

— Grzeczną jestem dla gościa, nie więcéj.

— Wszelakoż ten taniec...

— Cóż ten taniec!.. chłopak dobrze walcuje, wolę z nim, niż z kim innym. Czemu pan nie tańczysz?

— Nie lubię tańców, pozostawiam to innym.

— A widzisz pan; jest téż o kogo być zazdrośnym!.. taki młokos!.. gołowas, przecież to student jeszcze. I znowu, jak w roku zeszłym, zaczniesz mnie pan dręczyć podejrzeniami. Po co było przyjeżdżać? po co budzić wspomnienia?

— Jak powiedziałem... kocham panią.

— A ja jestem wzajemną... mówiłam to. Choćbym się nawet pobawiła takim młokosem, to złego nicby nie było. Z panem, to co innego. Nasza miłość nie od wczoraj przecie. No, proszę się rozchmurzyć... co sobie ludzie pomyślą. Kompromituję się dla pana, wybiegając umyślnie aż tutaj od gości.

Nie wychodź pan zaraz za mną, jeszczeby kto spostrzegł.

— Więc, panno Julio, mogę być pewnym, że...

— Z młokosem nie potrzebujesz rywalizować.

W powietrzu rozległo się echo pocałunku.

Przez wszystkie piekła.. tak nie umiał całować pan Alfons, to jéj usta musiały złożyć ten pocałunek, to ona sama... ach! przewrotności! imie twoje—Julia Wylesińska.

Gdyby każde z podsłuchanych słów téj rozmowy było piorunem, nie byłbym niemi bardziej przybity, zgnębiony, podarty na strzępy.

Młokos!!!.. młokos!!!.. młokos!..

Tak!.. zobaczmy, moja pani, czy się mną bawić można. Moja miłość własna podeptaną była, zgniecioną — w pierwszej chwili nie wiedziałem, co z sobą począć. Stało się ze mną coś dziwnego—czy uwierzycie, przestałem tak raptownie kochać pannę Julię, jak gdybym nigdy nie rumienił się na jéj widok.

Julka—to to za jedna?.. Julka sędzianka—która to?.. nie znałem żadnej w życiu.

Upokorzenie wyleczyło mnie z miłości; zamiast bólu wszystkich zawiedzionych kochanków, uczułem gniew, złość, wściekłość...

Poczekaj, panno!

W grabowej alei skrzypce łowczego jęczały pieśń elegijną, którą po stracie kochanki wyśpiewał jakiś waryat.

O, można płakać po straconej kochance, ale po kochance, która nas nazywa: młokosem — nigdy! to byłoby hańbą, ubliżeniem, wstydem.

Jedna myśl tylko zajmowała mnie teraz, jedna, jedyna, myśl zemsty.

Poczekaj panno, poczekaj pan, panie Alfonsiel młokos wam pokaże—tylko co?..

La nuit porte conseil.

Miałem na bladéj twarzy jakiś sarkastyczny uśmiech, kiedy wróciłem do salonu, w którym Kilkiewicz, czerwony jak burak, spotniały i zachrypnięty, prowadził mazura i kommenderował: „Wybie... ra... ra... rany!...”

I cóż powiecie—pierwsza rączka, co się do mnie wysunęła, była ręką przewrotnéj Julii, jak gdyby przed chwilą jeszcze nie ubliżyła moim dziewiętnastu wiosnom, nie zaparła się moich gorących uczuć, nie zadała kłamu wszystkim swoim westchnieniom, spojrzeniom, uściskom, szeptom i nadziejom zrobionym... O! różo kłamliwa, o! księżycu zaćmiony, o! leśie brzoźowy,—wyście przecież byli świadkami!

Zdobyłem się na heroizm, tańczyłem, jak Apollo pomiędzy muzami, ale w sercu myśl o zemście piastowałem.

W hołupcu szepnęła mi zalotnica: „Przyjdziesz pan do nas jutro?.. przyjdź, mój drogi.”

Przewrotności, imię twoje... ach, prawda, mówiłem już o tém.

Pomimo przetańczonéj nocy, pomimo tylu wrażeń, pomimo moralnego i fizycznego znużenia, oka zmrużyć nie mogłem.

Świtem pobudzone muchy zaczęły latać mi nad nosem i głosem bąków i szerszeni, zdawały się nagrawać ze mnie:

— Młokos, młokoss, młokosss!..

Pac!—i zabiłem najśmielszą.

Pac!... i tak legnie jutro pan Alfons i panna Julia.

Niechaj się tylko wyśpię do jutra.

IV.

Młokosyada zbliża się ku końcowi, z wielkiém zadowoleniem czytelników i autora.

Następnego dnia w całym domu kapitanowéj wszystko, co tylko nogi miało, chodziło na paluszkach; nawet Bums zdawał się stosować do surowego nakazu ciotki:

— Żeby mi cicho było, jak makiem zasiał, nie przeszkadzać Milusiowi, bo pisze!..

Staszek, korzystając ze sposobności, wyprosił się z wędką na ryby i przyrzekł solennie nie utopić się, ani nie zbroić nic nowego; dziewczęta, jak trzy anioły milczenia, snuły się po swoim pokoju, powtarzając sobie wzajemnie napomnienia:

— Cicho, niech pisze.

Maryska w kuchni i dREWUTNI zaleciła spokój i z tajemniczą miną powtarzała każdemu:

— Nie gębować, nie wiecie-ta, że panie pise?..

Fakt ten nabrał jakiejś uroczystéj powagi; instynktownie domyślano się wielkich rzeczy po tém pisaniu, chociaż nikt ani przypuszczał, co takiego płodzi moje pióro gęsie i rozgorączkowana imaginacya w zamkniętym alkierzyku na górze.

Ba, gdyby wiedziano!..

Młokos knuł swoją zemstę, przesiąknięty jadem zgnębionj ambicyi; przysiągł sobie dokonać takiej rzeczy, aby cały przewrotny ród niewieści pobladł i zadrzał.

Czy myślicie, że ja tylko jeden dzień pisałem?.. trzy, trzy długie dni do północy przesiedziałem przy moim stoliku w gorączce tworzenia, ze wspartą na rękę głową, kreśląc, mażąc, przepisując, rozpoczynając od początku i gryząc pióro, jak żak szkolny nad zadaniem matematyki.

Bo téż zadanie było nielada, najtrudniejsze, jakie miałem do rozwiązania w szkole życia — do téj pory.

Miałem złożyć egzamin sprytu, finezyi, złośliwości, miałem napisać... ale o tém powie się we właściwej porze.

Dość, że po trzech dniach odłożyłem spisane pióro i maczkiem zasypany kajecik z welinowego papieru zamknąłem do szuflady.

Po mojej fizygnomii kapitanowa i dziewczęta poznały, żem jakiegoś wielkiego dzieła dokonał.

— No, cóż, skończyłeś? — zapytały istną fugą na cztery głosy, gdy po trzech dniach nieobecności zjawił się po raz pierwszy znowu na dole przy wspólnym obiedzie.

W odpowiedzi mrugnąłem tylko znacząco z uśmiechem.

Czego w tym uśmiechu nie było dla dobrego fizygnomisty! Ale pomiędzy kobietami trudno o takie, które znają się na czytaniu hieroglifów duszy ludzkiej na twarzy.

— No, cóż to, cóż to takiego? — zapytały chórem.

— Zobaczycie.

— Pewnie jakiś piękny poemat?.. może tragedia?—zgadywała—któżby inny, jeśli nie Walerka.

— O! nie, to albo powieść, albo komedia — wtrąciła Pela — on się nie bawi w takie ciężkie rzeczy.

Klima zaś, uczepiwszy się mego ramienia, szeptała z zaiskrzonemi oczyma:

— Ale ty nam to dzisiaj przeczytasz? — mój złoty! co, nie?.. jak mnie kochasz, tegobyś nam przecież nie zrobił. My tu z ciekawości umierałyśmy przez te całe trzy dni. Wszystkie panny już wiedzą, żeś coś ślicznego napisał. Sędzia dziś jeszcze pytał się cioci na ulicy: „Czy nasz literat nie utonął przypadkiem w kałamarzu, że go ani na oko nie widać od tak dawna?“

Ciotka zaś wpatrywała się we mnie ze współczuciem i mówiła:

— Ale ty, biedaku, aż pomizerniałeś od tego pisania; zjedz-no jeszcze kawalátko kurczaka. Dajcież mu pokój, panny, niech trochę wypocznie i do sił przyjdzie. Ta literatura, to ciężki zawód; już ja bym tam nie chciała, aby mój Staszek miał piórem zarabiać na życie.

— Niech się mama nie boi — zapewniał mały obżartuch—ja pisać i tak nie lubię; zamiast poety, wolę być cukiernikiem.

Malec instynktownie przeczuwał, że ludzie wolą karmelki, niż wiersze, choć jedne i drugie biorą... na zęby.

Po obiedzie wyszedłem z papierosem na ganek właśnie w chwili, gdy pan sędzia z panem Alfonsem przechodzili ulicą, zajęci jakąś ożywioną rozmową; zatrzymali się, ujrawszy mnie.

— No, przecież, przecież młodzieńca naszego możemy zobaczyć—zaczął sędzia zdaleka.

„Młodzieńcem“ mnie teraz tytułował, o! losie...

— Jakżeż tam palce? — poczerniały gdzieś od atramentu?

— Widocznie pan ukończył swoje wypracowania?—dorzucił jakimś ironicznym tonem pan Alfons, jakby chciał przypomnieć niższość od siebie, szkolną ławkę, karcer i panów professorów.

Ugryzłem się w język i przybrałem tak pokorną minę, jak sztubak w obec pana dyrektora.

O! młodości, ile ty masz cierni pomiędzy pąkami kwiatów!

Zaledwie odeszli dwaj dygnitarze Temidy, przybiegł zdyszany, okurzony niewolnik Dyany, poczciwy łowczy, który bardzo rzadko zjawiał się u ciotki z wizytą. Zatrzymał się na ganku; do pokoju wejść nie chciał, wymawiając się swoim zwyczajem:

— Nie jestem po formie, bućsiska zabłocone, bo wracam z lasu, mosterdzieju i zgoniony jestem, jak chart. Ja tu tylko z prośbą do pań—pewnie już wiecie?... pojutrze urządzamy wielką majówkę... u mnie w lesie. Sędziostwo dobrodziejstwo chcą obchodzić uroczyście św. Kajetana, patrona mego. Leśniczówkę kazałem na ten cel przebudować, pałac na kurzej nóżce stawiam, wszystkie sylfidy z miasta będą u mnie w gościnie mosterdzieju—więc i pani kapitanowa ze swojemi gracyami nie odmówi... Czém chata

bogata, tém rada. Spodziewam się na pewno, o nikogo mi tak nie chodzi. — Łowczy Piławę sprzeda, a postawi się godnie. Ale, ale!—podobno mosterdzieju, napisałeś jakąś epopeję!..— Mój bracie, dawaj ją tu, cóż to za arcydzieło? Ja ci ocenię najlepiej. Ty nie czytałeś mojej „Brzezanny, poematu leśnego w siedmiu księgach?“ — Żałuj: jest w niej całe leśnictwo... Ale co tam o tém mosterdzieju! Po mojej śmierci weźmiesz to sobie. Jest przepisane w dwóch egzemplarzach; inicyały karminem sztychowane—cudo! No, ale na seryo, cóż to się spłodziło?.. wszystkie wróble śpiewają już o tém w okolicy.

— E, głupstwo, nie warto mówić.

— Przeciwnie, mosterdzieju; zaraz mi mów, muszę wiedzieć; nie ruszę się ztąd, jeśli nie powiesz.

— Bagatelka—powiastka... nawet nie moja.

— Jakto nie twoja?

— Tłumaczona... z francuzkiego.

— Tak?—to umiesz po francuzku, mosterdzieju, tak, że tłumaczysz?.. Proszę! to pięknie. Ja bo kiedyś także parlowałem, jak jaki markiz, ale dzisiaj ani słowa nie pamiętam oprócz *bonjour* i *monsieur*, *madame*. Z chłopiskami będę gadał po francuzku? Ot, marnuje się człowiek, dziczeje w tym lesie.

Ręką przetarł czoło i westchnął.

— Wiesz pan, jaka mi myśl przychodzi?

— No, no?.. jakaż?

— Zrobimy odczyt na majówce.

— *Bene!*—wrzasnął z radością cyklopa, waląc w grube łapy, jak w tarcze—a to mi pomysł!.. Dawaj pyska, mosterdzieju, a to uhonorujesz łowczego... Niech ci to Bóg wynagrodzi!.. Odczyt—śliczna rzecz;

każę ci katedrę postawić w lesie na polance, choinę ubiorę, zobaczysz. Tylko wiesz co? zrobimy z tego niespodziankę, nikomu ani mru-mru, dopiero tam na miejscu się ogłosi, panny pofiksują z radości, jak Boga Kocham!

— Panna Julia będzie?

— A jakże!

— A pan Alfons?

— No i tego nie zbraknie; będzie można do niego, jak do tyczki, przywiązać chorągiewkę, mosterdzieju. Dalibóg! nie posiadam się z radości. Majówka z odczytem—niebawale, niebawale.

Pocziwy pan Kajetan ani się domyślał, jak mi pomagał do wykonania planów mojej zemsty.

W tym odczycie właśnie... ale czekajcie do jutra, nie psujmy sobie efektu.

Wypieki miałem po odejściu łowczego; pobiegłem na moją górkę, kajet tajemniczy wydobyłem z szuflady, drzwi na klucz zamknąłem i chodząc po pokoju, gwałtownie przyciszonym szeptem zacząłem sam przed sobą, pomiędzy czterema ścianami odczytywać moje arcydzieło i wprawiać się do roli prelegenta.

Skłamałem umyślnie przed panem Kajetanem, że praca ta była tłumaczeniem; nieprawda, ona była oryginalnym, najoryginalniejszym moim utworem, podszycłem się w niej tylko pod obcą firmę, pod francuzkiego autora, bo tak z mojego planu wypadało.

Ciotce tylko pod największym sekretem zwierzyłem się, że na ową sierpniową majówkę urządzamy z sollenizantem niespodziankę dla pań.

Nadszedł wreszcie ów upragniony dzień imienin

łowczego. Zaraz po obiedzie mieliśmy się partyami wybrać na Leśniczówkę i o oznaczonej godzinie stać na miejscu. Sędziostwo na odwiecznej landarze, wypożyczonej od pana starosty, wybrało się przodem, myśmy w panińskim gronie podążali pieszo krótszemi drogami.

Boże, jak mi serce biło pod welinowym manuskrytem, który tuliłem na piersi, jak Herostrat podpałkę swoją, gdy się skradła do świątyni Dyanny w Efezie. Ale minę miałem junacką, taką, co to powiada: „no, no, zobaczycie!”

Panna Melanja, krótko a poufale Melą zwana, spoglądała na mnie z pod oka raz po raz i do Klimy szeptała coś ciągle na ucho; pomimo roztargnienia musiałem jednak zauważyć, że panna Mela była siarczyście ładną dziewczyną; oczki miała sprytne, co się tak wdzięcznie zmrużały przy każdym uśmiechu, że cię aż ciarki przechodziły.

Cięta była, a świeżutka, jak jabłuszko, zacząwszy od buzi, a skończywszy na spódniczkach, co przy każdym kroku szeleściły jakoś tak, jakby szeptały: „a biegnij za mną, a biegnij za mną!...”

Walerka, pod rękę wzięwszy się z poważną panną Bronisławą, co niedarmo była córką profesora, przez całą drogę prowadziły rozmowę, ściśle akademicką, ale mogłem przysiąc, że mówiły o mnie. Wreszcie panna Kasia, milutka szatynka z piwnemi oczkami, z minką figlarnego zajączka, gotowego do skoku, trzymała się swojej przyjaciółki, Peli i chychotała wesoło przy każdym słowie.

Od chwili owego podsłuchiwania pod altaną w sędziowskim ogrodzie — spadła mi jakby łuska

z oczu; dotąd widziałem tylko jedną Julkę i zdawało mi się, że oprócz niej na całej kuli ziemskiej nie ma więcej panien.

Zwyczajny daltonizm zakochanych, albo raczej kurza ślepotą, ale od chwili, gdy przestałem raptownie kochać Julkę, przejrzałem i wpadłem w kłopot odrazu, bo mi się wszystkie panny zaczęły podobać: i ta smaczna Mela, i ta poważna Bronia, i ta miłutka Kasia, ba! i Pela, i Klimka, i Walera!

Boże drogi—myślałem teraz—co ja pocznę z taką naturą?

Przedtém przynajmniej jedna absorbowiała wszystkie moje myśli i uczucia, a teraz zupełna decentralizacya się zaczynała.

Wygodniej mi było z tamtą miłością, ale jakże miałem dłużej kochać tę, która mnie młokosem nazywała?...

Wśród wesołej rozmowy przyszliśmy wreszcie pod Leśniczówkę łowczego, która wprawdzie nie zamieniła się w pałac zaczarowany, ale wybielona była zewnątrz i wewnątrz, przystrojona choinką i wyświeżona, jak stara elegantka.

Na tym samym płocie, przy którym owiej pamiętnej nocy gruchałem z Julką w miłosnym duecie, siedziała ona znów teraz, jak srocza, i smoliła czarnemi oczyma mojego rywala. Spostrzegłszy nas, zeskoczyła szybko i urwała rozmowę z panem Alfonssem.

Zgniotłem pod surdudem karty mojego manuskryptu. Cóż chcieć! można przestać kochać, a pozostać zazdrosnym.

Oczywiście szukałem przyrzeczonej przez łowcze-

go katedry, z której... piorun miał wypaść na głowę niewierną.

Łowczy był rozpromieniony, ze łzami w oczach dziękował każdemu za życzenia, zaklinał się na Piławę, że to najpiękniejszy dzień w jego życiu; wreszcie na dane hasło przez sędzię, zaprosił wszystkich do lasu, aby trochę „popoetyzować“—na polance potem zjeść podwieczorek i (tu mrugnął na mnie znacząco) dojść w końcu do niespodzianek, w które las jego miał obfitować dzisiaj.

W istocie, skorośmy się tylko zapuścili w gąszcze, zagrzmiały trzy strzały moździerzowe, aż cały las zamruczał, jak zbudzony ze snu olbrzymi potwór, dalekiem echem huk, który wywołał okropny popłoch pomiędzy płcią słabą.

Pisków, krzyków, omal że nie spazmów musieliśmy wysłuchać co nie miara.

Pan Kajetan podniósł głowę i patrzył z miną tryumfatora, z uśmiechem Jowisza, który grzmotami przeraził cały Olimp. Stanął na pniaku i kapeluszem pewiewając ponad głowy, zawołał:

— Nie bójcież się państwo, to salwy na cześć i powitanie moich łaskawych gości!

— A ja myślałem, że łowczy tu na nas polowanie urządza — odezwał się sędzia z uśmiechem trochę gorzkim.

— Sędzio, mosterdzieju — z gracyą leśnego satyra odciął się sollenizant, wskazując ręką na grono potrwożonych panien—jest tu tylko zwierzyzna, którą żywcem w sieć się łowić zwykło.

— Łowczuniu kochany—odezwały się błagalne głosy dziewczęce—już wszystkie dobrowolnie pójdzie-

my w twoją siatkę, tylko nie strasz nas więcej wystrzałami.

Julka aż pobladła ze strachu. a pan Alfons wziął ją za rękę i starał się uspokoić.

— Ten kanonierski koncept nie udał się panu Kajetanowi—mówił do niej, nachylając się, jak żóraw nad studnią.

Objęła go powłóczytym spojrzeniem, którym tak niedawno mnie jeszcze magnetyzowała i uśmiechnęła się; jak tym kobietom jeden uśmiech i jedno spojrzenie wystarcza nieraz na całe życie, niby wędka ze sztuczną muchą, na którą się łowi wszelakie ryby!...

Przez całą drogę nie zbliżałem się do niej ani na chwilę, ale oczu nie mogłem powstrzymać, biegły za nią, jak szpiegi, instynktownie śledząc każdy jej ruch, każdy wyraz twarzy. Zdawało mi się, że oczyma słyszę, niby uchem, i podchwytyję te słówka, rzucane, niby obojętnie, mojemu rywalowi przy zbieraniu grzybów, zrywaniu leśnych konwalii i szukaniu niedojrzałych orzechów w leszczynie.

Raz po raz odrywali się ot tak, przypadkiem od reszty towarzystwa i ciągle gdzieś na uboczu się trzymali. Ona miała minę niewinną, niby zajęta więcej lada pieczarką, niż panem Alfonsem—ale nie mnie brać na pieczarki. Zazdrość młodego serca ma domyślność doświadczonej kobiety. Domyślałem się całej treści ich rozmowy, a co mnie najbardziej oburzało, to te jej zerkania w inną stronę, jak gdyby ją to naprawdę obchodziło cokolwiek, że mi panna Mela dawała to kapelusz, to parasolkę, to uwity bu-

kietek do potrzymania, a przytém uśmiechała się do mnie i oczki mrużyła, jak jaki Chochlik.

Łowczy podbiegł do mnie z miną tajemniczą, odciągnął na bok i zapytał:

— No, cóż?.. możeby teraz?.. jesteśmy przy polance. Wystawiłem ci katedrę, mosterdzieju, świat się kończy!

— O! dobrze, dobrze—jestem gotów.

— Jesteś gotów, a zatem... uprzedzę wszystkich. Jaki to tytuł tego?..

— O tytuł mniejsza, ja go sam zapowiem.

— Przecież...

— Jeśli trzeba koniecznie, niech będzie... „Zemsta trubadura.“

— Trubadura?.. Poczekajno, jest taka opera, mam z niej waryacye na skrzypce, możnaby po odczycie zagrać... jak sądzisz?

Po odczycie?.. a co mnie obchodziło, co będzie po odczycielu.. Ja chciałem podczas odczytu mieć ją tylko przed sobą oko w oko, blisko, jaknajbliżej, abym mógł patrzeć w jej twarz i mówić do niej, tylko do niej, wylać całą moją żołąć w słowach, każdym wyrazem ukłuć, jak osą, parzyć, jak pokrzywa.

Wiecie bowiem, jaki mi niegodziwy pomysł przyszedł do głowy?.. Oto w formie powiastki chciałem cały mój romans przedstawić z piękną, a zwo-dniczą Julą, opisać ją i siebie, powkładać dosłownie w usta moim fikcyjnym bohaterom wszystkie nasze rozmowy, wszystkie gruchania, wprowadzić potem pana Alfonsa w ten miłosny duet, jako dysonans, powtórzyć całą scenę z sędziowskiego ogrodu, cały podsłuchany ich dyalog w altance i rzucić jej w oczy

na końcu cierpką prawdę wobec tych wszystkich słuchaczy, powiedzieć jęj publicznie: „Widzisz, znam cię, przejrzałem na wskrós, wiem, żeś się zabawić mną chciała, wiem, żeś nazwała mnie młokosem, otóż młokos zabawił się tobą i swoim rywalem!..“

I zrobiłem to wszystko według planu ułożonego; miał to być pierwszy mój występ literacki, pierwsza próba sił autorskich, może niebardzo oryginalna, ale zdawało mi się, że niezmiernie efektowna...

Z tych swojskich, lokalnych motywów usnułem powiastkę romantyczną; akcyą przeniosłem w średnie wieki na tło jakiegoś zmyślonego zamku nad Loarą, całą erudycyą szkolną, całą historią Francyi z notatek studenckich spożytkowałem przy kreśleniu tego satyrycznego obrazka.

Julia, jako kasztelanka pod zmienioném imieniem i nazwiskiem Eleonory de Coquette, była bohaterką tęg niby tłumaczonej nowelli; ja figurowałem jako młody trubadur na zamku jęj ojca, Bertrand le Blond, a pan Alfons występował w charakterze chudego rycerza, Armanda de la Triste-Figure.

Ile się tylko zmieściło własnego i pożyczonego liryzmu, tyle go wlałem w romans Eleonory z Bertrandem; rycerza Armanda zrobiłem podobnym, jak dwie krople atramentu do pana Alfonsa.

Głównym efektem była scena podczas uczty, kiedy Bertrand staje przed wiarołomną kochanką i podsłuchawszy jęj rozmowę z rywalem, z której się dowiedział, że był tylko igraszką płochęj a zalotnęg dziewczicy—śpiewa pieśń, ułożoną przez siebie na nutę staręj ballady.

Kochanka płonie i blednie ze wstydu i wzruszenia, szlachetny Armand de la Triste-Figure nie może pojęć, co znaczy ta zmiana, cały dwór z oburzenia wtóruje młodemu trubadurowi, gdy w ostatnich zwrotkach wzywa wszystkie zające dziewice i dostojnych rycerzy, by pamięć płochęj zalotnicy, co miłości przysięgę złamała niegodnie, a sercem swém, jak pocałunkami, frymarczyła—potępili jednogłóśnie.

Uniesiony swym śpiewem młody trubadur zapala się i woła w zakończeniu pieśni o zdradzonym młodzieńcu, zwracając się do kasztelanki:

Niech świat obiegnie krzywda ma
Naukę miejcie wy—
Bo tym młodzieńcem byłem ja,
A zwodzicielką—ty!..

Potém lutnię swą ciska na marmurową posadzkę i wielkimi krokami wychodzi z zamkowej komnaty pomszczony, a Eleonora pada bez zmysłów—w objęcia Armanda, który nie wie, co z tym ciężarem zrobić.

Zdawało mi się, że będzie tak samo z Julją, że, kiedy dojdę do miejsca, gdy nieszczęsny Bertrand le Blond swój miłosny zawód opiewa, Julka nie wytrzyma dłużej, zblednie, jak ściana, krzyknie, zemdlee, padnie bez przytomności, a ja... rozumie się, nie dokończę powieści, tylko ręce skrzyżuję na piersi i patrzeć będę z wysokości tęg jakiegś beczki, którą łowczy kazał darniną obłożyć, na leżącą u stóp moich bladą i pomieszaną kochankę.

Miała to być chwila mego najwyższego tryum-

fu; tylko ja i ona mogliśmy się zrozumieć, tylko ja i ona mogliśmy wiedzieć, co się kryło pod tą osłoną fikcyi, a szlachetny Armand de la Triste-Figure, jeżeli był domyslny, jak na przyszłego sędziego kryminalnego przystało, powinien był zgrzytnąć zębami, przystąpić do mnie z iskrzącymi oczyma i rzucić mi swą rękawiczkę.

Tak sobie tę scenę w wyobraźni swój przedstawilem; byłem pewny, że tylko w ten sposób sytuacja się rozwiąże; od tygodnia rozkoszowałem się myślą o wrażeniu, jakie moja „Zemsta trubadura“ zrobi na Julii; od tygodnia sypiać nie mogłem po nocach, tocząc dyskusję z moim sercem, sumieniem, charakterem, rozbierając wszystkie *za* i *przeciw*, co do tej niegodziwej Julki, która ośmieliła się nazwać mnie młokosem dlatego, aby podejrzenia pana Alfonsa uspić i ułagodzić.

— A nuż dziewczynie serce pęknie — mówiłem sobie, i ciarki mi przechodziły po grzbiecie — a niechby tylko spazmów dostała... Nerwową jest, w takićj irytacyi to nietrudno; będę ją potem miał na sumieniu.

— A nuż kawaler Armand dorozumie się wszystkiego, podejdzie w połowie odczytu, kajet mi z ręki wyrwie, podrze na drobne kawałki, rzuci to wszystko w powietrze i syknie mi w ucho:

— Dasz mi pan satysfakcją!..

Przyznam się, że jakiś rozkoszny dreszcz przechodził mnie od stóp do głów na myśl takiego zakończenia. Pojedynki!.. Boże drogi, natchnij go, żeby mnie tylko wyzwał; ależ to sława Richelieu'go,

to rozgłos na całą okolicę, to przecież pasowanie na bohatera, na dojrzałego mężczyznę. Byłbym go uściłskał z całych sił, (przystawiwszy sobie wpięrk stołeczek), gdyby mnie wyzwał.

Niestety! nie tak to łatwo zostać bohaterem, jak się zdaje, nie tak to łatwo obliczyć z góry wszystkie efekta dramatyczne...

Wszystko szło, jak z płatka i łowczy z niezmiernie poważną miną zapowiedział moję prelekcję na uświetnienie majówki, wytłumaczył przeznaczenie beczki, przedstawiającej katedrę i szanowne zgromadzenie głośnie „aa!“ i oklaskami przyjęło tę zapowiedź i jakoś po długim sadowieniu się na murawie i na kłodach drzewa zajęło miejsca ciekawe audytoryum, a Julka instynktownie, jakby jęj kto podszepnął, usiadła tuż naprzeciw mojej mównicy, i — wszystko zapowiadało się najładniej; nawet już, często pochrząkując, czytać zacząłem, kiedy licho nadało... katedra moja, w wilgotnej ziemi źle osadzona, chylić się powoli zaczęła, niby wieża pizańska... Czulem, że tracę równowagę, że chwila jeszcze, a jak posąg spadną z piedestału i w najefektowniejszym miejscu plackiem się położę u stóp zdradzieckiej Julii.

O wierzajcie mi w takich warunkach traci się całą siłę i wielkość bohatera; nie można być kolo-sem nawet moralnym, na chwiejących się nogach, zwłaszcza jeśli nam ktoś życzliwy, ale naiwny będzie w najniestosowniejszych momentach szeptał, jak pocziwy łowczy:

— Zleżno lepiej, mosterdzieju, bo brzędkniesz z tej beczki!..

Nie, niepodobna sprawić zamierzonego efektu, kiedy taki naprzykrzony bąk, jak kochany kuzynek, Stasio, bądźże za plecami panien drażnił je słomką i lechtał po szyi z prostych figlów; nie można zgnąć bić najwrażliwszej kasztelanki, Eleonory de Coquette, słowami Trubadura: „Niech świat obiegnie krzywdą ma,“ kiedy pan sędzia, chcąc na znaki dawane przez żonę, podejść do niej na palcach, wlezie akuratanie na ogon śpiącemu Bumsowi i napełni cały las skowyczeniem, piskiem i ujadaniem przydeptanego pudła.—Nie, nie można w takich warunkach mścić się na nikim, choćby się było trubadurem Bertrandem le Blond i gorzało pragnieniem zemsty na zwo-dniczej sędziance.

O! łowczy, o! beczko, o! Staszku, o! Bumsie, o! sędzio! wyście wszyscy razem i każdy z osobna winni, że cały mój plan, tak obmyślany, tak opracowany, spełził na niczém; że panny po cichu chycho-tały i szeptały między sobą, że Julka zamiast zble-dnąć, omdleć i paść bez przytomności — uśmiechała się ironicznie i spoglądała w stronę pana Alfonsa, jak gdybym to nie ja czytał krwawe dzieje naszych serc, ale komar brzęczał jój nad uchem i że „Zem-sta trubadura“ najsrożej zemściła się nad swoim au-torem.

Doczytałem jakoś do końca, ale przysięgłbym, iż oprócz ciotki i Walery, tych dwóch najuważniej-szych moich słuchaczek, nikt dobrze nie mógł po-kombinować stosunków Eleonory, Bertranda i ryce-rza de la Triste-Figure.

Zdawało mi się nawet po raz pierwszy widzieć

na ustach pana Alfonsa złośliwy uśmiech, jakby szy-derstwa i współczucia zarazem.

Naturalnie, że oklaskami nagrodzono moje czy-tanie, kiedy w samą porę zsunąłem się z beczki, która pod ostrym kątem wryła się już w spulchnio-ną ziemię; któryż prelegent nie otrzymał oklasków, jeżeli nie za to, że czytał, to za to, że skończył..

Pierwsza podeszła ku mnie Julka, taka sama, jak zwykle, w niczém niepodobna do bladój, zgę-bionój i upokorzonój kasztelanki, jakby się niczego nie domyślała, do niczego nie poczuwała — podeszła bez żalu, bez urazy i rzekła:

— To bardzo ładna powiastka, czy to będzie gdzie drukowane?

Sędzia przyniósł mi własnoręcznie szklankę wi-na i mówił:

— Odwilż-że pan sobie gardło, bo ci tam pe-wnie zaschło od takiego czytania.

Łowczy zaś, dusząc mnie w szerokich ramio-nach, cmokał na wszystkie strony, dziękując za ta-ką śliczną siurpryzę.

— Tylko—zapytał w końcu—musisz mi to po-tém lepiej wytłumaczyć, kto się właściwie w kim kochał: czy Eleonora w Armandzie, czy Bertrand ten, jak mu tam, w Eleonorze, bo to ciekawe mo-sterdzieju. Ale wiesz, głos masz, jak nasz wikary ze Śliwkowic—to ci kazania takim głosem prawić!

Tylko ciotka pocziwa podeszła do mnie, za głowę swoim zwyczajem wzięła, w czoło pocałowała i szepnęła na ucho:

— Zrozumiałam wszystko, ale tego szkoda było dla takich słuchaczy—ona się nawet nie poznała na tém.

Panny: Mela, Bronka i Katarzyna, zaproponowały, żebyśmy się w „ptaszka,” albo w „kotka i myszkę” zabawili, i o „Zemście trubadura” w pięć minut po odczytaniu nikt więcej nie mówił, a co gorsza, nie myślał.

Mścijże się tu na partykularzu w sposób niezwykły, z finezyą i dowcipem, po literacku!..

Cóżby to zresztą było pomogło, kiedy pan Alfons na trzeci dzień po owęj pamiętnéj majówce, wyjechał i tak z pierścionkiem panny Julii na palcu, ale o tém nie chciano w domu sędziostwa wspominać głośno, jakkolwiek mama sędzina w drugim tygodniu wybrała się już do Rzeszowa po płótno i sprawunki rozmaite; miano się zabrać do szycia wyprawy dla Julki.

Po dłuższej rozwadze, powiedziałem sobie:

— Mój kochanku, do żeniaczki byłeś doprawdy młokosem, a panny, choć to lubią takich gołowásów, to jednak na męża wymagają od mężczyzny, jeśli nie wzrostu, to co najmniej... zarostu.

Wyleczony zupełnie z miłości do Julii, wracałem z wakacyjnych wczasów do pracy i kiedy wózek pocztowy brnął w piasku po koła, a pocztylion udawał, że trąbi, jak archanioł, rozmyślałem nad tém:

— Która téż najładniejsza z tych trzech: Mela, Bronka czy Kasia?

I zamiast jednój w sercu — wywoziłem aż trzy panny w rozmarzonej głowie.

Och! szczęśliwa młodości — studencka, czemuż do ciebie już wrócić nie można — do twych naiwnych złudzeń, zapalnych uczuć, łatwych zawodów, lecz łatwiejszych pocieszeń!.. *du, blöde Jugendeselei*, jak mówił niejaki Heine.

GŁODNA LWICA.

Opowiadanie przy herbacie.

Ile razy słyszałem z ust ładnej kobiety: „Ach, panie, jak ja się nudzę!..“ tyle razy wzdychałem na intencją jakiegoś biedaka, męża lub kochanka, który prędzej czy później za te nudy pokutować musiał.

Kobietom nie wolno się nudzić, zwłaszcza młodym, zwłaszcza ładnym, zwłaszcza takim, które potrzebują tylko małym paluszkiem kiwnąć, aby cały świat pospieszył je bawić.

Powiadają, że aligator kiedy ziewa, to syty; kobieta, kiedy ziewa, to głodna, a kiedy głodna, to niebezpieczniejsza od największego krokodyla. Mówię o tym głodzie serca, umysłu, duszy, fantazyi, kaprysu, nerwów, którego żaden kucharz najsmaczniejszym kęsem nie nasyci—mówię o głodzie wrażeń.

U niektórych taki apetyt przeradza się w chorobliwą żarłoczność, a wtedy ty biedaku, co się dostaniesz na ząbki—oddaj się Bogu!—zginąłeś!

Pan patrzysz na mnie z uśmiechem złośliwym, zdajesz się nie dowierzać, posądzasz mnie o przesadę?—ach, prawda, pan jesteś narzeczonym, masz posłubić anioła, będziesz mieszkał w niebie, otoczony herubinkami, a w dniu twojego ślubu wyginą dla ciebie wszystkie kobiety i niczego się obawiać, ni-

czego po nich spodziewać się nie będziesz potrzebował.

Przyjmij pan jedną dobrą radę na podarunek ślubny odemnie: „nie pozwól się swojej żonie nigdy nudzić i staraj się sam być zawsze nią zajęty.“

Co?.. mówisz pan o książkach, dziennikach, robotkach?.. ależ, mój przyjacielu, to nie dosyć.

Książka nie jest dostatecznym środkiem, ani dziennik z najbardziej zajmującą powieścią w felietonie; belletrystyka właśnie usposabia kobietę (dodam pewnego rodzaju) do tych nudów w życiu, które się leczy wrażeniami—zaprawia jęj apetyt, wyrabia jęj smakoszostwo do nadzwyczajnych sensacyj, rozciekawia jakąś fałszywą lub jaskrawą teorią życia do skosztowania tych nieznanych owoców, co rosną na drzewach zakazanych.

Na Boga, nie dawaj pan żonie swojej do czytania romansów!..

Prawie panu stare komunały, jakbym był dziadkiem twoim i od dwudziestu lat osiadł na dewocyi, a tymczasem bylibyśmy prawie w jednym wieku, gdybym dwa razy wcześniej od pana żyć nie zaczął, i kobiet tylu nie studyował.

Opowiem panu historią pewnej wygłodzonej lwicy salonowej, aby teorią swoją poprzeć przykładem.

Opuszcze wszystkie wstępy i komentarze, nazwisk nie wymienię, daty i miejsca nie podam, ale za fakt ręczę.

Historia dotyczy dwojga osób tylko, jeżeli nie weźmiemy w rachubę męża mojej bohaterki; mężów

się nigdy w takich razach nie liczy, oni pozostają *hors concours*, siedzą nad aktami, chodzą za plugiem, albo grają w karty zawzięcie.

Pan Henryk był właśnie jednym z takich, których się nie rachuje; był i nie był. Bez niego pani Henrykowa nudziła się śmiertelnie, z nim jeszcze bardziej. Ile razy wyjechał na wieś, zamykała się w swoim różowym budoarze, zakopywała w lawinie francuzkich romansów i czytała całemi dniami i nocami; gdy powracał, wciskała go gwałtem we frak, zawiązywała własnymi rękoma biały krawat i rozspanego jeszcze z podróży wlokła z salonu do salonu, z teatru na koncert, z rautu na bal, z odczytu na przechadzkę, aż gdy się oboje tak znużyli, że sił im zabrakło — on umykał do swoich lasów, stodół i obory, a ona do swoich książek w budoarze.

Trwało to dosyć długo; dzieci nie mieli, nie wiadomo z czyjój winy.

Cała młodzież kochała się w pani Henrykowej; jakże się było nie kochać!.. umiała takim czarem zakląć każdego, co się do niej zbliżył, że się potem odczepić nie mógł. Chodził rozmarzony, otumaniony, senny, najaczył na jawie, głową kręcił, jak biedna owca chora na motylicę i oczyma zamglonemi przewracał, że litość brała patrzeć.

W gruncie rzeczy, w tych sezonowych romansach i bałamuctwach pięknej pani nie dochodziło nigdy do granic za dalekich; wystarczało jęj na pozorach. Pani Henrykowa należała do tych, co poprzestają na zapachu kwiatka, nie zrywając go z krzaku.

Piękną była jak Venus Milońska, ale ta Venus bez ramion i rąk, nie obiecywała ani uścisku, ani

pieszczoty, a jednak szaleli za nią. Wiedziano, że była wierną swojemu mężowi, choć ją nudził niemiłosiernie.

W salonach potworzono całe legendy o niej, starsze panie nazywały ją pobłaźliwie ekscentryczką, młodsze, o ile nie były brzydsze od niej, śmiały się z jej łaski nad słabością Adamowej dynastji i wydrwiwały królów stworzenia, którzy szli baranki pasać na łąkach złośliwej czarodziejki.

Powiadają, że „przyjdzie kréska na Matyska,“ swój swego znajdzie w końcu, a najostrejsza kosa trafi na kamień; — pani Henrykowa trafiła na pana Janusza.

Od pierwszego razu, gdy się spotkali w jakimś salonie, jak dwaj wyćwiczeni fechtmiśtrze skrzyżowali bronie i zaczęli się bawić sobą wzajemnie.

Pan Janusz był gwiazdą sezonową, wracał z zagranicy, najmodniejsze nosił tużurki, laski i krawaty, miał opinią tak gwałtownego zdobywcy serc, że potrzebował tylko wąs podkręcić, oko zmrużyć i głowę przechylić na prawe ramię, aby Penelopy i Lukrecye rzuciły mu się same w objęcia.

Zazdrosni utrzymywali, że tylko z kobietami szło mu tak łatwo, że ten srogi lew salonowy był lwem tylko w obec płci pięknej, ale w obec mężczyzn zmieniał się w prostego kota, którego można było odpędzić za dziesiątą górę jednym: „a pójdziesz!“

Mogło to być kalumnią, dość na tém, że kobiety przepadały za panem Januszem, jak mężczyźni za panią Henrykową.

W bardzo krótkim czasie zaczęto sobie szeptać po salonach nowinki; na wspomnienie ekscentrycznej bałamutki i zwycięzkiego Adonisa, mówiono tylko ze znaczącym uśmiechem: „oho!“

To „oho!“ było gorszym od kilkogodzinnych oskarżeń.

Pozory wszelkie przemawiały przeciw pani Henrykowej i to po raz pierwszy w życiu.

— Zanadto się zaawansowała! — mówiono teraz.

Pan Janusz tymczasem miał minę tajemniczą, udawał że nie rozumie przymówek, że nawet coraz mniej zważa na niezwykłą dotąd przez nikogo pokusę.

Ta gra w kotka i myszkę bawiła, ale i podrażniała go.

Pewnego razu naznaczyła mu sama *rendez-vous*, i wiesz pan gdzie?.. w jego własnym mieszkaniu.

Gorszy to pana?.. mnie także, ale trzeba było znać panią Henrykową tak dobrze, jak ja ją znałem, aby nawet w tym wypadku mieć dla niej jeszcze trochę pobłażliwości.

Ta pierwsza w życiu schadzka, tak niezwykajna, z człowiekiem, uważanym za najniebezpieczniejszego Don Juana, te nieznane dotychczas emocje, scena z romansu jakiegoś powtórzona w rzeczywistości, wszystko to rozwichrzoną główkę kobiety, która się nudziła ciągle w życiu, zajmowało nowym, nieprzepartym urokiem.

Oznaczyła schadzkę pierwsza, co gorsza — poszła na nią.

Jej zepsutą wyobraźnię bawiło to, że o zmroku musiała się z powozu wykradać, zakwefiona tak,

iż własna matka nie byłaby jęj poznała, że z bijącym sercem biegła po schodach, nie oświetlonych na to drugie piętro, na którym mieszkał pogromca lwic salonowych; że jak cień wsunęła się przez odchylone drzwi, które on natychmiast dyskretnie i przezornie zamknął za nią na zatrzask podwójny.

To nie było nudne dla kobiety szukającej emocyi *coûte que coûte*. Głodna lwica szła na żer, nie dbając o to, iż sama może być zjedzoną.

Pan Janusz, widząc takiego gościa u siebie w swoim gabinecie wyłożonym dywanami, obstawionym kwiatami i posążkami, oświetlonym alabastrową lampą, woniejącym rozkosznym zapachem fiołków i hyacyntów—czuł się tryumfátorem.

Pomimo dyskrety, próżność uwodziciela *quand même* byłaby pragnęła, aby ściany jego domu były ze szkła i świat cały, *le beau monde* rozumie się, mógł być świadkiem tęg schadzki z królową wszystkich bałamutek.

Kobieta nie przychodzi do mieszkania mężczyzny o zmroku, sama, ukradkiem, nie zdając sobie sprawy z tego kroku, wie dobrze, co ją może czekać i za co musi być odpowiedzialną.

Nie miała jeszcze czasu ochłónać z wrażenia i odsłonić twarzy zarumienionęj, nie miała czasu odpowiedzieć na piękną tyradę wymownego gospodarza, który się pierwszym niewolnikiem swojego gościa mianował, gdy nagle czyjaś ręka poruszyła z zewnątrz za klamkę energicznie, gwałtownie.

— To on!—szepnęła w największym pomieszaniu—mój mąż!

Te dwa wyrazy w podobnych sytuacjach działają bardzo nieprzyjemnie na mężczyznę, przypominają mu odrazu wszystko, o czém sobie pozwolił, albo nakazał zapomnieć i są niby dwoma strugami zimnej wody, wylanęj za kołnierz.

— To on!.

Historja staje się tragikomiczną najczęściej; stać tak między żoną, a mężem za drzwiami, słyszeć ten dzwonek bijący, jak na alarm, te uderzenia pięścią w drzwi i szamotanie klamki i nie wiedzieć, co począć: otworzyć czy nie otworzyć, pozwolić gwałtownikowi drzwi wysadzić, ją schować do szafy, a samemu wyjść z miną scenicznego bohatera i ze słowami: „gotów jestem dać panu wszelką satysfakcyą”—przyznaj pan, że to dyabelnie kłopotliwa sytuacya i że można w nią głowę stracić.

Ongi, kochankowie przyłapani w sypialni kasztelanek, wyskakiwali z okien zamkowych w przepaść, ale dziś!... prozaiczniej te rzeczy się przedstawiają.

— Niech wszyscy dyabli porwą romanse i schadzki w takich warunkach!—powiada sobie każdy w podobnej sytuacyi po cichu i spogląda z komiczną rozpaczą na drżącą ofiarę swęj miłości i na drzwi podskakujące pod uderzeniem pięści.

Pan Janusz był w takiej samęj pozycyi; byłby dał na mszę śpiewaną, gdyby się mógł był zapaść pod ziemię na sto łokci.

Nie było wątpliwości, że nikt inny, tylko zazdrosny pan Henryk wyszpiegował żonę, domyślił się wszystkiego i przyszedł pomścić swego honoru.

Biedny Don Juan miał pocieszenie zakłopotaną minę, stracił zupełnie przytomność i wzrokiem cichego wyrzutu patrzył na tę nierozważną kobietę, która go mogła w taką kabałę wplątać.

Jeżeli kiedy, to w podobnych chwilach, mężczyzna odsłania najbardziej siebie samego i swoją prawdziwą wartość moralną.

Pan Janusz musiał w tej roli być... śmiesznym.

W kwadrans później pani Henrykowa wymykała się drugimi drzwiami z mieszkania pana Janusza, gdy łoskoty i dzwonienia tajemnicze ustały i gdy się jej pobladły ideał przekonał z wielką ostrożnością, zmieszany i dziwnie zmieniony, że ani na schodach, ani w sieni, ani przed bramą żywej duszy nie było.

Nie pozwoliła mu się odprowadzić i prawie bez pożegnania wybiegła, aby tego samego wieczoru jeszcze napisać do niego bilecik tej treści: „Chciałam widzieć lwa w obronie lwicy zagrożonej, bo przypuszczałam, że to widok mniej.... komiczny. Dziękuję panu za jedno doświadczenie w życiu więcej.”

Nie wiem, czy pan Janusz od razu zrozumiał, że sprytna excentryczka umyślnie przygotowała jemu i sobie taką sensację i podstawiała kogoś, to pewna iż nie pana Heryka — który w tak gwałtowny sposób przerwał im to pierwsze i ostatnie *rendez-vous* w życiu.

Pan Henryk ani się domyślał, w jaki sposób jego żona leczy się z nudów i eksperymentuje na motywach zapożyczonych z francuskich romansów.

Ci panowie tak rzadko kiedy domyślają się tego, co powinni.

Gdybyś pan miał zostać kawalerem, powiedziałbym panu: „Synu, wśród pustyni naszych salonów, strzeż się głodnych lwic i schadzek ze znudzonymi mężatkami!..”

No, a teraz może jeszcze filiżankę herbaty?..



Mój przyjaciel Hircio.

(Z GALERYI PASOŻYTÓW.)

Bogiem a prawdą, to ja właściwie nie wiem, dla czego byłem przyjacielem Hircia; ja nie wiem nawet, czy byłem nim rzeczywiście, w właściwym tego słowa znaczeniu.

Mówił do mnie: „mój przyjacielu,“ „najdroższy przyjacielu,“ „jedyne przyjacielu,“ a ja pozwalałem na to; cóż miałem robić?..

Kiedy mu z tém dobrze było, niech sobie mówi.

Ja nawet nie wiem na pewno, czyśmy kiedyś kollegowali z sobą w szkołach, jak to on utrzymywał i czyśmy się naprawdę kochali, jak Kastor z Poluxem?

On twierdził, że tak, a ja nie lubię przeczyć nikomu.

Możeśmy i siedzieli razem na szkolnej ławce, chyba krótko i chyba nie na téj samej, bo byłbym go lepiej pamiętał, pomimo tylu lat rozłąki.

Dziwna rzecz, że nie tęskniłem za nim nigdy i nie myślałem o nim, jak o innych, w moich wspomnieniach młodości.

Gdyby się nie był zjawił pewnego dnia u mnie niby *deus ex machina*, z walizką w ręku, z torebką przez plecy, w podróźnej czapce szkockiej z czarne-

mi wstażkami puszczeni na wiatr, z monoklem w oku, w pledzie narzuconym fantastycznie przez ramię, anibym wiedział o istnieniu tego przyjaciela.

— Jak się masz Lolu?—zaczął od progu familiarnie, bez ceremonii, z swobodą starego znajomego.—Cóż, dziwi cię, że po tylu latach wpadam do ciebie, jak bomba? A widzisz—masz niespodziankę. No, dawaj buzi!.. Cóż to, nie poznajesz swojego Hipcia?.. wstydz się, przecież żyliśmy z sobą, jak bracia rodzeni. Jeszczeby też, żebyś Szuińskiego nie pamiętał! No, dawaj buzi, jak mnie kochasz...

Daliśmy sobie téj buzi, raz, drugi, trzeci.

Hipcio miał minę bardzo serdecznego kolegi; przyglądał do mnie, jakbym był klajstrem wysmarowany.

— Widzisz—mówił, wyjmując szyldkretową papierośnicę z kieszeni eleganckiego tużurka — mógłbym tu zajechać do Załuskich, do Potockich, do Morstynów, wszędzieby mnie z otwartymi rękoma przyjęli... wszystko znajomi dobrzy—ale ja wolę u ciebie stać na tych dni kilka. Nie lubię się krępować, pańskiej łaski nie znoszę. O-ho!.. Hipcio ma twardy kark. Nie masz pojęcia, jak się zmieniłem.

Nie miałem, w saméj rzeczy, bo nie mogłem porównać Hipcia dzisiejszego z Hipciem dawniejszym, musiałem wierzyć mu na słowo.

— Spróbuj mojego papierosa—mówił dalej—takich u was niema nawet po złotemu. Mój przyjaciel, Hamil-bey przywiózł mi tysiąc sztuk z samego Konstantynopola, szkoda, że już tylko te dwa mi pozostały, ale czekaj, jeśli ci smakować będą, napiszę do niego, to nam furę całą przyszele.

— Któż to jest ten Hamil-bey?—zapytałem nieśmiało.

— Co?... nie słyszałeś o Hamil-beyu? — wybuchnął widocznie zgorzsony taką ignorancją — to będzie kiedyś pierwszy dyplomata w Turcyi!.. Kollegowaliśmy z sobą w akademii oryentalnej w Wiedniu.

— Toś ty był w akademii oryentalnej?..—przerwałem mu, a on nabrał nagle powagi i godności ministeryalnej, głowę uniósł nieco w górę, oczy zamknął, przybrał minę Palmerstona i odrzekł:

— To się rozumie.

Dlaczego to się miało rozumieć, nie wiedziałem, ale od téj chwili zacząłem na Hipcia patrzeć, jak na coś niepospolitego.

— Mogłem być już dotąd ambasadorem — zaczął na nowo, zwyczajnym tonem—gdyby nie...

Westchnął tajemniczo, znowu oczy przymknął, czoło zmarszczył i swą długą, rozczesaną brodę hebanowego koloru, pogładził wspaniałym ruchem skończonego *gentlemana*.

Nie śmiałem nalegać, aby mi wyjawiał przyczynę, dla której, zamiast zostać ambasadorem, zaszczycał nagle mnie swoją obecnością, zapowiadając, że tylko kilka dni zabawi pod moim dachem.

— Skoro ureguluję moje interessa, nie będę ci zawadzał dłużej, kochany Lolu.

Dlaczego on mnie Lolem nazywał?.. Przecie wiedział, że mi na imię Ludwik.

Musiało mu się wydawać, że Lolo to odpowiednie dla mnie nazwanie od Ludwika.

Wyszliśmy razem na obiad; Hipcio przedtém

wstąpił do fryzjera, aby się trochę „oporzadzić“, jak mówił, bo nie zabrał z sobą ani żelazka do wąsów, ani wody atenskiej, ani octu toaletowego.

Spieszno mu było wyjeżdżać, zaledwie jakie takie drobiazgi miał czas zapakować do walizki, kilka kołnierzyków, kilku krawatów, trochę bielizny, szapoklak i czarny garnitur frakowy.

Dziwiło mnie tylko, że zapomniał wziąć cieplejszego okrycia, bo ranki i wieczory jesienne były już dosyć chłodne.

— Ja się nie lubię pieścić—mówił, gdyśmy ten przedmiot poruszyli przy zupie—całą zimę mógłbym chodzić w letnim tuzurku. Nie masz pojęcia, jaki się zrobiłem wytrzymały; żelazne zdrowie... zahartowałem się, jak stal.

Wieczorem wszelako po deszczu zrobiło się trochę chłodniej, więc idąc do teatru na propozycją Hipcia, zmusiłem go, żeby wziął moją drugą okrywkę na wszelki przypadek.

Wziął i podobała mu się widocznie, bo odtąd nosił ją codziennie.

— Wiesz co Lolu — rzekł pewnego dnia, przyglądając się w lustrze — jabym to palto odkupił od ciebie. Podoba mi się ten krój; nie uważasz, że leży na mnie, jak ulane?.. Już to figury Bozia nie odmówił Hipciowi, prawda?..

I z zadowoleniem wykręcił się na pięcie, jak baletnik, założywszy z fantazją mój kapelusz na prawe ucho.

Bo zdarzyło się tak szczęśliwie, że nietylko palto, ale i kapelusz nadawał się ze mnie na miarę mojego przyjaciela — nietylko kapelusz, ale i ręką-

wiczki, i koszule, i kołnierzyki, i buty — i powoli wszystkie części garderoby, dziwnym zbiegiem okoliczności, leżały na Hipciu, jak ulane.

Zaszczyt mi robił, przyjmując te przysługi, którychby Hamil-bey, Potoccy, Załuscy, Sapiehowie, nie byli mu odmówili.

— Ale ty myślisz, że jabym od którego z nich tak, jak od ciebie, wziął takie palto?.. niedoczekanie ich!.. trzeba mieć swoją dumę. Jeden lub drugi taki panek byłby szczęśliwy, żeby Hipolit de Brogi Szuiński udał się do niego po jakąkolwiek przysługę. Ho-ho!.. ja wiem, potrzebowałbym tylko palcem kiwnąć, a miałbym wszystkiego po uszy, daję ci słowo.

Dlaczego jednak tym palcem nie kiwał, nie mogłem zrozumieć.

Te jakieś interessa bardzo zawile i niejasne, szły oporem, dzień za dniem upływał, a biednemu Hipciowi nic się nie udawało, pomimo stosunków, znajomości, protekcyi, szalonego, jak mówił szczęścia do ludzi i najślusznniejszych pretensyj, z którymi przyjechał.

Ciągle mu gdzieś tam czekać kazano, ciągle obiecywano, zwodzono, wykręcano się...

— Eh, jak stracę cierpliwość, tak zrobię awanturę, jakiej świat nie widział!... odgrażał się czasami przy czarnej kawie, zapalając cygaro, rozumie się moje i to z tych najlepszych, które tylko dla wyjątkowych gości chowałem. — Popamiętają mnie—no!.. Ja im pokażę, co to żartować z Szuińskiego.

Komu, o co, dlaczego miał zrobić awanturę, nigdy się dobrze dowiedzieć nie mogłem.

Hipcio całe dnie biegał zaaferowany, zajęty,

papiery jakieś wydobywał, to chował do walizki, listy pisał, codziennie pożyczal odemnie na marki, na stemple, na łapówki, tłumacząc się, że mu gotówka już wyszła, że się z przysłaniem nowych funduszków spażniają.

— Nie masz pojęcia, ile mnie ludzie w życiu pozarywali; gdybym to wszystko poodbierał, mógłbym sobie do końca dni moich doczesnych spokojnie egzystować i palić codziennie takie havanna do obiadu. Chociaż ze mną, to tak: jest co zapalić, to dobrze—a niema, to drugie dobrze. Ty wiesz przecie, że ja nie jestem wybredny. Wszystko mi jedno, co jem i co piję. Mogę nawet przez trzy dni w usta nic nie włożyć, byłem miał szklanekę czystej herbaty lub filiżankę kawy.

Trochę przesadzał mój przyjaciel, bo obiadek lubił sobie dysponować i wykwentne, i obfite, a chociaż mnie je płacić kazał, garsonowi zawsze z miną wielkiego pana rzucał dwa złote na tackę.

W domu atoli codziennie najskrupulatniej wyciągał notyskę i zapisywał każdy grosz, który odemnie pożyczal.

— Mój Lolę, kochajmy się, jak bracia, rachujmy się, jak żydzi. Nie chciałbym cię pokrzywdzić — powtarzał za każdym razem—tyś człowiek pracy, to ja wiem, z nieba ci grosz nie spada. Musisz się dobrze naślęczyć nad stolikiem, zanim zarobisz na życie. Ty sądzisz, że Hircio nie rozumie tego?.. O mój przyjacielu, Hircio przeszedł także ciężką szkołę życia. Opowiem ci to kiedyś, będziesz płakał nade mną!...

Głos mu drżał z rozrzewnienia nad sobą sa-

mym; fularową chustką ocierał delikatnie kąciki powiek i szedł do lustra układać brodę srebrnym grzebieniem.

Niekiedy miewał chwile dziwnej czułości dla mnie.

— Żaden ojciec dla syna, brat dla brata, nie zrobiłby tego, co ty robisz dla mnie. Lolę, ja ci tego do śmierci, do grobowej deski nie zapomnę!—wolał, podnosząc dwa palce w górę, jakby niebo na świadka wzywał. — Kiedy Szuiński co mówi, to można mu wierzyć.

Co mi tam było po jego wdzięczności!..

Niechby sobie i słowa nie dotrzymał, byle te interessa raz skończył; ale im dłużej siedział, tém mniej widoków było ukończenia pomyślnie sprawy.

W domu zagospodarował się tak, jak gdyby nie on u mnie mieszkał, ale ja u niego.

Pietrek służący, słuchał go więcej, niż mnie; w krótkim czasie zawojował nas obu zupełnie.

Miał w sobie coś, co terroryzowało ludzi.

Nie śmiałem mu nigdy zrobić żadnej uwagi, nie tyle przez zbytnią delikatność, ale z obawy obrażenia jego dumy, dumy Szuińskiego de Brogi.

Zkąd u kaduka wyciągnął te jakieś Brogi!... wiedziałem przecie, że dóbr żadnych nigdy nie miał, ojciec był urzędnikiem pensjonowanym, a po śmierci nie zostawił majątku, bo sam Hircio się wygadał, że jeszcze za życia starego przepuścił całą schedę mu przynależną.

— Żył się trochę z fantazją — opowiadał — miało się za dużo szczęścia u kobiet, a za mało w dyabełka, no i pieniążki poszły. Ale to nie, com

użył, tom użył!.. Mnie-bo wszystko jedno, dukat czy grosz, ze wszystkiem dam sobie rady i do wszystkiego się potrafię zastosować. Ot i teraz—wiesz co?.. namyśliłem się, moję sprawę zawieszam na kołku, niech ich dyabli porwą, a ty mi wyszukasz jakie zajęcie i zostanę tu z wami, nie wrócę więcej. Co bądź—wszystko dobre, aby się gdzie ucześcić. Ja ci pokażę, jak ja umiem pracować!.. to dla mnie nie dziwota—zobaczysz.

Miałem mu tedy wystarać się o zajęcie; chciał przyjąć najlichszą posadę, napadła go naraz jakaś dziwna rezygnacya.

— Będę kamienie tłukł na gościńcu, jeśli potrzeba!..

Przyznaję się, że nie bardzo dowierzałem téj chęci do pracy, widząc mojego Hipcia dwie godziny przed lustrem, śpiącego do południa, a jedzącego z apetytem wykwintnego smakosza, chociaż się przysięgał raz po raz, że mu wszystko jedno „co do gęby jutro włoży;“ dzisiaj wszelako wybierał najlepsze kaski i najsmaczniejsze.

Co mnie najbardziej w Hipciu dziwiło, to przy pewnej dystynkcyi ta łatwość zawierania z każdym znajomości; znał po dwóch tygodniach wszystkich naszych sąsiadów z dołu i z góry, nawet jakiś lekki romansik po cichu zawiązał z modniarką z przeciwka.

Dzieci stróża nazywał po imieniu, w restauracyi witał się ze wszystkimi stałymi stołownikami, z każdym miał jakieś konszachty, interessa, każdemu jakąś przysługę wyświadczyć przyrzekał.

Wszyscy go krótko Hipciem nazywali, a na wszystkich umiał wywrzeć jakiś urok tych wielko-

pańskich pozorów, chociaż nikt nie wątpił, że ma do czynienia z... hołyszem.

Z hołyszem, powiedziałem?.. brzydki wyraz, ale skoro się go raz wyrzekło o moim przyjacielu, to niech zostanie.

Dziewczęta usługujące nam „pod gwiazdą“ były zachwycone Hipciem.

Nie wiem, z kąd im przyszło do głowy nazywać go „panem baronem!“

Co prawda, HIPCIO miał chwilami minę księcia; nie darmo kształcił się na dyplomata i kollegował z Hamil-beyem!..

Zbliżało się ku zimie, a téj nieszczęsnej posady dla mego przyjaciela nie można było „wytrzasnąć na poczekaniu,“ jak tego żądał.

Było wprawdzie miejsce u jednego ze znajomych mi dystrybutorów, warunki nieszczególne, zajęcie w sklepie za ladą przez cały dzień, do późnej nocy, krętaniny dużo, ciągle na nogach, ale w braku czegoś lepszego, aby się tylko „zacześcić,“ korzystniejsze to było od tłuczenia kamieni na gościńcu.

Poprzedniego wieczoru mój przyjaciel wygłaszał takie teorye szlachetne o pracy, o obowiązkach do niej każdego człowieka, tak napadał na pasożytów i pasibrzuchów społecznych, tak się oświadczał z gotowością robienia byle co, że byłem przekonany, iż z największą radością przyjmie moję propozycyą.

Jakżeż, sam własną ręką wczoraj chciał koniecznie nastawić samowar w nieobecności Pietrka, który się gdzieś był zawieruszył, aby mnie tylko przekonać, że się niczego nie leni i potrafiłby nawet posługami zarabiać na życie!..

Rozumie się, że nie mogłem pozwolić na tę upokarzającą rolę mojego kolegi, certowaliśmy się z kwadrans nad tym samowarem, aż się skończyło na tém, iż mi wreszcie pozwolił rozdmuchać węgle i zaparzyć samemu herbatę.

Po wędliny i bułeczki wszelako uparł się pójść koniecznie i po pół-godzinie wrócił, niosąc elegancko powiązane paczki z gracyą dandysa, który na wizytę przychodzi z kwiatkami i cukierkami dla narzeczonej.

— Po co mają ludzie się domyślać—mówił ze śmiechem—że Szuiński sam przyjacielowi po szynkę i po bułki do sklepiu biegał.. kto mnie widział na ulicy, był przekonany, że niosę z cukierni same łakocie. Pozory, mój Lolu, trzeba zachowywać przed światem; jak cię widzą, tak cię piszą.

Nie wiem, co mu się tego wieczoru stało; chciał mi koniecznie buty z nóg ściągać, szklanki pomyć i łóżka pościelić.

— Cóż ty myślisz, że ja tego nie potrafię? — mówił do mnie z emfazą — było się przecież na wozie i pod wozem. Ot, po co ty takiego nieponia, jak ten Pietrek trzymasz?.. szkoda pieniędzy. Jabym ci to samo robił i lepiej, a miałym tę pewność, że ci się czémś odwzięczam i za darmo chleba twego nie jem. Żaden Szuiński, ilu ich było, nie był nikomu ciężarem!..

Perorował tak do późna, ale ostatecznie usnął na łóżku, które mu odstąpiłem, bo się skarżył, że mu na szezlongu za twardo i za krótko; przyzwyczajony był całe życie do materaców na sprężynach,

jak wszyscy Szuińcy, jakżeż mogłem pozwolić, by spał bez materaca!..

Mnie tam to różnicy wielkiej nie robiło.

Na drugi dzień tedy, wróciwszy do domu z rozpromienioną twarzą powiadam do Hipcia:

— No, mój drogi, mam dla ciebie zajęcie.

Porwał się z kanapy i więcej tonem wyrzutu, niż zadowolenia, zawołał:

— Przecież!..

— Widzisz, to trudno dziś o kawałek chleba, przebiierać niema w czém.

— Rozumie się, rozumie się; nie potrzebujesz mi tłumaczyć. Cóż to za zajęcie?..

— Nieszczególne, ale aby się zaczepić i nie marnować czasu...

— Pewnie, pewnie—gdzież to, w banku jakim, przy kolei?..

— Nie, niestety, w dystrybucyi tymczasem.

Hipciowi twarz się przedłużyła, aż mu szkiełko z oka wypadło.

— Gdzie?.. w dystrybucyi powiadasz?

— Tak, u Lewenbauma i Sp.

— Cooo?.. u żydów? a to piękna propozycja!.. dziękuję ci, ładnie traktujesz swojego przyjaciela.

— Ależ mój kochany, tu chodzi o kawałek chleba...

— No, jeszcze tak źle nie jest ze mną, abym dla kawałka chleba miał tabakę sprzedawać i za lada dwadzieścia groszy pierwszemu lepszemu oberwańcowi papierosy podawać.

Zacząłem mu tłumaczyć, że żadna praca nie

ubliża, powtarzałem prawie słowo w słowo teorye, zasłyszane wczoraj z wymownych ust Hipsia.

— Nie, mój kochany, żaden Szuiński u żydów dotąd nie służył i nie będzie! — przerwał mi z taką godnością, że aż mnie mrowie przeszło.

Kto wie, mozem ja głupstwo jakie palnąć — pomyślałem sobie w duchu.

— Jak chcesz — rzekłem nareszcie — nie przyjmuj mojej propozycji, ale co będzie?.. posad takich, jakieby były godne ciebie, niema na zawołanie.

Hipsio zrobił minę urażonego księcia, rękę założył za klapę od surduta a drugą oparłszy się z gracyą o krzesło, mówił jakby z trybuny:

— Rozumiem dobrze, co może znaczyć to naleganie z twój strony; wiem, że ci obecność moja ciążyć zaczyna, poznałem się na tém od dawna, ale sądziłem, że jako najlepszy twój przyjaciel, zasługuję na pewne względy u ciebie. Tę łyżkę strawy i tego kąta, których mi nie odmawiałeś dotąd, nie chcę za darmo. Uprzedziłem cię odrazu. Zwróćę wszystko co do grosza. A teraz dowiedz się, że jeśli w pierwszej chwili dotknięty byłem boleśnie twoją propozycją, to nie ze względu na moją miłość własną; los ludzi rozmaicie doświadcza i pokory uczy. Nie, chciałem odrzucić proponowaną mi służbę...

— Ależ...

— Pozwól, służbę powtarzam, ze względu... na ciebie. Nie chciałem ci wstydu robić za ladą kupiecką, nie chciałem, aby powiadano, że twój najlepszy przyjaciel wyciera kąty po żydowskich dystrybucjach.

— Ależ Hipsiu...

— Pozwól, jeszcze słowo. Chcę ci dowieść, że żadnej pracy się nie powstydzę i zniosę nawet upokorzenie dumy własnej, aby cię uwolnić nadal od ciężaru, jakim był dla ciebie jedyny twój przyjaciel!..

To rzekłszy patetycznie, wziął za kapelusze i wyszedł ze słowami:

— W tej chwili idę się godzić z Lewenbaumem na jakichkolwiek warunkach.

Byłem jego przemową skonfundowany, chciałem biedz za nim i przeprosić go, wytłumaczyć się, że ubliżyć mu nie miałem zamiaru, zapewnić, że mi nie ciąży i że do końca życia możemy tak z sobą razem mieszkać pod jednym dachem.

Przykro mi było, że dotknąłem mojego przyjaciela.

W istocie, proponować komuś, co skończył Akademią oryentalną (nie byłem co prawda pewny tego, czy skończył...), aby sprzedawał papierosy, wydawał reszty z rubla i kłaniał się za ladą wszystkim kundmanom p. Lewenbauma i Sp., to trochę za śmiało.

Użyłem sobie też bardzo wiele wyrzutów, gdy po godzinie Hipsio wrócił do domu zły, wzburzony, chmurny, zapięty pod samą szyję i z rękoma w kieszeniach zaczął się przechadzać dużemi krokami po pokoju.

— Tego tylko brakowało, aby mi taki żyd, taki szmajgeles dawał nauki! — powtarzał — ślicznie mnie wykierował!.. Wiesz, co ta kanalia, zobaczywszy mnie, powiedział, wiesz?..

— No, cóż takiego?

— Że pomocnika z monoklem w oku nie śmiał-

by trzymać za swoją ładą. Osiół, on myśli, że ja się napraszam do sprzedawania jego machorki? Nawymyślałem mu, co się wlało. Niech wie, że to z Szuińskim sprawą..

Potém zaczął zbierać swoje drobiazgi i układać w walizce.

— Cóż ty robisz?—zapytałem, patrząc na to.

— A nic, pakuję się.

— Jakto?

— Pożegnamy się mój drogi—odrzekł z pathosem—nie chcę ci dłużej zawadzać. Nie znasz jeszcze Hipsia, mój przyjacielu!..

No, i musiałem go prawie po łokciach całować, aby mi tego despektu nie robił i nie wyprowadzał się skutkiem nieporozumienia.

Przecież powinien wiedzieć, że go uważam, jak przyjaciela i czém chata bogata, tém rada mu jak najdłużej.

Kosztowało to dużo namowy, próśb, przekładań, aż nareszcie zmiękł.

— Mój Lolu—rzekł, ściskając mnie za rękę ze wzruszeniem — przebaczam ci i nie chcę robić tój przykrości, zostanę jeszcze, skoro tak chcesz koniecznie, ale na bardzo krótko. Nie przeżyłbym tego, abyś mi sam miał dać do poznania, żem ci ciężarem.

I został, zrobił mi „tę przyjemność.“

Niechby tam sobie siedział, jak długo chciał; dopóki miałem na tyle, iż nam dwóm starczyło, póty nie byłbym się skarżył, ale przyszedł taki dzień, iż dobrałem się do płótna w kieszeni!..

Zdarzają się takie dni w życiu ludzkim!..

Wieczorem Hipsio dyskretnym półgłosem zaga-

bnął mnie, czy nie mógłbym mu „jeszcze rublem wygodzić;“ miał się z kimś spotkać w ważnym interesie w cukierni, a nie miał za co nawet herbaty się napić.

Ze wstydem przyznałem mu się, że jestem goły, jak święty turecki.

Nie chciał uwierzyć.

— Żartujesz... tybyś nie miał?.. rubla?.. daj choć kilka złotych.

— Kiedy ci mówię, że nie mam; jutro na bułki i śmietankę zaledwie nam wystarczy.

Popatrzył na mnie z ironicznym uśmiechem i wyszedł, pogwizdując.

Na drugi dzień rano, obudziwszy się, zobaczyłem Hipsia wbrew zwyczajowi na nogach, ubranego zupełnie, palącego już papierosa przed lustrem.

— Dzień dobry Hipsiu.

— Dzień dobry Lolu.

— Wstałeś już?

— A wstałem, nie tak, jak ty spiochu. Ależ to z ciebie leniuch!.. ty lubisz się wylegać.

— Gdzież tam!..

— No, no!.. gdyby nie to biuro i konieczność wstawania rano, to spałbyś do wieczora.

Mój Boże!.. on mi to wyrzucał, on, co o południu zaledwie oczy przecierał!..

— Cóż, wytrzasnąłeś zkąd grosze? — zagadnął po chwili.

Musiałem się przyznać, że nie.

— Ślicznie z twojej strony; cóż teraz będzie? Będziemy chyba pościć przez cały dzień?..

— Eh tak znów...

— Wiesz co—przerwał mi nagle—jabym wydo-
stał pieniędzy, ale pod warunkiem.

— No?

— Że i mnie coś z tego wpadnie.

— Jakto?

— Pożyczysz mi połowę?

— Jeśli ci potrzeba tak bardzo...

— Potrzeba, nie potrzeba. Pieniędzy zawsze
potrzeba. No, chcesz?

— A zkadże ty weźmiesz, pożyczysz u kogo?

— Nie—zresztą, co cię to obchodzi, byle gro-
nie były. Oho!.. Hippiu do tego majster? Więc
chcesz pieniędzy?.. zwrócisz, kiedy będziesz miał.
Dobrze?..

Byłem ciekawy, zkad mój przyjaciel mógł za-
czepnąć fundusze dla siebie i dla mnie; brałem to
z początku za żart; ale Hippiu nie żartował, wrócił
z miną tryumfującą właśnie, kiedy się myłem i kle-
piąc mnie po po ramionach jedną ręką, drugą po-
trząsał paczką banknotów.

— A co?.. Hippiu zuch!.. Prawda?... Są gronie,
oto masz twoją połowę.

— No, no!.. to jakiś cud—zauważyłem.

— Żadnego cudu niema — odrzekł—ot, po pro-
stu poradziłem sobie, jak każdy, co ma trochę oleju
w głowie.

Zaczęliśmy układać plany na cały dzień, na-
brawszy humoru przy pieniądzach.

Kończyłem się już ubierać, miałem tylko wło-
żyć zegarek do kamizelki, pugilares do kieszeni
i wyjść.

— Hippiu—rzekłem— niema tam na stoliku ze-
garka?

— Niema.

— A gdzie on być może?..

— Gdzie?.. a w zastawie — odparł mój przyja-
ciel z najobojętniejszą miną.

— W zastawie?..

— Tak; ja zegarek zastawiłem przecież dziś
rano.

— Swój?..

— Nie, twój—mój już dawno uczy się po he-
brajsku.

Oślupiałem.

— Cóżes ty myślał, że ja z powietrza te ruble
chwyciłem?—zaczął mój przyjaciel—na słowo dzisiaj
nie dają, musiałem fant jakiś zanieść. Zaniósłem two-
ją cebulę i już. Cóż tak oczy wytrzeszczasz?.. Wo-
łałbyś chodzić przy zegarku, a z pustkami w kiesze-
ni?.. Jutro czy pojutrze będziesz miał znowu grosze,
to go wykupisz—oto kwit.

I podał mi nowy kwit z lombardu na zegarek
złoty z dewizką. Nie wiedziałem, czy skrzywić się,
czy uśmiechnąć na tę nowinę.

Mój przyjaciel widocznie odgadł wrażenie, ja-
kie ta wiadomość na mnie sprawiła, bo wzruszając
ramionami, cierpkim głosem rzekł po chwili:

— Wiesz Lolu, że z ciebie dziwny człowiek.
Ja sobie łamię głowę, żeby ci wygodzić, biegam po
lombardach, zrywam się raniuteńko na równe nogi,
kompromituję się w zastawie, a ty zamiast mi po-
dziękować, stroisz jeszcze dąsy. Daję ci słowo, nie

znasz się nic a nie na przyjacielskich przysługach. Na drugi raz, rób sobie sam, co ci się podoba.

— No tak... niby masz rację — zacząłem prze-bąkiwać, obawiając się rozdrażnić jeszcze bardziej poirrytowanego Hipcia — dziękuję ci, jeśli uważasz, że...

— Daj pokój, nie zrozumiemy się widać nigdy... Powiem ci tylko tyle: nie umiesz ocenić dobrze prawdziwej przyjaźni. To bolesne!..

I znowu musiałem go przeproszać, a zarazem dziękować jeszcze za to, że mnie pozbawił zegarka. Mój przyjaciel miał dar przekonywania mnie o mojej niewdzięczności i niesłusznych poglądach na to, co właściwe, a co niewłaściwe w przyjaźni. On się znał lepiej na tém.

Mimo wszystkie ustępstwa z méj strony, stosunek nasz z Hipciem zaczął widocznie tracić swą równowagę; coraz bardziej oddalaliśmy się od siebie, żyjąc pod jednym dachem. Po całych dniach nie rozmawialiśmy z sobą; przyjaciel mój zeszedł do roli zwyczajnego lokatora, ale lokatora, który komornego nie płaci; unikał mego towarzystwa teraz, wracał późno do domu, wychodził po mnie, znalazł sobie innych przyjaciół i miał minę taką, jak gdyby czuł urazę do mnie w głębi serca.

Ale nie wyprowadzał się; nie było już mowy o przenosinach. Najbardziej mnie dziwiło, że się obchodził bez moich pieniędzy; bardzo rzadko prosił, aby mu wygodzić małą sumkę. Dawał mi niejako do poznania, że Szuiński umie sobie sam radzić i nie potrzebuje mojej łaski.

Pan radca Gruszkiewicz, z którym dawniej sto-

lowaliśmy się razem „pod Gwiazdą,” spotkał mnie pewnego dnia i zagadnął już zdaleka:

— A dobrodzieju, powinszować, powinszować...

— Czegóż to panie radco?

— Jakżeż, ważny ewenement w rodzinie; słyszę, wydajesz siostrę za męża.

— Jaką siostrę?.. to chyba pomyłka; nie mam żadnej siostry.

— Żartuj zdrów dobrodzieju — zaśmiał się radca — żartuj zdrów; przecież wiem to od twego przysłego szwagra.

— Co za szwagra?..

— A no, od pana Hipolita.

— Szuińskiego?..

— A nieinaczej, przecież już dom urządza.

Musiałem mieć okropnie głupią minę w tej chwili, bo pocziwy radca uśmiechnął się znacząco, palcem mi pogroził i przechodząc dalej, zawołał:

— Ej, figlarz, figlarz z dobrodzieja!..

Nic nie rozumiałem. Zkąd się nagle Hipciowi na ten koncept zebrało, żeby mi siostrę niebywałą wystraszać, żeby się za mego szwagra rekomendować, żeby o urządzaniu domu rozpowiadać.

— Ej, figlarz, figlarz z tego pana Hipolita — myślałem — brać tak na fundusz starych emerytów!

Wróciłem do domu z postanowieniem zażądania wyjaśnień w téj mierze od mego przyjaciela; jak zwykle teraz, nie zastałem Hipcia w mieszkaniu.

Pietrek mi tylko powiedział, że do pana Szuińskiego był jakiś żyd ze trzy razy i domagał się koniecznie, aby go wpuścić do pokoju; chciał meble obejrzyć.

Jakiś jegomość także zostawił kartkę do Hipsia.
Na kartce stały krótkie, ale wymowne wyrazy:

„Szanowny panie! czekać będę do jutra—jutro
ostatni termin, oddam sprawę adwokatowi.

Z szacunkiem jeszcze

Żymajski.“

Przyszła mi myśl do głowy, czy to przypadkiem nie wierzyciele mojego Hipsia zaczynają go tak gorliwie odwiedzać?..

Ten żyd, ciekawy tak bardzo mojego umeblowania, najwięcej mnie intrygował.

Hipcio pierwszy raz dnia tego nie nocował w domu.

Na drugi dzień spotkaliśmy się przy obiedzie.

Smutny był, ponury, małowówny, apetytu nie miał, wypił tylko filiżankę barszczu, zakręcił się niby za dziennikami w drugim pokoju i nie wrócił więcej do mego stołu.

— Coś się święci!..—pomyślałem—o złe!..

Następnych dni kilka mój Hipcio zczezł, jak kamfora; przychodził tylko w mojej nieobecności zmieniać bieliznę i pytać Pietrka, czy nie było jakiego listu do niego, lub papieru.

Nie mogąc go osobiście przydybać, zostawiłem do niego kartkę z zapytaniem, jak sobie wytłumaczyć jego postępowanie, co porabia, gdzie nocuje, co odpowiadać tym, którzy się zgłaszają do mieszkania o niego?

Odpisał mi na swoim herbowym bilecie wizytowym:

„Mój drogi, jestem pełnoletnim i wiem, co ro-

bię. Nikt się mną nie opiekował dotychczas i opiekować nie potrzebuje. Bądź spokojnym o mnie

Twój

Hipolit de Brogi Szumiński.“

Podpis miał ministeryalny, zakrętas pod nim umieścił, jak na jakim królewskim dekrete; po rozmachu poznałem, że był w złym humorze. Szorstki ton odpowiedzi dotknął mnie nieprzyjemnie; przecież chyba nie zasłużyłem na to?..

Znowu dni kilka tak upłynęło, a Hipcio nie pokazywał się u mnie; pewnie się wstydził stanąć przedemną teraz po swym bilecie.

Nareszcie pewnego wieczoru wracam do domu i zastaję na stoliku kartkę przyszpiloną do umbrelki na lampie. Czytam i zimno mi się robi, przecieram oczy i wierzyć im nie chcę. Na kartce te słowa pisane ręką Hipsia znajduję:

„Mój drogi, jedyny przyjacielu!.. idę skończyć, stało się... takie życie dłużej byłoby nie do zniesienia. Mogę się złamać, ale giąć się nie potrafię. Przebac mi, bo masz mi wiele do przebaczenia... Takim, jak ja, się przebacza. Twój do śmierci

Hipcio.“

Zimny pot wystąpił mi na czoło; byłoby to prawdą?.. Hipcio, Hipcio szedł skończyć, Hipcio popełniał samobójstwo?!

Czemu nie?.. mówił to niejednokrotnie, że dwa łuty ołowiu leczą człowieka najlepiej ze wszystkich cierpień i dolegliwości.

Bóg wie, co mu się stało, co go tak przygnębiło w ostatnich czasach; zraniona duma, troski, zwątpienie, rozpacz, albo ja wiem!..

— Pietrek, Pietrek! — wołałem, jak opętany—
kiedy tu był pan Szuiński?

— Nad wieczorem.

— I cóż mówił?

— Nic nie mówił, proszę łaski pana, tylko za-
brał pudełko z szafy...

— Co, pudełko z szafy... z pistoletami?

— Musi być z pistoletami i walizkę...

— Walizkę?

— A tak, i palto pańskie zimowe...

— Moje palto?

— Właśnie, i parasol...

Nie słuchałem już więcej, biegając po pokoju
z kąta w kąt... Katastrofa zdawała mi się nieuni-
knioną; w pierwszej chwili nie miałem czasu się za-
stanowić, że mój zrozpaczony przyjaciel wybierał się
skończyć jakoś w bardzo wygodnych warunkach,
w zimowym palcie, pod parasolem.

Ale zamiar miał chyba bardzo stanowczy, sko-
ro zabrał aż parę pistoletów, nowych, gwintowanych,
w pudle skórzanym, z wszystkimi przyborami do
nabijania.

Gdyby jeden chybił, chciał widocznie mieć dru-
gi pod ręką... tak, nieinaczéj, tylko do czego ten pa-
rasol, także nowy i także mój?... może, aby się pod
nim zastrzelić, niby pod namiotem.

Palto zaś zapewne umyślnie wdział, dla niepo-
znaki, zmylenia poszlak przy obdukcji.

A jednak... jednak ta tragiczna sytuacja miała
w sobie coś niejasnego, zagadkowego, jakąś tajemni-
cę zakrytą dla mnie, który nigdy w życiu do bar-
dzo domyslnych nie należałem.

Kiedy Pietrkowi zwierzyłem moje obawy co do
Hipcia, chłopak z miejsca ryknął takim płaczem, aż
mi się serce ścisnęło.

— Ot widzisz, widzisz Pietrek, jak ci żal pa-
na Szuińskiego!—rzekłem do niego, czując także łzy
w oczach.

A on mi na to:

— Aj, proszę łaski pana, więcej mi żal tych
siedmiu rubli—których już do skonania pewnie nie
odbiorę...

— Jakich siedmiu rubli?... co ty pleciesz?

— Nic nie plotę, prawdę mówię, jak na sądzie
Boskim—siedm rubli, dwa po trzy i jeden drobnymi,
pożyczyłem przecie panu Hipciowi, kiedy to przestał
nocować u nas... O rety, o rety! calusienką oszczę-
dność sobie zmarnowałem!..

W takiej chwili wyszła na jaw pierwsza tajem-
nica mojego przyjaciela; biedaczysko, najdumniej-
szy z Szuińskich musiał od służącego pożyczać pie-
niądze, oh!.. jakże go to boleć musiało!

Jednak nie było czasu zastanawiać się nad tém;
rozbiegliśmy się z Pietrkiem w dwie przeciwne stro-
ny, do policyi, po cyrkulach, na Pragę, do Łazienek,
wszędzie, gdzie tylko jakie miejsce osławione przez
samobójstwa się nam przypomniało, aby odszukać
nieszczęsnego Hipcia, wyrwać mu morderczą broń
z ręki, przeszkodzić zamiarowi okrutnemu, jeśli by go
jeszcze nie spełnił, a gdyby było za późno, zabrać
trupa, pistolety, parasol, palto...

Boże, co za poziomy zwrot myśli!.. palto, para-
sol?... czyż one warte więcej od Hipolita de Brogi
Szuińskiego, czyż one mogą mi wrócić przyjaciela?...

nie mogą, a na odwrót przyjaciel mój ich mi zwrócić nie może.

I nie zwrócił do dnia dzisiejszego.

Tydzień cały przeżyłem w śmiertelnej trwodze, w oczekiwaniu, w poszukiwaniach, rozchorowałem się ze zmartwienia, a po tygodniu, pewnego ranka, otrzymałem list przez posłańca następującej treści: „Kochany Lolule!”

Myslałem, że trupem padnę; w imię ojca i syna!.. umarli zmartwychwstają. Co więc, bawię się w korespondencją.

„Kochany Lolule!” (stało w liście najwyraźniej). „Przebac przyjacielowi, że nie miał siły wykonać strasznego zamiaru... Oh, to życie jest okropnym ciężarem!.. Siedzę w cukierni na rogu i czekam Twe-go zmiłowania; od trzech dni nie jadłem, nie spałem, umieram z głodu i znużenia. Nie jestem godny Twe-go widoku, ale po raz ostatni na Twoję litość zasługuję. Przyszlę, co możesz—bo posłaniec nie zapłacony i za herbatę się należy... Przebac jedynemu przyjacielu... Wszystko naprawię, albo... albo... nie usłyszysz więcej o Twoim

Hipciu.”

P. S. „Została u ciebie moja papierośnica szyldkretowa, bądź łaskaw zwrócić mi ją przy sposobności, bo mi się teraz wszystko przydać może.”

W pięć minut później stałem już oko w oko z moim przyjacielem, który starał się zachować spokój i godność niedoszłego dyplomaty, zdemaskowanego na wszystkich punktach!

Oczy miał w ziemię spuszczone, wargi zacięte,

ręce oparte o stół; stał i czekał moich pierwszych słów.

Ja jestem z natury człowiek bardzo spokojny i wiele znieść mogący, ale gdy mi się miarka przebierze, wtedy wybucham i zmieniam się do niepoznania. Cukiernia, czy nie cukiernia, patrz, czy nie patrz, słuchają czy nie słuchają, kiedy już wpadnę w passy, to oddaj się Bogu!..

— Postąpiłeś nikczemnie!—syknąłem takim jakimś tonem, że sam nigdy go w sobie nie przypuszczałem, aż się Hipciowi oczy i usta nagle otworzyły jednocześnie.

Spojrzał na mnie zdziwiony, cofnął się o krok i przymrużając powieki, jakby mnie mierzył pogardliwym wzrokiem, rzekł:

— Więc ty wolałbyś, abym dla twojej przyjemności naprawdę sobie w łeb strzelił?.. to zabawne!

— Milcz!..—zawołałem z niepohamowanym gniewem jakimś—panie Szuiński, jesteś.. jesteś prostym szuja!

Użyło mi trochę; w zapędzie posunąłem się za daleko, ale tak długo tamowane oburzenie musiało raz przecież wybuchnąć.

Hipcio obrzucił mnie od stóp do głowy piorunującym spojrzeniem, założył kapelusz na głowę i rzekł zimnym, jak lód, głosem:

— Po tych słowach, zrozumiesz pan, że między nami—kwita z przyjaźnią!..

Odwrócił się z dumą plecami i wyszedł z cukierni.

Nie miałem odtąd przyjaciela—Bogu dzięki, ale i pistoletów, i palta, i parasola, i pieniędzy, zwróconych najbliższemu wierzycielowi Hipcia, nie miałem.

NOCNA ZMORA.

NOWELLA.

P. JADWIDZE BRZEZIŃSKIEJ

poświęca

AUTOR.

Domek pani Dulskiej stał w jednej z bocznych uliczek miasteczka, które od czasu zaprowadzenia w tych stronach kolei żelaznej, podniosło się, jak mówiono, do niepoznania, urosło jak na drożdżach.

Z każdym rokiem nowe jakieś zmiany zachodziły na lepsze, przybywało budynków rozmaitych, sklepów, kramów, restauracyj, nawet komuś przyszła słodka myśl do głowy założyć cukiernię.

Coraz więcej białej barwy przeważało, a tradycyjalne błoto, w którym całe pokolenia kaczek i nierogaczyny ongi wychowywały się pospołu z dziatwą na rynku i w wązkich ulicach bez bruku, ginęło niemal w oczach zadziwionych mieszkańców.

Wszystko to sprawiła cywilizacja, przyjeżdżająca kilka razy dziennie na ognistym wozie po żelaznych szynach kolejowych i zatrzymująca się co najwyżej na pięć minut pod progiem niepozornej miejsciny, którą spotkał zaszczyt nazywania się stacją trzeciej klasy.

Domek pani profesorowej Dulskiej stracił na tym; dawniej uchodził za najpiękniejszy okaz miejscowej architektury, z którym mało co mogło rywalizować pod względem dachu, okien, białości ścian i furty z dzwonkiem, mogącym od biedy służyć za

sygnaturkę na wieży, a teraz—zmalął, spowszedniał, spokojniał tak, jakby był starym, biednym gracyalistą, skulonym w kącie w obec szczęśliwszych od niego dorobkiewiczów.

Wewnątrz za to nic się od wielu lat nie zmieniło. Gdyby nieboszczyk professor był jakim cudem wstał z grobu i wszedł do swego dawnego mieszkania, byłby każdy sprzęt zastał na tém samém miejscu, począwszy od stolika z zieloną lampą w kwiaty, a skończywszy na czarnym skórzanym prądziadowskim fotelu przy oknie, na którym siadywał do drzemki poobiedniej i w którym po raz ostatni zasnął na wieki, szepnąwszy gasnącym głosem jeszcze „Amen,“ gdy żona skończyła u jego kolan odmawiać modlitwę za konających. Nic się nie zmieniło, bo wszystkiego jak relikwii świętych pilnowano w tym cichym, białym dobrym domku, co przykucnął przy ziemi, niby starowina na klęczkach, osłoniiony skrzydłami anioła stróża.

Jedna, duża, rozsochata lipa, naprawdę niby anioł jaki o zielonych w lecie skrzydłach, otulała go swemi ramionami i trzymała w objęciu, a potężne jój konary sięgały aż poza dach, zupełnie jakby za szyję trzymały przyjaciela, zaglądając mu troskliwie w oczy przez długie, długie lata.

Kilka gałązek zwieszało się do jednego z okien narożnych, obrzuconego zielonym winogradem, jak gdyby ze szczególniejszém upodobaniem dzień i noc wpatrywało się w izdebkę najmiłszą w całym domku. Była to „izdebka chłopców,“ jak mówiono powszechnie, bo w niej chowali się, rośli, uczyli i przebudzali najczęściej dwaj synowie nieboszczyka profesora.

Taka sobie izbina, jak tysiące innych, bielona, z podłogą sosnową, z piecem kaflowym, z dwoma łózkami żelaznemi, szafką na książki pod ścianą, czarnym stolikiem pod oknem i trzema krzesłami wyplatane-mi, a jednak ta izba była skarbcem całym dla ojca i matki, bo w niej zamykało się wszystko, co na tym świecie najlepszego. najdroższego i najszlache-tniejszego mieli.

Takich chłopców ze świecą pod Bożem słońcem nie łatwoby znaleźć...

Było między nimi kilka lat różnicy, ale to już Pan Bóg umyślił tak dał, aby w młodszym odnawiało się i powtarzało to wszystko, co starszy z wiekiem tracił.

— Z tego Józia będzie filozof—mawiał nieboszczyk Dulski, patrząc na swego pierworodnego syna, gdy bosemi nóżkami, w białej sukience dziecinnej, chodził po pokoju z miną poważną i zamyśloną nad wiek i przypatrywał się wszystkiemu dużemi, niebieskimi oczyma, jakby się nad wszystkim zastanawiał głęboko.

Czasem tylko uśmiechnął się niespodzianie i rączkami gestykulując, zaszczebiotał coś nagle, jakby Archimedesowe „eureka!“ i gawórzając niezrozumiałym językiem, paluszkami wskazywał na muchę latającą u szyby, lub smugę światła słonecznego, w którym jak miryady złotych punkcików, migotały pylin-ki kurzu wirowym ruchem.

Nieraz znów rozsiadał się na podłodze i jak botanik z zawodu, przypatrywał się kwiatkom, ziołom, liściom, milczący i zatopiony w swoich obserwacyach dziecięcych.

— Józiu, co ty tak patrzysz? — pytała matka, nachylona nad płową główką swojego jedynaka, a dzieciak strojąc dzióbek, jak pisklę, odpowiadał:

— Mu... ba... cacy...

Ktoby to był zrozumiał!.. matce jednak się wydawało, że rozumie i codziennie ojcu po powrocie do domu miała co opowiadać, jaki ten Józiek sprytny chłopiec się robi i jaki rozsądny.

Cudowne dziecko!..

Kiedy się potem urodził Franio w lat kilka, toż było nowych sto pociech!

Franio nie miał na filozofa kwalifikacyi; w kilka miesięcy po urodzeniu, przemyślał już tylko nad tém, jakby sobie całą piastkę w buzię wsadzić i miał ogromną chęć odgryźć sobie wszystkie paluszki u nogi dziąsełkami, a po roku największą przyjemność znajdował w tém, by kudłatą Filutkę chwycić za ogon—koniecznie za ogon, dlatego pewnie, że był zawsze zadarty i podobny do pióropusza, jaki braciszek Franio nosił na stosowanym kapeluszu, który mu codziennie ze starych gazet ojciec układać musiał.

Józio czasem w przystępie wielkiej łaskawości wkładał swój kapelusz na głowę braciszкови młodszemu, który wytrzeszczał wtedy oczki, główką kręcił, nadziwić się nie mógł temu czemuś i miał wielką ochotę zedrzeć sobie z głowy papierową kopułę, powtarzając raz po raz z wielką stanowczością:

— Ne... ne... ne...

Pocieszne to były sceny. Ale kto tam o nich lepiej od matki może pamiętać, kogo by to i obchodzić tak mogło! Ona jednak pamiętała wszystko,

pierwsze słowo wymówione przez ich dzieci, tak samo, jak chowała pierwsze, poplamione i pomięte kancjiki obu chłopców, w których uczyli się stawiać pierwsze kreski, jak zbierała co roku pięknie sztychowane powinszowania dla ojca na ozdobnych „la-urkach“ i wszystkie, wszystkie listy Józia od czasu, gdy już dorosłym młodzieńcem wyjechał z domu na studia uniwersyteckie.

Każdy z nich zaczynał się słowami: „Najdroższa mamuniu!“ i przy każdym oczy jęj łzami zachodziły i każdy nosił ślady pocałunków jęj i łez, łez radości i rozczulenia.

Dobre dzieci, to niebo na ziemi, błogosławieństwo samego Boga.

Całe miasteczko zazdrościło professorowej takich synów, zwłaszcza tego Józia—patrzano na niego od maleńkości, każdy uśmiechał się przyjaźnie, serdecznie, życzliwie, przy spotkaniu z nim, jakby w tym uśmiechu chciał powiedzieć:

— Jak się masz Józiu, Bóg z tobą Józiu, cieszę się, że cię widzę!..

A jak się zajmowano wszystkiém, co go dotyczyło; taki „kawaler“ był przecież sławą swego rodzinnego gniazda, za wzór go stawiano przy każdej sposobności, przepowiadano karierę najświetniejszą; mówiono, że zajdzie daleko.

Przez ten długi rok z okładem, który spędził daleko od domu matki, na naukach, w szkole, najważniejsze pytania zadawane professorowej, brzmiały zawsze jednakowo:

— A cóż tam Józio?.. dawno miała pani list od niego?.. czemu nie przyjedzie na wakacje?

Czemu?.. to łatwo pytać. Dla biednej matki utrzymanie dwóch synów, było ciężarem wielkim; i tak ledwie go udźwignąć mogła. Setki mil prze-dzielały ją z jej najdroższym chłopcem; albo to ko-lój darmo przewozi ludzi!.. Taka podróż tam i napo-wrót, to tyle, co kilka miesięcy życia studenckiego. Jak tu o nią myśleć biednemu akademikowi.

Przyszły wakacje, była sposobność przyjechać, ale trafiła się dobra lekcya gdzieś na wsi, w boga-tym domu, na korzystnych warunkach i chłopak po-jechał uczyć drugich, aby sam miał się za co uczyć następnie. Nie zobaczył matki i brata, rodzinnego domku, znajomych w miasteczku. Przyjedzie na przy-szły rok, może na jakie święta, może na wilią spa-dnie niespodzianie, zaoszczędziwszy trochę grosza z lekcyj.

Pracować musiał coraz więcej, bo coraz krót-sze listy pisywał, ale regularnie co miesiąc dawał znać o sobie.

„Bądźcie o mnie spokojni—pisał do matki i bra-ta—jakoś ja sobie dam rady, świat przecież nie pu-stynia, dobrzy ludzie są wszędzie.“

Kiedyś znów wspominał, że czuje w sobie ja-kieś nowe siły, bo znalazł źródło „żywěj wody,“ z której pije teraz pełną dłońią i widzi coraz jaśniej, ale o tém trzebaby długo i szeroko mówić, a na pisa-nie czasu mało.

Professorowa każdy list syna czytała po dzie-sięć razy; niekiedy jej się zdawało, że coś w nim niezrozumiałego się mieści, przecierała oczy, głowę z boku na bok przechylała, wpatrując się w pismo, jakby w hieroglify, wołała młodszego syna i mówiła:

— Mój Franiu, co to on rozumie przez to a przez to...

Wyrósteł, choć sam nie dobrze zdawał sobie sprawę z niektórych zwrotów i wyrażen brata, tłumaczył matce wszystko jak najlepiej.

Dumny był i on z tego Józia, akademika, po-chlebiało mu, że będzie miał brata uczonego, doktora, znakomitość; kochał go z całej duszy a instykto-wnie szanował, jako starszego.

On, tak samo, jak matka, wytworzył sobie po-jęcie jakiegoś ideału wcielonego w Józiu, zwłaszcza od czasu dłuższej rozłąki, roił Bóg wie co za pię-kne plany na przyszłość, które opierały się zawsze o brata.

Nie było też piękniejszego dnia w domku pro-fessorowej, jak owego wtorku, kiedy ni ztąd, ni z owąd, nadszedł telegram:

— „Przyjeżdżam pojutrze nocnym pociągiem, Józef.“

Zima była na dworze, początek grudnia, ad-went, ale Dulskiej po otrzymaniu telegramu wydało się, że nagle wszystko do koła białem kwieciami za-pachniało, wiosenne blaski oblały ziemię, „Alleluja“ śpiewało całe przestworze, nawet słońko złościć się ubrało, niż codziennie i mrugało do niej z poza chmur szarych, jakby mówiło:

— Józio przyjeżdża... winszuję ci!

Franek spałowski cały, wróciwszy ze szkoły i przeczytawszy depeszę brata; czupryna, jak szczot-ka podniosła mu się na głowie, miał ochotę kozioł-ka wyrzucić na podłodze, ale sobie w porę przypo-mniał, że to tylko szewskie chłopaki, co nie mają

braci w uniwersytecie, w taki sposób swoje zadowolenie objawiać zwykły. Powściągnął się zatem z powagą i tylko ręce założywszy w kieszeń, gwizdać zaczął z fantazją, aż mu matka musiała usta ręką zatkać.

— Czegóżeś taki kontent?—pytała niby zadziwiona, a sama byłaby z nim razem gwizdała z radości i szczęścia.

— Jakże nie mam się cieszyć — Józio przyjeździe!..

I rzucił się matce na szyję z uściskami, jak szalony...

Nigdy powolój nie pelzały godziny, leniwiej słońce nie wschodziło i nie zachodziło, jak w ciągu tych dwóch dni wyczekiwania. Rok cały wydawał się krótszym od téj doby. Takiej długiej środy i czwartku, chyba od stworzenia świata nie było!

W domku professorowej wrzało, jak w kotle. Gdyby król miał zjechać z wizytą do biednej wdowy, nie robionoby więcej przygotowań na jego przyjęcie. Wszystko się odświeżało, ozdabiało, odkurzało i myło, jak na święto.

Dla Józia wszystko w tych dwóch dniach przygotowań poświęcano; każda myśl, jak każda słomka w sienniku nowo wysłanym, jak każde ziarno kawy upalanej własną ręką Dulskiej, jak każda poziomka w słoiku konfitur, zdjętym ze spiżarni, dla niego tylko przeznaczoną była.

Przecież go trzeba przyjąć, tego najlepszego z synów, tego najpiękniejszego z młodzieńców całej ziemi, tak, jak tylko najlepsza matka swoją dumę,

swoję pociechę, nadzieję całą życia swego, przyjąć powinna.

Trochę ją ta radosna wieść o jego przybyciu w kłopot wprawiła; w komódce z miesięcznej pensyi niewiele zostało pieniędzy, popłaciło się trochę długów, posłało się jemu, sprawiło Franiowi nowe buty na zimę... Bóg jeden tylko wiedział i Stary Judka Fejwel, co pożyczał na fanty, zkąd się znalazły znowu pieniądze w podartym pugilaresie nieboszczyka profesora, który służył za skarbiec jego wdowie do przechowywania gotówki. Bóg wiedział, a ludzie nawet nie zauważyli, że Dulski chodziła od dwóch dni bez koleczyków w uszach.

Ale za to jakich tam nie było dla Józia przysmaków i łakoci!.. dla dwunastu synów, powracających z wojennej wyprawy, wystarczyłyby te zapasy, nie dla jednego.

W studenckim „pokoiku chłopców“ świeciło się wszystko od czystości; łóżko wysłane wysoko, matczyne poduszki świeżo powleczone pięturyły się na sienniku, nad łóżkiem, na białonój ścianie czernił się mały krucyfiks, smutna pamiątka, ale cenna w rodzinie; konał z nim dziadek w kostniejących rękach, konał ojciec tak samo, do ust go przyciskając ostatnimi wysiłkami z szeptem: „Panie, w ręce Twoje oddaję ducha mego.“ Przed tym wytartym, zczerniałym krzyżem, nieboszczyk Dulski uczył się sam jeszcze pacierza, a potem jego własne dzieci klękały z utkwionemi w święte godło męczeństwa oczyma, i modliły się co rano i co wieczór, powtarzając za panią matką „ojcze nasz“ i antyfonę. I zdawało się, że w tym krzyżu jest jakaś utajona dusza, że ten

krzyż naprawdę słucha konających sterców i modlące się dzieci i że gdyby trzeba było, stałby się cud, przemówiłby jakiś głos ze starego krucyfiksu słowami otuchy lub przestrogi. W całej rodzinie przywiązywano do tego familijnego zabytku wielką wagę, otaczano go głęboką czcią, spoglądano na niego, jak na relikwią czy talizman drogocenny. Zdawało się professorowej, że niczem poważniejszym nie ozdobi, niczem godniejszym nie uświęci izdebki swego syna, jak tym krzyżem, pod którego opieką chłopiec jój noc pierwszą wypocznie znów w rodzinnym domku.

Zmrok już oddawna był zapadł, wieczór się włókł powoli, leniwo; na ciemnym niebie mróz roziskrzył gwiazdy, na białej ziemi śnieg skrzypiał pod nogami nielicznych przechodniów, co spóźnioną porą wracali do domu odludną uliczką, przy której stał domek professorowej.

W dali błyszczały czerwone światelka sygnarów kolejowych na stacyi, a od czasu do czasu odzywał się świst lokomotywy i chrapliwy jój oddech przy wypuszczaniu pary z kotła.

Do pociągu, który miał przywieźć Józia, pozostawało jeszcze sporo czasu; przed samą północą dopiero spodziewano go się w domku rozręsnionej matki.

Professorowa siedziała jeszcze w kuchni i własnymi rękoma oskubywała kurę, która miała pójść na rożen i zarumienić się w sam raz świeżutko dla młodego podróżnika. Dawniej to chłopak przepadał za pieczoną kurą i u matki miał osobny przywilej zjadania wszystkich wątróbek i żołądków z półmiska. Przypominała to sobie teraz z uśmiechem na

ustach szczęśliwa Dulska, pochylona nad ulubionym przysmakiem syna i rozmyślała, jaki to Pan Bóg łaskaw, że ją takimi dziećmi obdarzył.

Alboż ona zasłużyła na takiego Józia!.. ot, nieba w dobroci swojej nieprzebrane, dały jój taki skarb bez ceny.

Żeby tylko ta kura miękka była... Chłopczyśko zdrożone, głodne zapewne przyjedzie, z wilczym apetytem młodości, niech mu smakuje. Gdzież mu tak dogadzać mają, jeśli nie w matczynym domu!..

A jak on tam urość musiał od tego czasu, gdy go nie widziała... Wąsik mu się już sypał przed dwoma laty, a cerę miał, że panny pozazdrościć mogły; sama krew z mlekiem. Co to się teraz zrobiło z niego?.. mężczyzna co się zowie, a dorodny być musi, a dobry, lepszy chyba, niż był, bo mądrzejszy i starszy.

Tchu jój chwilami brakowało, gdy myślała o tém, jak się jój, na powitanie, do kolan swoim zwyczajem rzuci i całować zacznie po rękach i pytać o wszystko i wszystkich.

Mój Boże, mój Boże — żeby się tylko ta kura nie przypaliła!..

Frankowi to oczy wyskoczą z radości na widok brata.

Dobry chłopak, kaszlał trochę od dwóch dni, więc go przemocą prawie położyła do łóżka, bo się wrywał koniecznie na pociąg, pomimo mrozu i śniegu.

W głowie biednej matki wirowało wszystko, jak na weselu; jedna myśl drugą wywracała w podskoku, a palce oskubywały resztkę czarnego pierza

z ulubionej „czubajki“, która nad wieczorem musiała dać życie na ofiarę dla Józia.

Szła ta północ wolno, ale jakoś dowlokła się w końcu.

W domku professorowej było cicho, zegar tykotał tylko na ścianie, wszystko było już gotowe na przyjęcie tak niecierpliwie wyglądanego gościa.

Dulska w cichych, filcowych pantoflach, jak cień, przesuwiała się od okna do okna i przytulała twarz do szyby, starając się dojrzyć cośkolwiek w ciemnej uliczce.

Nareszcie zdało jej się, że furta skrzypnęła, że na śniegu czyjeś kroki spieszne słychać, że ktoś nogi obtupuje w sieni, za klamkę bierze...

Wszystko to tylko zdawało się sercu i zmysłom stęsknionej matki; wskazówka na zegarze posuwała się ślimaczym ruchem, ale ten pociąg nie nadchodził. Zaczął ją ogarniać niepokój jakiś; złożyła ręce na piersiach i zwykłą swoją ucieczką udała się do Boga. Modlitwą chciała sobie skrócić chwilę wyczekiwania.

Stary zegar głucho, zardzewiałą sprężyną wydzwonił północ właśnie, Dulska kładła znak krzyża świętego na piersiach, gdy nagle w pokoju od sieni, zdawało jej się przez drzwi otwarte, że jakaś postać stoi nieruchoma, jakby się wahała wejść lub cofnąć.

Podniosła lampę ze stołu i zajrzała do izdebki chłopców.

W pierwszej chwili lęk ją zdjął jakiś; w izdebce stał rzeczywiście ktoś obcy, w palcie zapiętym pod szyję, z kołnierzem podniesionym do góry, w kałoszach śniegiem nabitych; palcami przecierał

właśnie ciemne okulary, które spotniały po wejściu do ciepłego pokoju.

Professorowa pod światło nie mogła rozpoznać przybyłego gościa.

— Kto tu?— spytała zmieszana.

Przez chwilę nie było odpowiedzi, potem jakiś głos niski, jakby przyciszony umyślnie, odezwał się:

— To ja, matko—nie poznała mnie mama?

— Józiu!—chciała zawołać, ale coś niopojętego się z nią stało, onieśmieliło ją, ścisnęło za gardło, gdy spojrzała na stojącego w środku pokoju młodzieńca.

Upiór nie byłby jej bardziej przeraził.

Światło lampy padło teraz na tę postać nieruchomą, która się jej synem mieniła.

— To ty? — szepnęła tylko, wpatrując się w przybyłego, a oczom własnym nie mogąc uwierzyć.

Jakto?.. ten blady, mizerny, wychudły młodzieniec, który zjawiał się cicho, jak duch, jak widmo z poza grobu, miał być jej Józiem, jej wymarzonem dzieckiem, jej chlubą i dumą?.. Jakżeż inaczej wyobrażała sobie jego i pierwszą chwilę powitania z nim. Tknęło ją jakieś dziwne uczucie zawodu, nieokreślonego bliżej, ale bolesnego nad wyraz.

Młodzieniec podszedł wreszcie ku niej, ujął jej rękę i przycisnął do ust w milczeniu.

Teraz mogła mu się lepiej i uważniej przypatrzeć.

Trudno jej było rozpoznać w nim dawnego Józia, tryskającego zdrowiem i urokiem młodości; twarz mu wychudła, pożółkła, oczy niebieskimi okularami prawie zupełnie zakryte, wpadły w głąb, około ust

zarysowały się dwie zmarszczki, nadające im wyraz jakiś bolesnej rezygnacji, włosy długie, zaniedbane, okalały wysokie czoło i spadały na wyszarzany kołnierz paltota, z pod którego wyzierała bielizna, widocznie dawno nie zmieniana. Opuszczony był, zbiedzony jakiś, jakby przygnębiony latami starzec... dwudziestokilkoletni. Rzadka blond broda czyniła twarz jeszcze bardziej pociągłą i cierpiącą.

Długą chwilę stali tak syn z matką naprzeciw siebie i badali się wzajemnie oczyma.

— Co się z ciebie zrobiło, dziecko moje!—wybuchła nareszcie ona z tłumionymi łzami w głosie—tyś chory Józiu!..

Młodzieniec uśmiechnął się smutnie i głową wstrząsnął z zaprzeczeniem:

— Nie, matko; postarzałem tylko trochę z latami — wyrostek odjechał, mężczyzna wraca. Oto wszystko. Uspokój się mamó—dodał z pewną tkliwością w głosie—nic mi nie jest. A cóż tu u was?..

Rozpiął paltó, pod którym widać było szarą bluzę i rzuciwszy wymiętą czapkę studencką na stół, zaczął się rozglądać po pokoiku.

— Jak widzę—nic się nie zmieniło, nawet stołki na swoim miejscu pozostały—mówił dalej, obchodząc kąty, z rękoma w kieszeniach paltota, wypchanych i sterczących, jak dwie torby po bokach.

Dulska wodziła za nim oczyma niespokojnie, badawczo, lży ję po twarzy splywały.

— Cóż tu za panienka mieszka u mamy teraz?—spytał, zatrzymując się przy łóżku i wskazując pościel bielutką i wyświeżoną.

— Przecież to twoje łóżeczko studenckie—odrzekła matka—nie poznajesz?

— Ho, ho!—przerwał ję zamiast odpowiedzi—odwykłem od takich betów. Nie czas się pieścić moja mamó. Umieję ja dziś i na kamieniu zasnąć.

Wzrok jego padł na krucyfiks nad łóżkiem i jakieś smutne myśli musiały mu przemknąć przez głowę, bo twarz sposepniała mu nagle i słowa na ustach zastygły.

Oko matki dostrzegło tę zmianę; podeszła do niego i gładząc drżącą, pieściwą ręką jego włosy, które mu się na czoło nasuwały, spytała:

— Poznajesz?.. krucyfiks dziadzi... powiesiłem ci go umyślnie nad łóżkiem, abyś miał się przed czem pomodlić, jak dawniej.

Młody człowiek spojrział na matkę w milczeniu i znowu jakiś gorzki, bolesny uśmiech przemknął po jego twarzy.

— Jak dawniej—powtórzył machinalnie i nieznacznie wzruszył ramionami z odcieniem niechęci i lekceważenia.

— Niema mama herbaty?—spytał, jakby umyślnie pragnął nadać inny obrót rozmowie, która się rwała i motała co chwila między nim a pomieszaną coraz bardziej matką.

— Jakżeżbym nie miała!.. przecież wszystko, co lubisz, przygotowałem ci na kolacyę. Rozbierz—że się, wypocznij, muszę obudzić Frania... usnął biedak, wyczekując na ciebie. Przez dwie noce oka nie mógł zmrużyć z radości, że miałeś przyjechać.

Młody Dulski czoło zmarszczył i powstrzymał matkę szybkim, nerwowym ruchem.

— Niech go mama nie budzi jeszcze, nie trzeba, jeść nie nie będę, nie jestem głodny, proszę tylko o ciepłą herbatę, przeziąłem trochę w wagonie. Jeszcze jedno—dodał, głos przyciszając—nie chciałbym, aby wiadano, że przyjechałem.

Matka spojrzała na syna szerokimi oczyma; zdawało jej się, że słów jego dobrze nie pojmuje.

— Nie chcesz, aby wiadano, żeś przyjechał?.. dlaczego?..

— Mam swoje powody, wytłumaczę to mamie później; tak trzeba.

Na ostatnie wyrazy położył jakiś szczególniejszy nacisk, który dreszczem przejął serce matki.

Tego syna, którego tak pragnęła zobaczyć, który przez lata całe był jej snem na jawie, opromieniony wszystkimi blaskami ideału dziecka, w którym widziała wszystko, co piękne, wzniosłe, dobre i szlachetne—nie mogła poznać, zrozumieć teraz, zaczęła się go niemal obawiać podwójnym instynktem kobiety i matki.

W dwie godziny później, przy stoliku oświeconym lampą z zieloną umbrelką, w pokoiku chłopców siedział młody Dulski w tym samym paltocie z podniesionym kołnierzem, z nogą na nogę założoną i od czasu do czasu, dużym scyzorykiem krajał nadpoczętą kromkę chleba, popijając ją herbatą, rozlewana ze szklanki na spodek.

Naprzeciw siedziała professorowa, z twarzą bladą, oczyma czerwonymi od łez, ocieranych ukradkiem i z wyrazem Matki Boskiej bolesnej, spoglądającej na ukrzyżowanego syna.

Rozmawiali głosem przyciszonym, prawie szeptem, jakby się bali ścian, które podsłuchałyby ich rozmowy mogły; właściwie on tylko mówił, a ona słuchała i twarz jej się mieniła raz po raz.

— Moja matko—prawil w dalszym ciągu młodzieniec—dla was życie inne miało warunki i cele, niż dla nas dzisiejszych; myśmy dzieci innego wieku, innych pojęć i idei. Dla was ten dach nad głową nakrywał świat cały, nam burza dach zerwała i ukazała sklepienie nieba, które jest dachem domu całej ludzkości, a przy tém świetle, co wpadło przez szczeliny popekanych ścian waszych, zobaczyliśmy dopiero pleśń, rdzę, i plamy odwieczne, śmietnik pełen trujących wyziewów... Łudzili was, że wszystko jest najlepszym na tym padole nędzy i krzywd ludzkich i nie pozwolili otworzyć oczu; w ślepych wmawiali, że widzą; w głuchych, że słyszą; w trupy, że zgnilizną w piersi, że żyją... Ty mi mówisz o religii, o Bogu, a czy ty wiesz, że ja całą mą wiarą zapłacić musiał za te prawdy, które mi życie odsłoniło?.. czy ty wiesz, że dla nas, dzieci jutra, niema już żadnych illuzyj?.. Zwątpienie to nasza wiaral.. Nie załamuj rąk ze zgrozą, moja matko, wszystko to skutki przyczyn, których nie umiano i nie chciało w porę usunąć; zbieramy posiew dni minionych. Widzisz, ja, który patrzę dziś na ten zwietrzały świat trzeźwo, bez złudzeń i widzę, jak się rozsypuje w gruzy przeżarty jadłem, przegryziony na wskrós, mam spokój zupełny człowieka zrezygnowanego... Zrozpaczenie jest filozofią bezsilnych, ja nie rozpaczam, dopóki w sobie czuję resztkę sił, którą przyspieszyć mogę dzieło rozkładu. Jestem robotnik na-

jęty do burzenia walącego się domu; zasypią mnie jego gruzy, ale po mnie przyjdzie inny, który z nowych cegieł budować zacznie nowy gmach społeczny. Im prędzej ja moją pracę skończę, tém wczesniej mój następca swoją będzie mógł zacząć. Śmierć nie innego nie robi, tylko nowemu życiu drogę otwiera. Czemu się ludzie śmierci nie dziwią, a dziwią się tak bardzo nam?.. Aby nowe związki powstały, trzeba jakieś stare rozłożyć—oto wszystko. Straszno ci słuchać tych prawd i teoryj, zakrywanych dotąd umyślnie dla świętego spokoju, aby nie przeszkadzać snom sybarytów duchowych i cielesnych?.. Trudno, trzeba mieć odwagę wygłosić i wysłuchać prawdy najstraszniejszej naszego wieku. Mówiąc inaczej dziś, musiałbym okłamywać siebie i drugih, a niema podleyszej rzeczy, jak kłamstwo, ono jest jadem, które trawi człowieka, bez jego wiedzy... Kłamałismy dotąd w całym życiu i dlatego prawda każda wydaje nam się teraz tak okropną.

Przegarnął włosy i palce załamał, że mu we wszystkich stawach trząsało.

— Patrzysz na mnie, jak na opętanego przez dyabła, nieprawdaż?—mówił dalej — a wiesz, jak się ten dyabeł nazywa?.. duch czasu. Przesiałkłem cały zgnilizną wieku, alboż to moja wina!.. gdybyś mnie była matko trzymała, jak kanarka w tej zamkniętej klatce, byłbym ci śpiewał inaczej. Ale tam na szerokim świecie, innych piosnek uczą; tam musiałem oddychać wyziewami bagniska, w którym roją się wszelakie płazy, jakżeż miałem wszystkiemi porami nie wsiąkać tych oparów!.. Co mnie miało uchronić od tego?

Dulska za głowę się chwyciła z rozpaczą.

— Józiu, a Bóg?..—zawołała — czyż dla ciebie Boga niema zupełnie?

Spojrzał na nią smutnie, oczy zmrużył, usta przyciął zębami i zamilkł chmurny.

Nieszczęsna matka, chwyciła go rozpaczliwie za ręce i spytała głosem pełnym łez i bólesci:

— Cóż jest, jeśli Boga niema?..

Wpatrzył się w nią bystro i stanowczo po chwili namysłu odparł:

— Nic.

Kobieta jęknęła, jakby ją jakaś brutalna siła w straszną przepaść zepchnęła, w przepaść bezdenną, ciemną, groźną, bez końca.

I tego wszystkiego słuchać musiała z ust własnego dziecka, z ust syna, który był jej dumą, jej najwyższą miłością i nadzieją!..

W głowie się jej mąciło po każdym jego słowie, które obuchem waliło w serce matki. Czula, że wszystkiemu zaprzeczyć należało, ale jej, prostej kobiecie, brakło wyrazów, mogła tylko łzami i bólem serdecznym, przeciw własnemu synowi protestować... Raczej śmierci i wiecznego potępienia, niż takiej zmiany w synu się spodziewała. Zabrali jej go, wydarli, odmienili na wieki.

— Dziecko moje, moje dziecko, co mi tam z tobą zrobili!.. — zawodziła cichym płaczem. — Zgubili twoją duszę, zniszczyli szczęście całego życia. Co z ciebie będzie teraz!.. co ci zostało w życiu?..

— Nic — odparł znowu tym samym zimnym, głuchym głosem, jakby echem płynącym z pustki ciemnej i wilgotnej. — Niczego się nie spodziewam,

ale i niczego nie pragnę. Strawiłem już gorycz pierwszych rozczarowań i nie spali mnie żadna nowa głównia, którą w duszę wrzuci mi świat i życie.

— Taki młody, taki młody! — biadała matka — Józiu, to nie może być prawdą, co ty mówisz, ty tylko z matki żarty sobie stroisz. Przecież ja cię znałam tak dobrze; mógłżebyś zmienić się tak w tym czasie, to niepodobna!

— Nie ludź się matko — przerwał jej młody człowiek — złożyłem ci moje wyznanie wiary, boś mnie do tego zmusiła swojemi pytaniami. Błada twarz moja i zapadłe policzki, zbudziły w tobie popolite u wszystkich matek podejrzenia; zdawało ci się, że zwyczajna hulanka zniszczyła ci syna, żem jak tysiące innych, młodość w wielkiem mieście puścił na tuzinkowe harce. Nie przypuszczałaś nawet, że istnieje jakieś większe niebezpieczeństwo od hulanki i rozpusty, dla młodego chłopca, puszczonego w świat o własnych siłach. Widzisz, kart do ręki nie wziąłem, wódką się brzydzę, a kobiet złych nie miałem czasu szukać. Znalazłem gorszą od wszystkich kochankę, która mi ducha zniszczyła, zakaziła krew, wyssała serce... Ale dość o tém.

— Biedna matko, masz odtąd tylko jednego syna! — dodał, jakby nie czuł, że każdym wyrazem rozpruwa łono swojej rodzicielki. — Wychowaj go sama inaczej, jeśli nie chcesz, by był do mnie podobny. Zresztą, Franek to dziecko jeszcze; może on będzie tém drugim powołaniem, które po nas przyjdzie budować. Kto to wie!..

Przeciągnął się, jak człowiek znużony i otrzą-

śnął z przykrym dreszczem, który go przebiegł po całym ciecie.

— Najlepiej będzie, jeśli mu nie powiesz, że tu byłem — dodał, powstając cicho z krzesła pod ścianą.

— Jaki?.. więc na seryo nie chcesz zostać do jutra? — spytała go matka, zgnębionym do reszty głosem.

— Nie mogę — odrzekł krótko i stanowczo — mówiłem mamie, że nie jestem tu sam, jutro muszę być zagranicą, a za trzy dni w Genewie. Pozostawało mi kilka godzin między jednym pociągami a drugim, więc chciałem cię jeszcze zobaczyć i rozmówić się; zapewne długo nie będziemy się widzieli. Wracać mi teraz pilno i niebezpiecznie. Która to już godzina?

Thumiac kroki, wyszedł na palcach do saloniku, gdzie na ścianie tykował stary zegar i nocna lampka paliła się na szafie.

Zająty rozmową z matką, nie miał czasu rozejrzeć się nawet po domu, którego tak długo nie widział.

W alkierzyku na sofie, zamienionej na łóżko, spał Franek, zmorzony ciężkim snem; dwie nieprzespane noce, zmęczyły wątły organizm chłopca. Nie mógł się doczekać ukochanego brata i broniąc się senności do ostatka, uległ jej w końcu.

Starszy Dulski, spojrzawszy na zegar, podszedł cichutko do śpiącego i pochylił się, by przy słabym świetle migotliwej lampki nocnej, przypatrzeć mu się po długim niewidzeniu. Jakaś resztką braterskiej miłości, pomimo wyrzekania się wszystkich uczuć,

musiała zostać w jego sercu... Stał i patrzył w twarz brata spokojną, rumianą, uśmiechniętą; w tej chwili chłopcu może się śniło, że rozmawia z Józiem i matką, że przypomina sobie spędzone lata dzieciństwa, wspólne igraszki i zabawy, wspólne figle w pokoju ojcowskim.

Sen piękniejszym był od rzeczywistości.

Pochylony nad spiącym, stał młody człowiek i zapadał w ponurą zadumę, z której obudził go dopiero odgłos dzwonka kolejowego na stacyi.

Józef ocknął się i rzuciwszy raz jeszcze spojrzenie na brata, potem na zegar, przystąpił do drzwi przymkniętych drugiego pokoju.

Spojrzał i cofnął się machylnie.

Przed łóżkiem klęczała jego matka, z oczyma utkwionemi w czarny krucyfiks na ścianie, z twarzą zalaną łzami, wykrzywioną wyrazem strasznego bólu, z jedną ręką opuszczoną ku ziemi, drugą cisnącą piersi wzburzone, w których szarpało się biedne, nieszczęśliwe serce w okropnej męczarni.

Tój niemój modlitwy nie śmiał przerywać, głowa mu opadła ciężko, jeszcze większa chmura zaćmiła ponurą twarz, usta drgnęły nerwowo...

Dulska zatopiła się w modłach całą zbolalą duszą; oczy jej tkwiły w ukrzyżowanym Chrystusie i zdawały się błagać go o pomoc, otuchę, pocieszenie w największym strapieniu.

— Panie—szeptały zaledwie dosłyszczanym głosem zsiniałe usta — Panie, oddaj mi dziecko moje, nie pozwól wydrzec go sercu matczynemu, nie daj go zabrac tej jakiegś strasznój sile, co porywa i druzgoce młode ofiary, obalamuca umysły, buntuje prze-

ciw tobie, twoim prawom i obowiązkom ludzkim. Panie, miej litość, spraw cud i wróć mi syna, wróć zbłąkanych na prawą drogę, oświeć ich miłością i łaską swoją!..

Zdało jej się, że biała ściana rozpada się bez szelestu i odsłania bezgraniczną jakąś przestrzeń, w którą czarny krzyż Chrystusa usuwa się coraz dalej i dalej, z przed jej oczu.

Rozpaczliwym ruchem podniosła ku niemu obie ręce, jakby powstrzymać chciała tego Boga, który był jej jedyną ucieczką i nadzieją.

— Panie, nie opuszczaj mnie nieszczęsnój!.. — wołała zdławionym głosem, ale godło Chrystusowój męki płynęło w przestwór zamglony, małało, nikło coraz bardziej i tylko gdzieś w bezbrzeżnej dali, jak czarny punkt migalo przed jej zalzawionemi oczyma.

— Boże, Boże, Boże!.. zmiłuj się nademną, Panie wysłuchaj modłów moich!..

Nagle z pietycznej extazy wyrwał ją jakiś głos przeraźliwie rozcinający powietrze, jakby z czeluści piekieł wychodził.

Drgnęła, podniosła się całym ciałem, spojrzała błędnym wzrokiem do koła i instynktowym ruchem rzuciła się do drugiego pokoju, szukając syna.

Pokój był pusty...

Zdała do uszu Dulskiej doszedł po raz drugi przeraźliwy sygnał lokomotywy, która uwoziła jej zbłąkane dziecko na zawsze...

Na widnokręgu różowiła się smuga powstającego świtu, który płoszył noc czarną; z mroków wstawał dzień nowy...

K. M. B.

(Obrazek.)

Pochowaliśmy dzisiaj panienkę na cmentarzu; od samego kościoła aż do grobu śnieg padał i padał, jakby białém kwieciami zaścielał jej drogę, sosnowa trumna znikła prawie pod tą puszystą warstwą, która rosła co chwila na jej wieku; ledwie ją widać było na karawanie.

W powietrzu fruwały duże płatki i zdawały się unosić nad ziemią, nie spadać; szliśmy za trumną, brnąc w śniegu po kolana.

Niech tam będzie nieboszczce nie wymowne, ale w taki czas iść na cmentarz, to poświęcenie.

Ostatni to raz, co prawda; niech tam!... Panienska warta była tego Drugiej takiej nie prędko znajdzie.

A i ona biedactwo, sześćdziesiąt ośm lat czekała na ten dzień i doczekała się pogrzebu w taką śnieżycę, że świata Bożego nie widać.

Dziwi was, że w siódmym krzyżyku jeszcześmy ją panienką nazywali?... to nie był nasz pomysł, przejęliśmy to po rodzicach.

Staruszka z niej była, malutka, zasuszona, wątła jak dziecko, ale mimo taki wiek późny, ruchliwa, że się wierzyć nie chciało jój latom.

W rodzinie naszej z pół wieku przepędziła bezustannie, znała nas wszystkich od kolebki, wy-

chowowała jedno po drugim, a zawsze nazywano ją panienką i panienką, bo miała w sobie coś panińskiego.

Przy siwych włosach umiała się rumienić, jak dziewczynka z pensyi.

Dziadek Ignacy, ten, co to w wojsku służył jeszcze za młodu i miał takie żołnierskie maniere, że niech Pan Bóg broni, umiał o zakład z panny Eweliny wydobywać wstydlive rumieńce, a potem śmiał się do rozpuku ze swoich figlów i przez cały dzień w doskonałym humorze bywał, kiedy panienska raczka spieкла z jego przyczyny.

Niby się to przekomarzali, ale tak sobie, na żarty.

W sercu to przyjaźni musiało być bardzo dużo i takięj nie dzisiejszėj, bo przez pół wieku wypróbowanej.

Szkoda dziadunia!... takżeśmy go w zeszłym roku na mogiłki wywieźli. Panna Ewelina sama go do trumny uczesała i własnymi rękoma białą chustkę zawiązała na szyji, tak, jak to robiła za życia przed każdą wielką wizytą u ludzi, lub u Pana Boga.

A płakała, płakała swoim zwyczajem cichuténko, w milczeniu, słowa nie mówiąc; już to skarżyć się nie lubiła nikomu, nigdy, na nic.

Dostrzegłem, jak ukradkiem ucałowała nieboszczyka w jedną rękę, potem w drugą, przeżegnała się i uklękła przy zwłokach pacierze mówić za umarłych.

Pocziwa panienska, ona go kochała, jak córka...

Kiedyśmy ją przenosili przedwczoraj z jēj alikierzyka i z łóżka, na którém umarła, wkładali już

do trumny, z pod poduszki wypadło coś w bibułkę zawiniętego. Podniosłem bratu z pod nóg, bo nastąpił na to obcasem, aż chrupnęło.

Wiecie, co to było?... Kawałtoko krédy, zwyczajnej krédy, którą się pisze na tablicy. Została z nięj grudeczka obtarta, spisana na wszystkie strony, niby ziarno fasoli.

— Patrz—rzekłem do Henryka, pokazując mu ten czezątek—poznajesz?

— Kréda.

— Panienska, poświęcana kréda, ta sama, którą co roku...

— Prawda!—przerwał mi i okiem wilgotném spojrział na martwe, drobne, wyschnięte zwłoki staruszki, która po śmierci zdawała się skromnie tulić w kącie trumny tak samo, jak się tuliła za życia do kątów, aby tylko ludziom nie być na oczach i nie zawadzać nikomu.

Henryk wziął mi z rąk zawiniątko i patrząc na nie z rozrzewnieniem, mówił:

— Toż to relikwia nieboszczki! potem zawiązał krédę napowrót w bibułę i włożył jēj do trumny, pod głowę.

Dobrze zrobił, niech z nią idzie do grobu ta pamiątka.

Jak długo myślą sięgnąć mogę w przeszłość, widzę zawsze jednego dnia w roku jeden i ten sam przed memi oczyma obrazek: staruszkę, wracającą z kościoła z dużą książką do modlenia we włosiowej plicionęj torebce, z oczyma zapłakanemi, z twarzą bardzo smutną i znękaną, widzę pannę Ewelinę wspinającą się ostrożnie na krzeselko przy samych

drzwiach ustawione i piszącą kawałkiem krędy tradycyjne trzy litery: K. M. B. obok daty nowego roku na drzwiach swego mieszkania.

Widzę te same zawsze ruchy drżącej ręki, kreślącej powoli, jakby z namaszczeniem, duże okrągłe głoski: Kasper, Melchior i Baltazar.

Zdawało mi się, że trzech królowie święci nie mogą się obejść bez panny Eweliny; a tymczasem dzisiaj znowu święto trzech króli i pierwszy raz od tylu, tylu lat nikt krzeselka do drzwi nie przysuwa, nikt się nie wspina na nie ostrożnie, z widocznym wysiłkiem, nie podnosi ręki aż ku futrynie i białymi znakami nie uwiecznia tej daty.

Coś mi się zdaje, że tam, głęboko pod śniegiem na cmentarzu, zbudzi się jeszcze na chwilę biedna panienka, skostniałymi palcami wyjmie z pod głowy ostatek krędy swojej i wypisze nią na wieku trumny te trzy litery K. M. B., co dla niej były smutnym i szczęsnym wspomnieniem całego życia...

Mówią ludzie, że miłość już nie istnieje; albo o prawdę!... ona jest wieczna, jak serce ludzkie.

Alboż to przechowa się przez lat pięćdziesiąt, jak brylant, kawałek krędy, poświęcaną co roku na nowo, a używaną tylko raz jeden w święto trzech króli do wypisania ich liter na swoich drzwiach, gdyby się nie kochało samą pamięcią kogoś, co jedno z tych imion nosił za życia?...

A widzicie; są uczucia i wspomnienia, które się w religię zmieniają...

Panienka możeby wam coś o tém opowiedziała, gdyby nie leżała tam smutna, cicha i milcząca już na wieki w swojej mogiłce pod śniegiem.

Nam nie opowiadała tego nigdy, ale dziadek znał jej tajemnicę i szanował ją z głębokim przejęciem, on pamiętał tego Kasperka, który pod nim kiedyś służył w czwartym pułku i był najdzielniejszym podchorążym, jakiego widziano kiedykolwiek w mundurze.

Ewunia nieboszczka musiała go jeszcze lepiej pamiętać, bo od czasu, kiedy pierwszy raz, jako student wypisywał na drzwiach sąsiadki w dniu 6-go stycznia któregoś tam roku, ukradkiem ogromne litery K. M. B. i kiedy te drzwi nagle się otworzyły a przed złapanym na gorącym uczynku akademikiem stanęła zdziwiona matka panny Eweliny i spytała dość groźnie:

— A waćpan co mi tu malujesz?

— Trzech króli mościa dobrodziejko.

— A kto prosił?...

— Trzej królowie.

— A przez kogo?

— Przez anioła,—rębał dalej niezmiessany *studiosus* i ośmielony coraz bardziej, uśmiechał się filuternie, jak tylko młodość śmiać się umie.

— To pójdź że waćpan z tego polecenia zdać nam sprawę w pokoju.

I w taki sposób Kasperek znalazł się z pierwszą wizytą u sąsiadki, pani kapitanowej, która miała córkę, jak poziomkę świeżą, a jak wiewióreczka zwinną. Chłopak wychodząc z tych pierwszych odwiedzin, zostawił nie tylko przez roztargnienie krédę, jako *corpus delicti*, ale i serce przy panience, która mu oddawna już w oko wpadła.

Ewunia krédę schowała do panięńskiej toaletki, a serce do własnego serduszka.

Trzej królowie zawiązali szczęśliwie znajomość między młodymi, tylko że potém... ot, co tam dużo opowiadać. Pokochali się oboje, poprzysięgli sobie miłość, zaręczyli, zamienili pierścionki i od tego czasu... tylko pięćdziesiąt lat minęło.

Podchorąży z dziaduniem nie wrócił, bo mu kartacz rękę urwał i żebra poprzetrącał.

Trzej królowie zatrzymali go gdzieindziej i inny anioł przyszedł z poleceniem, by na niebieskich wrotach wypisał ich litery.

A panienka została panienką po poległym Kaspruniu, pierścioneczek złoty z dwoma sercami nosiła na palcu, krédę, jak relikwią chowała z roku na rok, by nią na drzwiach swoich w jego imieniny sztychować duże litery trzech króli, pomiędzy którymi on był jój królewiczem wymarzonem, ukochanym i do grobowej deski niezapomnianym.

Biedna panienko!.. zmrok zapada, siadłem pod piecem z papierosem, śnieg pruszy i pruszy, jakby kwieciem pomarańczowém sypał na twą mogiłę, w pokoju mroczno... patrzę przed siebie, na drzwi twego alkierza i zdaje mi się, że cię znowu widzę, cię, jak cień, wspinającą się na krzeselko i zaczynającą chudą rączką pisać duże litery: K. M. B.

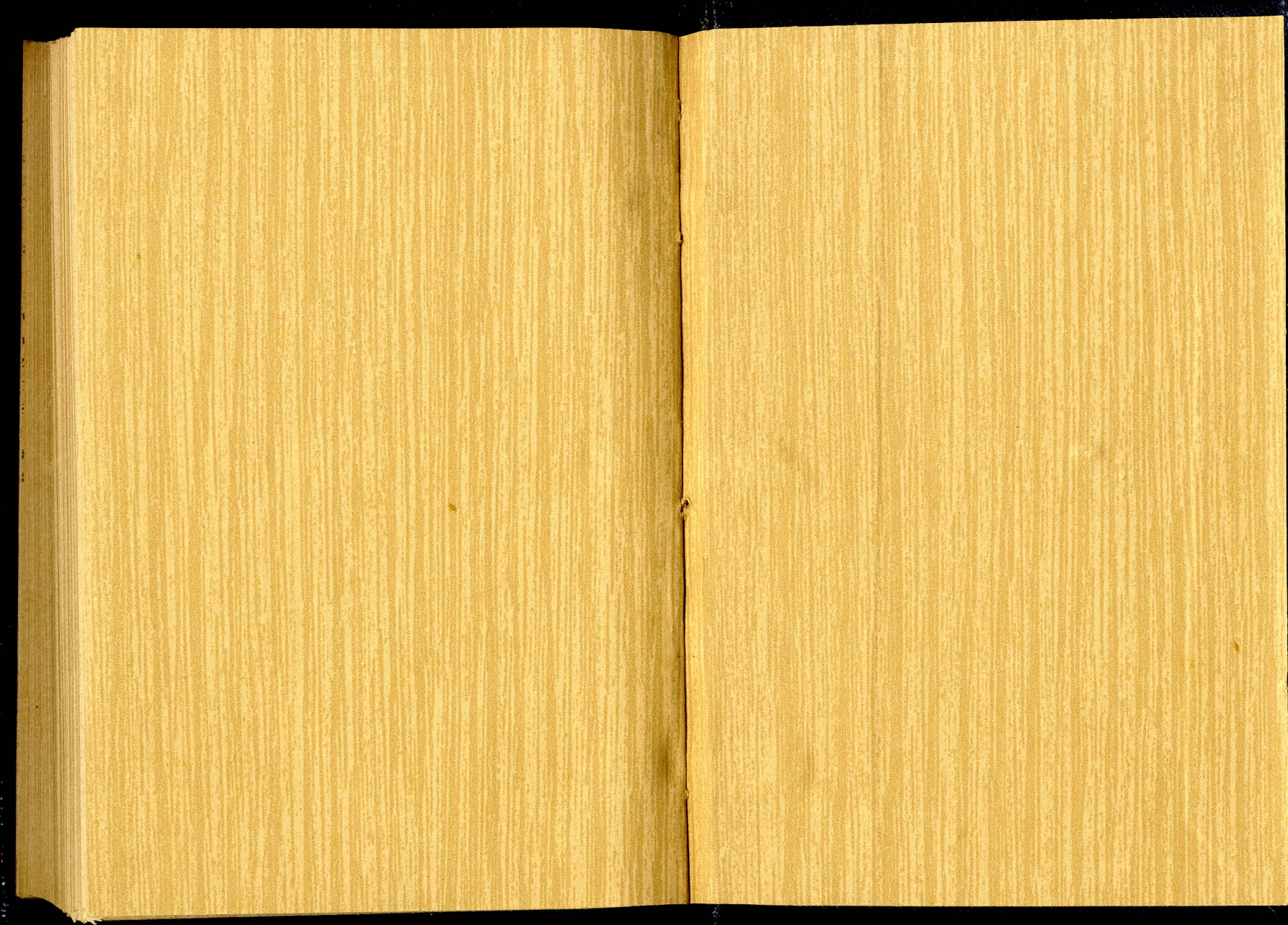
Głoski mi się dwoją i troją, i zlewają z sobą, łączy mam w oczach...

K O N I E C.

SPIS RZECZY

zawartych w tomie drugim.

NIGDZIE MU DOBRZE NIE BYŁO. Obrazek z życia . . .	1
NA ŚWIĘTACH. (Urywek wspomnień)	77
ADELKA. Obrazek z natury	87
ZEMSTA TRUBADURA. Z kalejdoskopu wspomnień . . .	131
GŁODNA LWICA. Opowiadanie przy herbacie.	193
MÓJ PRZYJACIEL HIPCIO. (Z galeryi pasożytów). . .	205
NOCNA ZMORA. Nowelka	235
K. M. B. (Obrazek)	261



884-3

Granulowicz Schae